ROZMOWA „DO RZECZY”

Kaczyński atakuje Konfederację, bo się jej boi – uważa Krzysztof Bosak

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 40/649 28 WRZEŚNIA–5 PAŹDZIERNIKA 2025
CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Czy Chiny mogą pomóc Polsce ochronić się przed Rosją?

Warzecha broni nas przed fanatykami antyalkoholowymi

LUDOBÓJSTWO PRZY MILCZENIU ŚWIATA

IZRAEL BEZPARDONOWO ROZPRAWIA SIĘ ZE STREFĄ GAZY

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 850000 40>

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

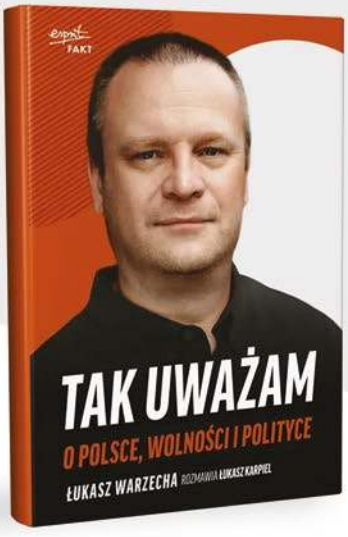

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

ŁUKASZ WARZECHA, ROZMAWIA ŁUKASZ KARPIEL: „TAK UWAŻAM. O POLSCE, WOLNOŚCI I POLITYCE"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1003~~ ZŁ

466,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 537 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl dce19a88a3

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Nieobliczalność czy gra

Donald Trump przyzwyczaił wszystkich do niekonwencjonalnego sposobu uprawiania polityki, jednak jego wpis po debacie w ONZ, w którym to, jak się wydaje, zajął stanowisko całkiem sprzeczne, co się tyczy wojny Rosji z Ukrainą, od wszystkiego, co mówił wcześniej, wywołało szok. Pojawiły się nawet głosy, które twierdzą, że to nie sam prezydent USA napisał to, co napisał, ale jeden z jego doradców.

Jak zawsze trzeba zacząć od rzeczy kluczowej, a więc od tekstu. „Po poznaniu i pełnym zrozumieniu sytuacji militarnej i gospodarczej Ukrainy i Rosji oraz po dostrzeżeniu problemów gospodarczych, którymi to skutkuje w Rosji, uważam, że Ukraina, przy wsparciu Unii Europejskiej, jest w stanie walczyć i zdobyć całą Ukrainę w jej pierwotnej formie. […] Rosja toczy bezcelową walkę od trzech i pół roku w wojnie, w której zwycięstwo realnej potędze militarnej powinno zająć niecały tydzień. To nie jest wyróżnienie Rosji. W rzeczywistości to raczej przedstawia ją jako »papierowego tygrysa«. Kiedy mieszkańcy Moskwy i wszystkich wielkich miast, miasteczek i dzielnic w całej Rosji dowiedzą się, co tak naprawdę dzieje się w tej wojnie [...], Ukraina będzie w stanie odzyskać swój kraj w jego pierwotnej formie, a kto wie, może nawet pójść dalej. […] W każdym razie życzę obu krajom powodzenia. Będziemy nadal dostarczać broń NATO, aby NATO mogło z nią zrobić, co zechce".

Mogłoby z tych słów wynikać, że po pierwsze, według Trumpa Ukraina może odzyskać wszystkie terytoria utracone po roku 2014 (a więc łącznie z Krymem). Po drugie, że Rosja nie będzie się temu w stanie oprzeć, bo jest jedynie „papierowym tygrysem". Po trzecie, być może Ukraina nawet pójdzie dalej (w domyśle – podbije Rosję?). Po czwarte wreszcie, prezydent Trump oparł swoją analizę na „dostrzeżeniu problemów gospodarczych w Rosji". Dziwne są to tezy, biorąc pod uwagę realną sytuację na froncie. Według wszystkich dostępnych danych Rosja dysponuje ogromną przewagą nad Ukrainą i zajmuje ok. 20 proc. jej terytoriów. Nic nie wskazuje na to, by w najbliższym czasie rozpaczliwie broniące się oddziały ukraińskie były w stanie przejść do jakiegokolwiek kontrataku. Po spotkaniu grupy szanghajskiej Moskwa zapewniła sobie nowe rynki zbytu w Azji, co sprawia, że trudno wierzyć w skuteczność nowych pakietów sankcji. Jak się zatem mają te słowa prezydenta USA już nie tylko do wszystkich jego wcześniejszych deklaracji, ale też do rzeczywistości? Skąd ten nagły optymizm co do sił ukraińskich?

Jest to tym bardziej osobliwe, że po uważnym przeczytaniu komunikatu pojawiają się kolejne wątpliwości. Najważniejsza dotyczy prostego pytania: Kto i jak ma owe utracone przez Ukrainę terytoria odzyskać? Jeśli to, co pisze Trump, oznaczałoby prawdziwą woltę, to powinien przecież zadeklarować masowe wsparcie militarne dla Kijowa, zarówno jeśli chodzi o wszelkie rodzaje broni, jak i o wysłanie na Ukrainę amerykańskich wojsk. Tylko wtedy mielibyśmy do czynienia z realną zmianą stanowiska. Tymczasem w tekście prezydent Trump pisze, że Ukraina ma odzyskać utracone ziemie… „przy wsparciu Unii Europejskiej". Zaraz, to przecież brzmi jak kiepski żart.

W jaki to niby sposób Unia Europejska miałaby dokonać tego, co nie udało się do tej pory Ukrainie przy wsparciu USA? Unia Europejska, której kluczowe państwa pogrążają się w kryzysie gospodarczym i, co najważniejsze, nie dysponują bronią i armią zdolną do walki? Tak samo dziwnie brzmią słowa: „Będziemy nadal dostarczać broń NATO, aby NATO mogło z nią zrobić, co zechce". Czy to oznacza, że USA nie są kluczowym państwem NATO i nie decydują o tym, dokąd trafi zakupiona w Ameryce broń?

Możliwości jest zatem kilka. Albo Donald Trump sam nie wie, co chciał napisać, i po prostu postanowił zwrócić na siebie uwagę. Biorąc pod uwagę jego narcystyczne skłonności, nie można tego wykluczyć. Albo (wersja makiaweliczna) za pozorną zmianą postawy kryje się faktycznie deklaracja rezygnacji. A więc: skoro wierzycie w zwycięstwo Ukrainy, to sami się nim zajmijcie (wy, a więc Unia Europejska). Ja (USA) umywam ręce, po prostu będę wam dalej sprzedawał broń, a reszta mnie nie interesuje. Albo wreszcie wokół Trumpa zwyciężyła frakcja prowojenna, która przekonała go, że Rosja jest na granicy upadku i wkrótce pojawią się dalsze oświadczenia, gdzie znajdzie się to, czego brakowało w tym pierwszym. Wtedy zmierzalibyśmy do trzeciej wojny światowej.

Trudno stwierdzić, która z wersji jest prawdziwa. Dziwi mnie tylko jedno: Czyżby Donald Trump i jego otoczenie nie dostrzegali, że tak gwałtowne zmiany przekazu podważają jego wiarygodność? Nieobliczalność nie zawsze bywa przewagą. ©℗

eprasa.pl dce19a88a3

TEMAT TYGODNIA

12 WOJCIECH GOLONKA
GLOBALNE KONSEKWENCJE DEPOPULACJI GAZY
Ludobójstwo przy milczeniu świata

16 PAWEŁ LISICKI
W STRONĘ TRZECIEJ ŚWIĄTYNI

KRAJ

20 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM BOSAKIEM
KACZYŃSKI ATAKUJE KONFEDERACJĘ, BO SIĘ JEJ PRZESTRASZYŁ
Pokój jest wartością dużo istotniejszą niż relacje z Ukrainą

23 PIOTR SEMKA
KONFEDERACI, CZYLI SYNDROM PIĘKNEJ PANNY NA WYDANIU

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
BEZKARNOŚĆ. REALIZACJA „DOKTRYNY NEUMANNA"

29 ŁUKASZ WARZECHA
RUCH ANTYALKOHOLOWEJ HISTERII

32 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
PŁEĆ NA POKAZ

KULTURA

34 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
PRZEZ KLAWIATURĘ DO SŁAWY
Kulisy historii Konkursu Chopinowskiego

36 PIOTR GOCIEK
BRESLAU NOIR

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

42 GRZEGORZ KONDRASIUK
W SYRENIE BEZ TRZYMANKI

OPINIE

44 KONRAD SMUNIEWSKI
PEKIN PRZYGLĄDA SIĘ KAROLOWI NAWROCKIEMU
Czy Chiny mogą pomóc Polsce ochronić się przed Rosją?

46 MICHAŁ KRUPA
AMERYKAŃSKA PRAWICA ODWRACA SIĘ OD IZRAELA

48 FILIP MEMCHES
NEONAZIŚCI CZY PROWOKATORZY? ZAGADKA RUCHU AZOWSKIEGO

50 PAWEŁ CHMIELEWSKI
KONDYCJA KOŚCIOŁA: STABILNIE ZACHWIANA

HISTORIA

52 ADAM WIELOMSKI
DLACZEGO PIUS XI POTĘPIŁ ACTION FRANÇAISE
Czy Kościół nie lubi nacjonalizmu?

56 ANDRZEJ SOLECKI
MISJONARZE I SETNIK KOZACKI. DAWNE KONTAKTY POLAKÓW Z CHINAMI

ŚWIAT

58 MACIEJ PIECZYŃSKI
MOSKWA STOLICĄ MUZYKI
Interwizja, czyli Eurowizja po rosyjsku

62 TERESA STYLIŃSKA
NIESTOSOWNE ZWIĄZKI PETERA MANDELSONA

EKONOMIA

64 MIROSŁAW PANEK
WIĘCEJ PRĄDU Z WĘGLA ALBO BLACKOUT
Jak zapewnić Polsce bezpieczeństwo energetyczne

68 JACEK PRZYBYLSKI
ZADYSZKA BOTÓW. MNIEJ ENTUZJAZMU W ŚWIECIE AI

STYL

74 JOANNA BOJAŃCZYK
PROROCTWA GIORGIA ARMANIEGO
Pożegnanie projektanta mody

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (55), PRZYBYLSKI (61), GABRYEL, WARZECHA (72), KOMUDA (76), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl dce19a88a3

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **A. Ohayon/Israel GPO/Zuma Press/Forum, M. Magiera/Adobe Stock; oprac. graf. JAN**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

FIRMA RODZINNA

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl;
tel.: +48 508 040 684, +48 888 727 213
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Rozdziobią nas kruki i drony", Jerzy Karwelis, „DRz" 39/2025

W artykule „Rozdziobią nas kruki i drony..." „Do Rzeczy" 39/2025 autor Jerzy Karwelis w części z podtytułem „Co działa?" nie zadał sobie trudu, by precyzyjnie opisać stan środków przeciwlotniczych Wojska Polskiego do zwalczania dronów. Po pierwsze, nie mamy sześciu zestawów „Pilica", tylko Przeciwlotniczy System Rakietowo-Artyleryjski „Pilica", składający się z sześciu baterii rozmieszczonych w sześciu Dywizjonach Rakietowej Obrony Powietrznej (dywizjony od 32. do 37.). W każdej baterii jest sześć zestawów rakietowo-artyleryjskich ZUR-23-2SP Jodek z podwójną armatą 23 mm i dwiema wyrzutniami pocisków Grom lub Piorun. Razem 36 tzw. efektorów. Co do „pojazdu do likwidacji celów powietrznych Poprad", WP posiada 77 egzemplarzy Samobieżnego Przeciwlotniczego Zestawu Rakietowego „Poprad" na podwoziu pojazdu Żubr-P z czterema pociskami Grom/Piorun na ruchomej wyrzutni każdy (i czterema w zapasie). Plus dwa egzemplarze w Centrum Szkolenia Artylerii i Uzbrojenia w Toruniu. Ponadto każda brygada WP posiada dywizjon, a każda dywizja pułk przeciwlotniczy. Uzbrojenie to pułki i dywizjony mają przeróżne, ale kwestią do dyskusji (i decyzji) jest takie przemieszczenie posiadanych środków, by w miarę możliwości nasycić nimi wschodnią część kraju na czas niezbędny do systemowej poprawy sytuacji [...].

Z poważaniem
Ireneusz Kluska

Bezcenne guziki

Szanowni Państwo,
w lipcu, a nawet jeszcze w sierpniu 1939 r. w Polsce panował nieopisany optymizm. Gazety rozpisywały się o potędze polskiej armii, o niezawodnej artylerii, o samolotach, o rączych ułanach, wspaniałych aliantach. Nie mówiąc, rzecz jasna, o fantastycznych guzikach, o które trzeba było walczyć za wszelką cenę.

Tymczasem armia niemiecka stanowiła rzekomo bandę przebierańców w czołgach z tektury, które rozmokną podczas pierwszej przeprawy przez Odrę. Już po dwóch tygodniach kampanii wrześniowej i takim sobie wsparciu sojuszników utraciliśmy wszystkie guziki, wobec czego rząd udał się na zasłużoną emigrację, wywożąc tony złota. Lecz nawet wówczas optymizm nie przygasł. Melchior Wańkowicz w zbiorze esejów pt. „Kundlizm" opisuje swoją rozmowę z rodakami w rumuńskiej kawiarni. Wszyscy uważali, że z pomocą aliantów najpóźniej na wiosnę 1940 r. wrócą do swoich domów. On jeden prorokował na podstawie chłodnych obliczeń, że wojna potrwa sześć lat, zaczem towarzystwo wybuchło patriotycznym oburzeniem i jednogłośnie okrzyknęło go zdrajcą i defetystą.

Nie minęło 80 lat, a Polska znów rwie się do boju. Oczywiście znów mamy na tyle potężną [...]. Tyły też mamy zabezpieczone koalicją coraz mniej chętnych, szeroko reklamowanym „plecakiem premiera Kosiniaka" i schronami dla 10 proc. ludności. Reszta – czyli 90 proc. – ma na pocieszenie rządową aplikację, która wskaże, gdzie nie ma nawet co szukać schronu, oraz wypróbowaną strategię „ratuj się, kto może".

Bezcenne guziki same odpadają, przynajmniej moje.

Z poważaniem
Ewa Kowynia

eprasa.pl dce19a88a3

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Trzaskowski już zbędny

Rafał Trzaskowski został skazany na publiczne pośmiewisko. Prezydent Warszawy przedłożył radzie miasta swój autorski projekt dotyczący wprowadzenia nocnej prohibicji w stolicy. Tymczasem radni Koalicji Obywatelskiej, którzy dominują w Radzie Warszawy, odrzucili w głosowaniu projekt Trzaskowskiego. W jego miejsce wprowadzono jedynie pilotażowy program ograniczenia sprzedaży alkoholu w dwóch dzielnicach. Wynik głosowania uznano za zwycięstwo Marcina Kierwińskiego, szefa warszawskich struktur PO. Trzaskowski mógł odkryć, że wszystkie nitki w warszawskiej polityce trzyma Kierwiński, a nie on.

Od dwóch dekad „Kierwa" buduje swoją pozycję rozgrywającego w Warszawie. Według plotek ze środowisk biznesmenów bez cichej akceptacji Kierwińskiego nie zostanie wydana żadna miejska tzw. wuzetka, czyli zgoda na budowę wieżowca czy innej dużej inwestycji. Ta prawda jest tak oczywista, że nawet „Gazeta Wyborcza", która dyskretnie pomija temat monopolizacji przez PO wpływów w stolicy, zacytowała niedawno opinię „jednego z rozpoznawalnych posłów Koalicji Obywatelskiej". „Tusk i Kierwiński realnie obawiają się nowego ruchu politycznego, którego liderem miałby zostać prezydent Warszawy. Dlatego premier od samego początku wiedział o akcji z prohibicją i dał Kierwińskiemu zielone światło, a cel był jednoznaczny: pokazać Rafałowi jego miejsce".

Prawdopodobnie na decyzję o spektakularnym upokorzeniu Trzaskowskiego złożyło się parę motywów. Po pierwsze, Trzaskowski nie dementował plotek, które sugerowały, że może on chcieć powrócić do walki o schedę po słabnącym Donaldzie Tusku. Gdy po prezydenckiej przegranej pojawiły się głosy, że może wyłonić się jakaś bardziej liberalna mutacja Platformy stworzona przez Trzaskowskiego i część polityków Polski 2050 Szymona Hołowni, Trzaskowski nie pospieszył z publicznymi zaklęciami, że jest to nieprawda. Równie ważna była też, jak można podejrzewać, determinacja Marcina Kierwińskiego, aby wreszcie raz na zawsze udowodnić, że to on, a nie Trzaskowski, decyduje o wszystkim w Warszawie. Obecny minister spraw wewnętrznych i administracji liczył, że po ewentualnej wygranej prezydenckiej Trzaskowskiego przejmie fotel prezydenta Warszawy. Trzaskowski jednak poległ w pojedynku z Nawrockim i Kierwiński uznał, że musi zademonstrować swoją siłę nawet w sytuacji, gdy piękny Rafał nadal będzie prezydentem stolicy.

Dla Tuska wzmocnienie Kierwińskiego było na tyle ważne, że postanowił zgodzić się na odrzucenie ustawy prohibicyjnej, mimo że Platformie nie przynosi to punktów. Dlaczego Tuskowi tak zależy na „Kierwie"? Odpowiedź jest prosta. Obecny premier zawsze dba o „balance of power" wśród swoich podwładnych. A skoro Radek Sikorski wysuwa się na czoło w PO, to Tusk chce zrównoważyć jego siłę mocną pozycją Kierwińskiego. A to Kierwiński panuje nad aparatem partii.

Walka o nowe rozdanie na szczycie Platformy właśnie zaczyna się na naszych oczach. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE RED BULL

Z MOUNT EVERESTU NA NARTACH

Andrzej Bargiel, polski skialpinista (narciarz wysokogórski), 22 września zdobył szczyt Mount Everestu (8848,86 m) i zjechał z niego na nartach do bazy położonej na wysokości ok. 5364 m. Zrobił to bez korzystania z tlenu z butli. Ta sztuka nie udała się dotąd nikomu, sam Bargiel podejmował wcześniej dwie próby, ale plany krzyżowała pogoda. – To jeden z ważniejszych kroków w mojej sportowej karierze. Zjazd z Everestu bez tlenu był dla mnie marzeniem, które dojrzewało latami – powiedział. ***(raw)*** ©℗

eprasa.pl dce19a88a3

dwaj panowie g

Sensacją minionego tygodnia było spotkanie czterech polityków PiS, którzy potem w mediach społecznościowych niemal jednocześnie ujawnili zdjęcia z tego spotkania. Owa Fantastyczna Czwórka to Patryk Jaki, Tobiasz Bocheński, Przemysław Czarnek i Jacek Sasin. Komentowano to niemal jako założenie grupy spiskowej. Obawiamy się, że to my jesteśmy odpowiedzialni za to spotkanie. Zwołane bowiem zostało ad hoc, zaraz po tym, jak ujawniliśmy, że szeregowy poseł Jarosław Kaczyński znów chce zrobić premierem byłego premiera Mateusza.

Zkolei po tym, jak jakiś czas temu dobrotliwie pokpiwaliśmy sobie (gdyż jesteśmy dobrotliwi) z rozłamowców z wPolsce 24 (Adamczyk, Karnowski, Tulicki), że to muszkieterowie wolnego słowa, założyli spółkę Trzej Muszkieterowie, która ma być fundamentem nowej telewizji. Wiedzieliśmy, że jesteśmy wpływowi, ale nie wiedzieliśmy, że aż tak. Natomiast zwracamy uwagę, że tak naprawdę muszkieterów było czterech. I wiecie co? Jest ich czterech! No bo jeszcze Artur Chodziński! To pierwsza w dziejach ekranizacja Dumasa, w której rolę D'Artagnana gra były agent CBA.

Pamiętacie, jak parę tygodni temu informowaliśmy, że w Waszyngtonie idą dobre czasy dla niektórych przystawek z rządu Złego Donalda z Sopotu? Otwierają się bowiem dla nich drzwi, gdyż całkiem możliwy kształt przyszłego rządu/koalicji wykuwa się w USA. No i właśnie dopiero co okazało się, że w Waszyngtonie z misją od Peezelu był Misio Michał Kamiński. W doniesienia mediów o tym, że Kosiniaka-Kamasza przyjmie Trump, nie wierzcie. Ale taki Pete Hegseth? A owszem, owszem.

W podobnym kontekście trzeba rozpatrywać ostatnie przejawy niechęci Złego Donalda z Sopotu do niejakiego Rafała Trzaskowskiego, dawniej kandydata na prezydenta. Otóż Rafcio podobno jest za tym, żeby Amerykanów nie drażnić, co jest całkowicie sprzeczne z koncepcją Złego Donalda. W koalicji 13 grudnia za niedrażnieniem Amerykanów opowiada się też część Polski 2050, ale niestety nie ta, która jest w rządzie, to znaczy Marszymek Hołownia i jego topniejące otoczenie.

Apropos Rafcia Trzaskowskiego. Z zainteresowaniem przyjęliśmy fakt, że tzw. strona liberalna natrząsa się z tego, że zapuścił wąsa. W sumie trochę racja, bo wąs przysługuje tylko prezydentom Polski, a nie niedoszłym prezydentom. Mieliśmy więc kiedyś Bronisława I Wąsatego. Jednak bawi nas niezmiernie, że ludzie postępowi i arbitrzy elegancji czerpią przyjemność z szydzenia z czyjegoś wyglądu. Cóż, nowoczesność w Polsce zawsze miała trochę mało nowoczesne oblicze.

Tymczasem w Sejmie. Fakt, że pod projektem ustawy Lewicy o darmowych posiłkach w szkołach podpisali się PiS-owcy, nie wynika z tego, że to jest jakiś wspólny projekt, czy nie daj Boże spisek, ale ze zbiegu okoliczności. Otóż Janusz Cieszyński wszedł na konferencję właściwie przypadkiem, bo kroczył za dwoma dziennikarzami, z którymi akurat rozmawiał. A kiedy już wszedł, to stwierdził, że podpisze. A dalej już poszło.

Tymczasem w Krakowie. Im więcej głosów wzywających do referendum i odwołania prezydenta miasta, tym głupsze rzeczy robi prezydent Miszalski. Ostatnio ogłosił, którędy będzie biegła trasa metra. Choć w tym przypadku raczej którędy nie będzie biegła, bo w projekcie dwie linie w 80 proc. biegną jedną trasą, omijając Krowodrzę, jedną z większych, o ile nie największą, dzielnicę Krakowa. Przy okazji Miszalski zapowiedział, że metro będzie w części finansowane z pieniędzy na schrony dla ludności. Cóż, zatem do schronów załapią się tylko ci, którzy mieszkają przy metrze. My jednak liczymy, że ruskie na miasto bomby nie spuszczą – skoro przed laty oszczędził je niejaki Koniew.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Tymczasem w Sądzie Najwyższym. Wiecie, jak niektórzy mówią tam na Izbę Pracy kierowaną przez niejakiego Prusinowskiego? „Izba fartuszkowa". Nasze źródła twierdzą, że właśnie w tej izbie wpływy wolnomularskie są najsilniejsze. Chcielibyśmy sobie z tego porobić jaja, ale śmiech trochę nam więźnie w gardle, kiedy sobie przypominamy aferę w Sądzie Najwyższym. Jednym z jej głównych bohaterów był sędzia administracyjny, który u swojego kumpla z SN zasięgał porady, jak napisać kasację, żeby chwyciła. Otóż z nagrań dokonanych wówczas przez CBA wynikało, że ów sędzia był naprawdę wysoko ulokowany w strukturach jednej z lóż. Choć upłynęło od tego czasu sporo wody w Wiśle, to nasze wiewiórki utrzymują, że wpływy fartuszkowych w SN znacząco wzrosły.

Żeby było jasne: problem nie dotyczy jedynie Sądu Najwyższego. Silna i ciężka wagowo jest też reprezentacja wolnomularzy w Państwowej Komisji Wyborczej. Tyle możemy zdradzić. O ile mecenas zwany Koniem uchodzi za najdłuższego przedstawiciela palestry, o tyle członek PKW, którego mamy na myśli, startuje w kategorii najszerszego. Co prawda, polska konstytucja zakazuje działalności organizacji, których struktury są tajne, jednak jednocześnie nie ma w prawie paragrafu, który pozwala na ściganie. Przypomina nam to losy przedwojennego dekretu prezydenckiego, nie tylko zakazującego, lecz także penalizującego przynależność do masonerii. Wykonanie tego dekretu powierzono szefowi policji. Dziwnym trafem bardzo wysoko ulokowanemu w fartuszkowych strukturach. ©℗

eprasa.pl/dce194/ca3

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Demolka

Siedmioro sędziów Sądu Najwyższego z Izby Pracy i Ubezpieczeń Społecznych – czyli tej „prawilnej" izby, do której marszałek Hołownia wysyłał kiedyś do szybkiego „klepnięcia", z pominięciem ustawowych zasad obiegu dokumentów, wniosek o uchylenie immunitetów posłów Kamińskiego i Wąsika – zebrało się w ubiegłą środę i wydało „uchwałę", że Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych tegoż samego Sądu Najwyższego nie istnieje i wszystko, co orzeknie, nie ma znaczenia. Inicjatorem uchwały i wodzem całej siódemki był, jak się wydaje, dotychczasowy szef izby, Piotr Prusinowski. Wcześniej, w wywiadzie dla jednej z gazet, zapowiedział on, że swoje odejście – wynikające z zakończenia kadencji – uważa za moment graniczny. Od tego momentu – momentu, gdy on, ostatni sprawiedliwy, przestanie orzekać, Sąd Najwyższy już nie istnieje. Co rzekłszy, zebrał ostatnich wiernych sobie przyjaciół i uchwalił jak wyżej.

Godzi się wspomnieć, że Izba Pracy przyznane ma 22 etaty sędziowskie, a więc zebrana przez Prusinowskiego siódemka buntowników to nawet nie jedna trzecia jej składu. Zresztą, choćby za jego pomysłem opowiedziała się i cała izba, nic by to nie zmieniło. Uchwały takiej czy innej grupy sędziów nie są źródłem prawa. Co nim jest, jasno określa konstytucja. Siedmiu sędziów Prusinowskiego mogłoby sobie równie dobrze uchwalić, że Mandżuria należy do Wysp Zielonego Przylądka albo że Księżyc jest zbudowany z zielonego sera.

Ale ostatnie lata nauczyły peowskich sędziów jednego: że nic im nie grozi. Że mogą mącić, jak chcą, dostarczać lewicowym mediom dowolnych „niusów", a i tak pozostaną bezkarni. Daj Boże, by się wreszcie okazało, że się mylą.

Sam nie lubię ludzi, którzy mówią „a nie mówiłem", ale czy pamiętają państwo, co pisałem od dawna? Że ci ludzie nigdy nie pogodzą się z prawem ani demokracją. Prędzej podpalą sądy, niż oddadzą je Polakom. No i co, nie miałem racji? ©℗

MAREK JUREK

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

„Nowy typ Polaka"

Adaptacja walczącej o niepodległość Polski do warunków nowoczesnego świata – a więc rywalizacji mocarstw, gwałtownego rozwoju gospodarczego, umasowienia polityki – była u początku XX w., jeszcze przed sformułowaniem doktryny geopolitycznej, obsesją Dmowskiego. W tym pozytywnym sensie, w jakim Herbert mówił, że trzeba mieć swoje „obsesje", „tematy, do których się wraca". Dla Dmowskiego bowiem modernizacja społeczeństwa była w ogóle wyjściowym warunkiem walki o niepodległość.

W „Naszej bierności", III rozdziale „Myśli nowoczesnego Polaka", pisał, że wraz z rozwojem kapitalizmu pojawia się „nowy typ Polaka – typ czynny, przedsiębiorczy, w zakresie ekonomicznym zdobywczy". Realistycznie jednak zauważał, że dla polityki narodowej „nie przedstawia on przeważnie żadnej wartości […], pozostał ślepym na sprawy w jej zakres wchodzące, a zresztą, jako początkujący w walce ekonomicznej zbyt zaprzątnięty jest myślą o niej […], zbyt jest materialistyczny, żeby być zdolnym do poświęceń".

Tej realistycznej wizji towarzyszyło więc… marzycielstwo, nowa polska nadzieja, że gdy się „ten typ utrwali, gdy się wyrobi", wtedy wniesie swe wartości, swój realizm życiowy, do życia politycznego.

Procesy, o których pisał Dmowski, rozwój klasy średniej, pewną aktywizację gospodarczą inteligencji, przerwał upadek niepodległości. Potem znów stanęliśmy w punkcie wyjścia. Opis raczkującej przedsiębiorczości – „zbyt zajętej", społecznie „ślepej", „zbyt materialistycznej" – idealnie pasował do startującego na początku lat 90. XX w. Kongresu Liberalno-Demokratycznego.

Dziś do tego „nowego typu Polaka" w znacznym stopniu odwołuje się liberalne skrzydło Konfederacji. Od tego, czy zrozumie, że środowiskom tym trzeba przewodzić, a nie tylko je „reprezentować", zależy w dużym stopniu przyszłość prawicy, więc również – przyszłość Polski. ©℗

eprasa.pl dce19a88a3

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O budowniczych pokoju

W niedzielę 21 września w intencji pokoju w Strefie Gazy zrzeszenie ultralewicowych związków zawodowych proklamowało strajk generalny i wezwało do masowych demonstracji pod hasłem „Zatrzymać wszystko". W całej Italii zatrzymały się autobusy, tramwaje, metro, wiele pociągów i cztery porty. W 80 miastach Włoch na ulice wyszli budowniczowie pokoju. Oczywiście wyłącznie w Strefie Gazy i na Zachodnim Brzegu. To, że na Ukrainie Rosja codziennie morduje cywili, włoskim pacyfistom absolutnie nie wadzi.

W Mediolanie pacyfiści tak ostro walczyli o pokój, że rannych zostało 60 policjantów. Dwudziestu trafiło do szpitala. Zdewastowane zostały dworzec centralny i okolice. Walki trwały przez wiele godzin. Brutalność i agresja rozwścieczonej tłuszczy były porażające. Ostatnio podobne sceny można było oglądać na ulicach Mediolanu 10 lat temu, z okazji inauguracji Expo. Tyle że awanturę wywołał żywioł czysto włoski.

Zgodnie z najgorszymi obawami 21 września w Mediolanie, a także w Bolonii i Neapolu, górę wzięła piorunująca mieszanka zawodowych zadymiarzy: anarchistów, radykalnych kolektywów uczniowskich i studenckich, a przede wszystkim, i to jest nowość, młodych i bardzo młodych migrantów lub dzieci migrantów z państw arabskich.

Przy czym ta analiza etniczna nie jest wcale dziełem skrajnej prawicy, jej polityków i mediów, rasistów lub neofaszystów, lecz „Corriere della Sera", wyważonego, wiodącego dziennika Italii z lekkim lewicowym przechyłem: „Nie mają wodza i są bardzo młodzi. Policja nie ma z kim negocjować zawieszenia broni. Przyjechali z peryferii. Los Palestyńczyków jest dla nich symbolem, ale bardziej pretekstem. Dominuje wściekłość. Atakują policję niezamaskowani. Nie boją się. Wrzeszczą. Najczęściej po arabsku".

W Mediolanie mówi się o nich „marazna". To młodociane, agresywne gangi przestępcze i zjawisko społeczne. Należą do nich też młodzi Włosi. Napadają na przechodniów i okradają sklepy.

„Mediolan coraz bardziej przypomina Paryż" – ubolewa „Corriere". ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl dce19a88a3

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER

NIEZŁY CYRK

„Taniec z gwiazdami" wciąż wywołuje niemałe emocje. Jako pierwsza para z tanecznego show odpadli projektantka mody Ewa Minge i jej taneczny partner Michał Bartkiewicz. Gdy nadszedł moment pożegnania, Minge nie gryzła się w język. W niezbyt sympatycznych słowach zwróciła się do jednego z jurorów, Rafała Maseraka. – Dzięki ci, Rafał Maserak, za to, że ośmieszyłeś nas na koniec, robiąc figurę, którą zrobiłam. Myślę, że to jest klasa sama w sobie – żachnęła się gwiazda, co wywołało spore zdziwienie jury. O co poszło? Wcześniej Maserak i Iwona Pavlović wykonali na parkiecie kilka podstawowych kroków cha-chy, a na koniec pokazali figurę, która przypominała tę wykonaną tydzień wcześniej przez Minge. – Ja byłam w programie na żywo i uważam, że takie zachowanie, żeby pokazać naszą ostatnią figurę w naszym poprzednim tańcu, którą wszyscy pokazywali, ta figura była wszędzie. To było to, jak ja stoję na głowie i odtańczenie choreografii, nie od niechcenia, bo to była profesjonalna choreografia, do której się musieli i Iwona, i Rafał Maserak przygotować. Odtańczenie tej choreografii i stanięcie na głowie, tak jak ja to zrobiłam, że oni to zrobili w ogóle tak od niechcenia, raptem przyszła im do głowy ta figura z tysiąca różnych figur, że to nie było złośliwe, i powiedzenie, że liczą się kroki, a nie stanie na głowie – wyjaśniała oburzona. Projektantka wskazała, że nieco żałuje udziału w tego rodzaju programie. – Pierwszy raz poddałam się ocenie i wiem na pewno, że mój tata, który mi zabraniał to zrobić, a który był dzisiaj na widowni, miał rację. Bo trudno mi się jest chyba odnaleźć mimo wszystko w takim programie, gdzie trzeba się ścigać o sympatię jurorów, o głosy, o wiele różnych innych rzeczy. Gdzie nie bierze się pod uwagę, mimo wszystko, pewnych predyspozycji czy to, że ktoś już na przykład, nie wiem, skończył szkołę tańca, no różne inne historie – stwierdziła. – Mój tata powiedział: dziecko, ale skoro wzięłaś udział w cyrku, no to licz się z tym, że zostaniesz w tym cyrku również w pewnym momencie klaunem. Nie chciałam zostać klaunem – dodała gorzko projektantka. Na koniec wystosowała apel do widzów programu. – Ja jeszcze małe i drobne sprostowanie. Oczywiście „Taniec z gwiazdami" to nie jest żaden cyrk, to jest przepiękny program. Moi drodzy, oglądajcie, zachęcam was, głosujcie na wszystkie pary, które tam są, kogo lubicie. Rzeczywiście ludzie, którzy pracują nad tym programem, wkładają w to tyle serca, tyle pracy i to jest niezwykłe widowisko. Myślę, że czasami po prostu w takim niezwykłym widowisku zdarzają się rzeczywiście sytuacje, które mają się klikać. I ja wiem, że tu się też jakieś clickbaity pojawią i będziecie państwo klikali, ale jeszcze raz upraszam: nie hejtujmy. To jest mój przekaz – zakończyła. Przypomnijmy, że Polsat ogłosił, iż zwycięska gwiazda otrzyma 200 tys. zł, a jej partner lub partnerka – 100 tys. zł. Dość dochodowy ten cyrk.

BOTOKSU WCIĄŻ MAŁO

Kolejne przygody Dody-Elektrody. Dorota Rabczewska podzieliła się z fanami prawdziwym „dramatem". Opublikowała na Instagramie nagranie z auta, na którym dokonała wyznania w sprawie botoksu. Niestety, ale celebrytce nie wystarcza on na długo. – Ja już wiem, dlaczego mnie ten botoks tak krótko trzyma. No, ja już to wiem – zaczęła. Wokalistka szybko znalazła przyczynę. Ja po prostu za dużo ćwiczę. Co drugi dzień. I po prostu mi się jakoś metabolizuje – stwierdziła. Zaraz dodała, nie kryjąc oburzenia: „Ale żeby mi puszczał po trzech miesiącach, czterech?! To w ogóle jest jakieś nieporozumienie! To są problemy, to są poważne problemy! Idę teraz na ten pilates. Nie mam zamiaru ćwiczyć rzadziej [...]. Będę suplementować cynk i dam Wam update za trzy miesiące, jak to działa". A podobno sport to zdrowie.

CO ZA TRUD!

Pozostając w kręgu celebryckich mądrości. Blanka Lipińska postanowiła po raz kolejny udowodnić, że milczenie jest złotem. Pisarka odpowiedziała na pytanie jednego z obserwatorów o to, czy „zawód" influencera jest trudny. Bez zaskoczenia odparła, że jest. „To zgromadzenie ludzi jest trudne, bo gdyby było łatwe, to wszyscy by tak zarabiali, bo i czemu nie. Ktoś powie, że można kupić tych ludzi – wszystko można, tylko to widać, są sposoby na to (niezbyt trudne), żeby to sprawdzić i reklamodawcy to robią" – stwierdziła pisarka. „Załóżmy, że masz już konto z prawdziwymi ludźmi i możesz zarabiać. To teraz musisz znaleźć reklamodawców, którzy chcą zapłacić, by być na twoim koncie. Załóżmy, że ich już znalazłeś albo sami przyszli, to teraz musisz ich produkt tak sprzedać, żeby im się co najmniej zwróciła współpraca z tobą, a najlepiej, żeby zarobili. Załóżmy, że ci się to udało, to teraz musisz utrzymać zainteresowanie tych ludzi, co są na Insta, bo inaczej odejdą, a reklamodawcy razem z nimi" – wskazała Lipińska. Górnicy, słyszycie? ©℗

eprasa.pl dce19a88a3

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jesteśmy pod wrażeniem empatycznej polityki rządu, który zdecydował się na krok, jakiego nigdy byśmy się nie spodziewali (ani nawet nie oczekiwali) ze strony Kaczafiego i pisiorów. Otósh rząd w świeckim duchu „keine grenzen" zdecydował się otworzyć granicę z Białorusią – dowiedzieliśmy się z mediów.

Jesteśmy pod wielkim wrażeniem otwartości, tolerancji, a także takiego proaktywnego podejścia do polityki wschodniej. Otwarcie granic jest bowiem jasnym sygnałem, iż zapraszamy Białoruś do aktywniejszego wdrażania procesu integracji europejskiej.

Generalnie cieszy nas trend otwierania granic, iż jak pewnie dobrze wiecie, uznajemy wspólnotowość europejską zbudowaną na fundamencie zaufania pomiędzy państwami członkowskimi. Jesteśmy of kors również fanami głębokiej integracji europejskiej prowadzącej do unieważnienia średniowiecznego konceptu ojczyzn i narodów.

Jak więc widzicie, decyzja rządu nie dość, iż przyczyniła się do większego poziomu otwartości tego kraju, to jeszcze zmotywowała nas do sformułowania powyższego statementu geopolitycznego z pogranicza filozofii polityki oraz historii idei. Jesteśmy naprawdę pod wrażeniem samych siebie.

Pamiętajcie, iż 30 września musicie zachować czujno w swoich korpo (korpach?), iż tego dnia mentalne podkarpacie, które w XXI w. postrzega świat binarnie, świętuje dzień tzw. chłopaka i nie chodzi tu bynajmniej też o np. chłopaków z macicami, ale wyłącznie o tych nudnych tradycyjnych chłopaków fallusopozytywnych. Takie jest polskie społeczeństwo, taka jest polska szkoła.

Dlatego my na gruncie swojego korpo chcemy zaimplementować nowe

świecko i wprowadzić Dzień Osób. Chcemy w ten sposób zaprosić do wspólnych obchodów wszystkie osoby, jakie są zatrudnione w naszym korpo na kontraktach B2B, i tym samym pokazać inkluzywność oraz postępowość, iż nie obchodzimy żadnych „dni" bazujących na płciowych podziałach.

Ten genialny w swojej prostocie pomysł powinien przejść nawet pomimo ideologicznego zacietrzewienia Nowego z Tarnowa, który – o ile nam wiadomo – identyfikuje się jako osoba, a więc nie powinien znaleźć pretekstu do wykluczających zachowań. Naprawdę mamy dobrą intelektualnie passę xD!

A jako iż zawsze staramy się być na bieżąco z kulturą, jesteśmy już po seansie nowego sezonu „1670" na Netflixie. Oczywiście sporo się uśmialiśmy, iż jako millennialsi byliśmy adresatami humoru zastosowanego przez twórców, ale jak to często bywa – po śmiechu przyszedł czas na refleksję i łzy.

Otósh, jak wiadomo, „1670" to dokument fabularyzowany, dlatego też rozumiemy, iż nie spodobał się prawakom i konserwatystom, iż trudno im pogodzić się z faktami, że tak właśnie wyglądało życie szlachty sarmackiej w XVII stuleciu (i pewnie nie tylko).

My natomiast traktujemy to jako cenną lekcję historii – dzięki temu dobrze wiemy, jak wyglądały wieczory kawalerskie w sarmackiej Polsce, a także zobaczyliśmy, iż pewne zachowania wakacyjne współcześni janusze odziedziczyli po swych odleglejszych przodkach. Oby więcej takich rozwijających dokumentów, nie możemy się doczekać nowego „Wiedźmina"!!11 ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Alkohol to trucizna

Rafał, ja nie... nie chciałem... chciałem zrobić ci kuku. Serio... rio... rio...
Co ty, Marcin, tak dziwnie mówisz?

Ja mówię... ...wię normalnie. To pogłos... głos... łos...
Ale my tę prohibicję jednak wprowadzimy.

A proszę bar... bar... dzo... dzo... Ja mam zapas... pas...
Czego masz zapas?

No jak czego? ...ego? Ja, proszę ciebie... bie... alkoholu to normalnie... lnie... do ust nie biorę.

Wódy mam... Wody, chciałem powie... powiedzieć... dzieć... mam zapas.
A może winka? Mam bardzo zacne, z Hiszpanii sobie przywiozłem ostatnio całą skrzynkę.

Nie, dzię... dziękuję. Alkohol to tru... tru... trucizna. Zapamiętaj to so... so... sobie. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Teraz mamy sytuację: nieodpowiedzialny psychol z tytułem ministra kontra bezsilne państwo polskie".

WOJCIECH CZUCHNOWSKI, *publicysta „Gazety Wyborczej", na X o szefie Biura Bezpieczeństwa Narodowego Sławomirze Cenckiewiczu, będącym w sporze z szefostwem MON*

eprasa.pl dce19a88a3

Globalne konsekwencje depopulacji Gazy

Wojciech Golonka

Społeczność międzynarodowa pozostaje bezsilnie bierna wobec ostatecznej destrukcji Gazy, która staje się faktem dokonanym

Trudno dziś ocenić ostateczną skuteczność uznania in extremis państwa palestyńskiego przez kilka światowych potęg oraz wiele krajów pośrednich; uznania niepozbawionego zresztą kontrowersji w chwili, kiedy Hamas wciąż przetrzymuje żydowskich zakładników. W rzeczy samej, jeśli spojrzeć na ten akt z dystansu – a przypomnijmy, że Polska takiego uznania dokonała jeszcze w 1988 r.! – i bez emocji, to mimo pięknych deklaracji o sprawiedliwości i pokoju mamy przede wszystkim do czynienia z desperackim posunięciem kilku krajów wciąż aspirujących do wpływania na ład międzynarodowy, z Francją i Wielką Brytanią na czele, usiłujących tym ruchem zablokować nadchodzącą, zdawałoby się nieuchronnie, aneksję przez Izrael Strefy Gazy, a z nią i całej Palestyny. Co ważne, w posunięciu tym to właśnie zablokowanie ekspansji Izraela, a nie powstrzymanie bieżącej depopulacji Gazy wybrzmiewa w pierwszym rzędzie. Albowiem to właśnie ewentualna aneksja Gazy (i Zachodniego Brzegu), uznawanych przez Francję czy Wielką Brytanię już jako państwo palestyńskie, rzeczywiście zaburzyłaby ład regionalny i międzynarodowy, gdy tymczasem tzw. społeczność międzynarodowa pozostaje bezsilnie bierna wobec ostatecznej destrukcji Gazy, która staje się faktem dokonanym.

ZAMIERZONA DEPOPULACJA GAZY

Zaznaczam, że pojęcia depopulacji używam tu celowo: jest ono wprawdzie na pierwszy rzut oka mniej frapujące wy-

eprasa.pl dce19a88a3

Palestyńczycy uciekający z północnej części Strefy Gazy, 24 września 2025 r.
FOT. DAWOUD ABU ALKAS/REUTERS/FORUM

obraźnię niż używane od pewnego czasu względem sytuacji Palestyńczyków, i to coraz powszechniej, określenie „ludobójstwo", ale najlepiej oddaje ono w sposób prosty obecny stan rzeczy. Ludobójstwo jest bowiem pojęciem technicznym, ukutym przez polskiego prawnika żydowskiego pochodzenia Rafała Lemkina w czasie drugiej wojny światowej do kwalifikacji pewnego rodzaju zbrodni na ludności cywilnej. Stąd jego stosowanie jest podatne na kazuistykę prawniczą czy nawet zależne od rozstrzygnięć kompetentnego trybunału, gdyż nie każdy mord danej grupy cywilów jest ludobójstwem. Natomiast depopulacja w pełni i kompleksowo, a zarazem w zasadzie bez kontrowersji (skoro strona ją przeprowadzająca się z tym nie kryje) oddaje empiryczny fakt dokonujący się w Gazie od czasów wojny wypowiedzianej przez armię izraelską siłom Hamasu, odpowiedzialnym za terrorystyczny zamach z 7 października 2023 r. i towarzyszące mu wzięcie do niewoli 251 zakładników.

Tak, walcząc z Hamasem, armia Izraela bez wątpienia dokonuje systematycznej destrukcji Gazy, czyniąc ją w praktyce „niezamieszkalną". Z kolei cywile, podatni na likwidację przy okazji nalotów, ostrzałów lub ognia snajperskiego, borykający się z głodem, są dodatkowo poddani radykalnej i nieubłagalnej presji do opuszczenia swych ziem i emigracji – choć ta z różnych przyczyn jest dla nich w gruncie rzeczy niemożliwa. Co więcej, są to ewidentnie działania celowe, intencjonalne, a nie tylko podejmowane mimochodem przy okazji prowadzonych działań militarnych – jak wskazała niedawno w wywiadzie dla izraelskiej telewizji Gila Gamli'el, minister w rządzie Beniamina Netanjahu i członek jego partii Likud: „Uczynimy Gazę nie do życia, aż mieszkańcy ją opuszczą, i uczynimy to samo [na Zachodnim Brzegu]". Z kolei Becalel Smotricz, minister finansów, w ostatnich dniach powiedział wprost, że „Gaza jest nieruchomościową bonanzą", że prowadzi rozmowy z Amerykanami na temat podziału tego terytorium po wojnie, a biznesplan całego przedsięwzięcia został już złożony na biurko prezydenta Donalda Trumpa. „Dokonaliśmy etapu wyburzenia… teraz trzeba odbudować" – puentował.

Podobnie wymowne wypowiedzi nie są zresztą odizolowane, a ich autorzy wcale się z nimi nie kryją. Być może nieco bardziej dyskretne pozostają wypowiedzi żydowskich rabinów i przywódców duchowych, skierowane do izraelskich żołnierzy, celem uspokojenia ich sumień i pobudzenia gorliwości. Ci skrajni syjoniści uważają, że w obronie kraju nie należy wahać się, zabijać także palestyńskie dzieci i kobiety, bo te pierwsze – to przecież przyszli terroryści, a te drugie – ich potencjalne rodzicielki. Innymi słowy, nie budzi wątpliwości, że to, co dokonuje się w Gazie, jest zamierzonym zjawiskiem jej depopulacji, w tym wypadku: usunięcia pod przymusem tamtejszych rdzennych mieszkańców, z elementami częściowo dopuszczanej eksterminacji „prewencyjnej".

Wchodząc w szczegóły i kwalifikacje prawne, Niezależna Międzynarodowa Komisja Śledcza Organizacji Narodów Zjednoczonych do spraw okupowanego terytorium Palestyny stwierdziła w połowie września, że w ciągu ostatnich dwóch lat siły zbrojne Izraela dopuściły się czterech z pięciu ludobójczych zbrodni definiowanych przez Konwencję z 1948 r. w sprawie zapobiegania i karania zbrodni ludobójstwa. Mianowicie: zabijania, powodowania poważnych obrażeń fizycznych lub psychicznych, celowego stwarzania warunków życia mających na celu spowodowanie całkowitego lub częściowego zniszczenia Palestyńczyków oraz stosowania środków mających na celu uniemożliwienie narodzin.

Ma się rozumieć, podobne oskarżenia nie pozostają bez odpowiedzi ze strony Izraela. Po pierwsze, gdy dochodzi do jakiegoś zajścia poruszającego światowe media, jak w przypadku zabicia działaczy humanitarnych czy ostrzelania szczególnych miejsc schronienia (np. parafii św. Rodziny w Gazie), izraelskie władze zapowiadają zbadanie „incydentu", wewnętrzny audyt w wojsku itp., ucinając tym samym temat. Jeśli kwestia zbrodni wojennych lub ludobójstwa jest dalej podnoszona przez znaczących polityków czy wpływowe instytucje, to odpowiedź uwzględnia oskarżenia o antysemityzm i podkreślanie w koło prawa Izraela do samoobrony przed Hamasem, odpowiedzialnym za wszelkie nieszczęścia tej wojny. W podobnym duchu, choć pozbawionym inwektyw, odpowiadają Stany Zjednoczone, główny sojusznik Izraela w tej wojnie, bez którego wsparcia nie byłaby ona zresztą możliwa. Dla USA głównym warunkiem zakończenia wojny, o czym wspomniał prezydent Donald Trump na Zgromadzeniu Ogólnym Narodów Zjednoczonych, jest uwolnienie przez Hamas wszystkich wciąż żywych zakładników i zwrócenie ciał tych zmarłych w niewoli, a wówczas nastanie pokój. Wtóruje mu sekretarz stanu Marco Rubio – jakiekolwiek uznanie Palestyny może mieć miejsce dopiero po zakończeniu wojny, w innym razie byłaby to nagroda dla Hamasu, którego jedynym celem jest zresztą zniszczenie Izraela.

Ten jednolity zewnętrznie głos Waszyngtonu i Tel Awiwu (a w sumie: Jerozolimy, odkąd USA uznały ją za stolicę Izraela) nie jest jednak wolny od

eprasa.pl dce19a88a3

wewnętrznych podziałów, rozgrywek i stawiania Amerykanów przed faktami dokonanymi przez ich partnerów, co tych pierwszych doprowadza do szewskiej pasji. Wspomniał o tym niedawno w popularnym programie „The Young Turks" Matthew Miller, rzecznik Departamentu Stanu w administracji Joe Bidena, mówiąc, że w rzeczywistości rząd Izraela sabotował starania Amerykanów na rzecz zawieszenia broni oraz systematycznie podważał post factum opracowane wspólnie stanowiska, jeśli nie były one w pełni po jego myśli. Widać to było szczególnie wyraźnie za następnej administracji w przypadku osiągniętego przez Stany Zjednoczone zawieszenia broni między Izraelem a Iranem, które to Izrael postanowił złamać już na samym początku, wysyłając swe samoloty do kolejnego ataku na Iran, prowokując tym samym publiczny gniew Donalda Trumpa i jego stanowczą reakcję.

Zasadniczo jednak Amerykanie – zarówno republikanie, jak i demokraci – mimo różnic umożliwiają finansowo i logistycznie politykę zbrojną Izraela ostatnich lat, a także ubezpieczają ją, wspomagając i chroniąc na gruncie polityki międzynarodowej. Z przykładów, które warto przytoczyć, należałoby wymienić sankcje wymierzone w Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze. USA rozważają obecnie wariant „atomowy" odcięcia tej instytucji od amerykańskich technologii informatycznych, a także w ogóle od systemu bankowego, co w praktyce paraliżowałoby jego prace. Trybunał przezornie wypłacił już pracownikom pensje za resztę roku do przodu.

WALKA O NARRACJĘ

Ta zadziwiająca i niewzruszona współpraca na linii USA – Izrael ma bardzo prozaiczne wytłumaczenie w postaci niezwykle skutecznego lobby żydowskiego w Ameryce, przede wszystkim w postaci osławionego AIPAC, Amerykańsko-Izraelskiego Komitetu Spraw Publicznych, stanowiącego w praktyce fundusz z pożądanymi przez polityków środkami na kampanie wyborcze. W konsekwencji nie tylko w praktyce, lecz także nawet dosłownie amerykańskie elity polityczne zachowują się jak przedstawiciele Izraela – ambasador USA w Izraelu, Mike Huckabee, mówił, że mieszka tam 700 tys. obywateli USA, co tworzy swego rodzaju symboliczny okręg wyborczy i obowiązek moralny jego reprezentacji.

Idea ta przyświecała zresztą jako hasło nadrzędne, „50 Stanów – jeden Izrael", podczas wizyty amerykańskich legislatorów, głównie stanowych, w Izraelu we wrześniu. W rzeczy samej, wzięli w niej udział reprezentanci wszystkich stanów, w rekordowej liczbie 250 osób! Mniej więcej w tym samym czasie spiker Izby Reprezentantów Mike Johnson podejmował na Kapitolu reprezentację AIPAC, zapewniając, że partia republikańska uniemożliwi powiększenie się w Kongresie frakcji twardogłowych polityków traktujących dosłownie politykę „America First", gdy idzie o Izrael – pokroju Marjorie Taylor Greene, której przyszła do głowy próba zablokowania pomocy militarnej dla Izraela o wartości 500 mln dol. w budżecie obrony USA na rok 2026.

Amerykanie – zarówno republikanie, jak i demokraci – mimo różnic umożliwiają finansowo i logistycznie politykę zbrojną Izraela ostatnich lat

Co istotne, również we wrześniu, bezpośrednio po amerykańskim wecie rezolucji ONZ na rzecz uznania państwa palestyńskiego i zawieszenia broni w Gazie, Marco Rubio udał się do Izraela celem potwierdzenia sojuszu amerykańsko-izraelskiego, a swoją obecnością, niezależnie od intencji, firmował dokonującą się w tym samym czasie systematyczną depopulację miasta Gazy.

Jednocześnie trzeba zaznaczyć, że mimo tego niegasnącego poparcia amerykańskich polityków dla działań i polityki Izraela wyraźnie słabnie poparcie dla tejże w amerykańskim społeczeństwie. Jeśli Amerykanie w większości mają pozytywny stosunek do Izraela (59 proc.), to jedynie 32 proc. aprobuje izraelskie działania w Gazie, a tylko 28 proc. uważa, że USA właściwie wspierają Izrael, podczas gdy 41 proc. twierdzi, że amerykańska pomoc jest za daleko idąca (dychotomia ta jest skądinąd widzialna też u części Żydów, w Izraelu i na świecie). Znaczące jest to, że wśród młodych Amerykanów wskaźniki te są jeszcze ostrzejsze: jedynie 18 proc. wyborców poniżej 30. roku życia aprobuje działania w Gazie, a 62 proc. uważa, że Izrael dokonuje ludobójstwa Palestyńczyków.

Dla żydowskiego lobby zjawisko to musi być niezwykle alarmujące i być może nie bez znaczenia jest to, że po planowanym przejęciu w USA przez Amerykanów TikToka – chińskiej aplikacji rozrywkowej dla młodzieży – jej algorytmy, mające bez wątpienia wpływ na kształtowanie światopoglądu użytkowników, trafią pod nadzór firmy Oracle, na której czele stoi przyjaciel Donalda Trumpa, żydowski miliarder Larry Ellison.

Tę walkę o narrację widać też było przy okazji morderstwa 31-letniego Charliego Kirka, niezwykle skutecznego działacza na rzecz odnowy USA w duchu konserwatyzmu, powrotu do chrześcijaństwa i tradycyjnych wartości. Otóż obok mętnych teorii spiskowych o jego ewentualnym zabójstwie przez Mosad przypominano jego rzeczywiste wypowiedzi świadczące o rozczarowaniu polityką Izraela i zaangażowaniem w nią Ameryki. A zważywszy na poruszenie wywołane jego śmiercią i pośmiertne zwielokrotnione odziaływania jego idei, Izrael i jego forpoczty w USA naprawdę dwoiły się i troiły, aby zminimalizować te doniesienia; sam zresztą premier Beniamin Netanjahu zabierał w tej sprawie kilkakrotnie (!) głos, co świadczy o rzeczywistej stawce dla Izraela w walce o właściwą narrację wśród amerykańskich wyborców. Dodajmy przy tym, że administracja Donalda Trumpa od miesięcy bez skrupułów deportuje zagranicznych studentów uznanych za siewców antysemityzmu, a w sierpniu próbowała przeforsować pozbawienie instytucji i stanów bojkotujących Izrael bądź izraelskie firmy dostępu do grantów i środków podlegających Federalnej Agencji Zarządzania Kryzysowego (FEMA), z czego jednak pod wpływem presji medialnej się szybko wycofano.

POKÓJ CZY REGIONALNA ESKALACJA?

Wracając do tragedii Gazy, trudno obecnie jednoznacznie wskazać, jaki

eprasa.pl dce19a88a3

czeka ją ostateczny los, choć rozważane są różne warianty. Największym problemem zdają się tu ludzkie uwarunkowania i wyznawane ideologie. Jak słusznie wskazał kard. Pierbattista Pizzaballa, łaciński patriarcha Jerozolimy, pozwolono na to, aby Gazę z jednej i z drugiej strony opanowali ekstremiści. Nie miejsce tu, by przedstawiać w całości zawiłe i burzliwe relacje izraelsko-palestyńskie od 1948 r., ale warto przypomnieć, że pokolenie ludzi umiarkowania i kompromisu zostało, po obu stronach, na dobre odsunięte od decyzyjności. Premier Icchak Rabin, sygnatariusz porozumienia z Oslo z 1993 r. z Jasirem Arafatem, został zabity w 1995 r. przez izraelskiego nacjonalistę, dostrzegającego w jego działaniach egzystencjalne zagrożenie dla Izraela. Z kolei Fatah Arafata, Palestyński Ruch Wyzwolenia Narodowego, który pod koniec lat 80. wyrzekł się metod terrorystycznych i brał udział w procesie normalizacji stosunków z Izraelem w latach 90., utracił w 2007 r. władzę w Gazie na rzecz Hamasu, który rok wcześniej wygrał tam demokratyczne wybory. Co więcej, Mahmud Abbas, spadkobierca spuścizny politycznej Arafata, został prezydentem Autonomii Palestyńskiej już w 2005 r., jego kadencja wygasła w 2013 r., ale z błogosławieństwem ONZ nadal piastuje on (uzurpuje?) ten urząd i nie przeprowadził nigdy nowych wyborów. Powód? Utrzymać władzę na Zachodnim Brzegu i nie przegrać w wyborach z Hamasem.

W tej układance, niestety, radykałowie po obu stronach są dla siebie nawzajem paliwem. Hamas – niezależnie od prawdziwości teorii, że został w rzeczywistości wykreowany przez Izrael dla osłabienia Fatahu, który przestał być postrzegany jako zagrożenie – cieszy się wręcz fanatycznym poparciem części Palestyńczyków wobec naporu kolonizacyjnego Izraela na ich ziemie. Z kolei dla wyznawców projektu Wielkiego Izraela, pokroju Benjamina Netanjahu i jego sojuszników, wyznawców ideologicznych lub czysto oportunistycznych, terrorystyczny Hamas jest doskonałym pretekstem uzasadniającym wszelkie ofensywy i działania w imię bezpieczeństwa narodowego. Dodajmy, że nie zostało wyjaśnione, w jaki sposób tak wielka inkursja Hamasu była możliwa 7 października 2023 r., a istniejące poszlaki wskazują na to, że została ona wręcz umożliwiona poprzez celowe zaniechania.

CZERWONE LINIE

Jakkolwiek było, Beniamin Netanjahu okazał się mistrzem w wykorzystywaniu walki z terroryzmem zarówno do realizacji własnych celów politycznych, jak i do paraliżowania toczących się wokół niego dochodzeń na tle korupcyjnym. Między innymi dlatego dopóki pozostanie on u władzy i będzie cieszył się niewzruszonym poparciem amerykańskich elit, dopóty tak trudno przewidzieć dalszy rozwój sytuacji. Może należy przede wszystkim przewidywać, że kontynuowanie działań wojennych natury wszelakiej (potencjalnych celów na Bliskim Wschodzie w końcu nie brakuje) będzie dla niego swoistą ucieczką do przodu.

Na horyzoncie pokazały się jednak pewne czerwone linie ze strony państw arabskich i islamu w ogóle. Jeśli dotychczas ich sprzeciw miał przede wszystkim wyraz solennych słów bez konsekwencji i nie chciały one w ogóle słyszeć o przyjęciu do siebie palestyńskich uchodźców-przesiedleńców, to ewentualna aneksja Gazy przez Izrael doprowadziłaby do zaburzenia relacji w regionie, o których normalizację usilnie zabiegał Donald Trump ze swym projektem Porozumień Abrahamowych. Izraelski atak na Katar, sojusznika USA, celem eliminacji przywództwa Hamasu, chybiony zresztą, przyśpieszył zwarcie szyków wśród krajów muzułmańskich, tak łatwo skłócanych między sobą. Arabia Saudyjska zawarła właśnie sojusz obronny z Pakistanem, który, choć niejawny, wedle doniesień przewiduje objęcie jej parasolem nuklearnym Pakistanu (nadmienimy, że projekt Wielkiego Izraela zakłada przejęcie znacznej części Półwyspu Arabskiego). Egipt z kolei utrzymuje w gotowości wojska pancerne na półwyspie Synaj, nie zamierzając pozostawić ewentualnej likwidacji Palestyny bez odpowiedzi zbrojnej. Indonezja, największy pod względem liczebności kraj muzułmański na świecie, właśnie oświadczyła ustami swego prezydenta w Nowym Jorku gotowość wysłania 20 tys. żołnierzy rozjemczych do Gazy.

Otóż zaangażowanie państw muzułmańskich w stabilizację i odbudowę Gazy to rzeczywiście jedna z wymienianych opcji planu pokojowego Trumpa, który w Nowym Jorku miał nawet obiecać im, że nie dopuści do aneksji… ale Zachodniego Brzegu – pozostawiając tym samym otwartą kwestię aneksji Gazy lub nawet dając do zrozumienia, że Gaza jest stracona, przynajmniej z punktu widzenia państwa palestyńskiego, co długofalowo oznacza jej wywłaszczenie, jakkolwiek atrakcyjnie by przedstawiać rozwiązania jej odbudowy i przyszłej administracji. I choć państwa te już deklarowały pewne kwoty, jednak niewystarczające. Niespodziewanie przed szereg podczas Zgromadzenia Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku wystąpiła Ursula von der Leyen, wprawdzie niereprezentująca żadnego narodu, jednak ochocza zaciągająca zobowiązania w imię państw europejskich. Otóż przewodnicząca Komisji Europejskiej zapowiedziała utworzenie instrumentu finansowania odbudowy Gazy, co, przekładając na język polski, oznacza załatwienie kilku potentatom z Europy parę kontraktów na wspomnianą „bonanzę" w Gazie, miejsce przy korycie dla graczy z Izraela i zza oceanu, dziurę bez dna, którą ochoczo sfinansuje z naszych pieniędzy.

Beniamin Netanjahu okazał się mistrzem w wykorzystywaniu walki z terroryzmem zarówno do realizacji własnych celów politycznych, jak i do paraliżowania toczących się wokół niego dochodzeń na tle korupcyjnym

Polityka międzynarodowa bywa bardzo zawiła, ale w tym wypadku sprowadza się do rzeczy niezwykle prostych: nie nasz terroryzm, nie nasze zbrodnie wojenne, nie nasza wina i odpowiedzialność – ale będziemy mieli zaszczyt zapłacić za odbudowę tego wszystkiego, choćby kolejne pokolenie ekstremistów miałoby za kilka dekad puścić ponownie Gazę z dymem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dce19a88a3

Inscenizacja ceremonii ofiary paschalnej, Góra Oliwna, 18 kwietnia 2016 r.

FOT. ABIR SULTAN/EPA/PAP

W stronę Trzeciej Świątyni

Paweł Lisicki

Można być pewnym, że po ataku Hamasu z października 2023 r. i po okresie systematycznego niszczenia Gazy i masowego zabijania Palestyńczyków liczba zwolenników odbudowy Trzeciej Świątyni jest nieporównywalnie większa

Pierwsi syjoniści byli na ogół Żydami świeckimi, a ich celem nie była budowa teokracji i rekonstrukcja świątyni. Bardzo szybko jednak okazało się, że realizują projekt religijny i mesjański. Po zwycięstwie w wojnie sześciodniowej w 1967 r., a jeszcze bardziej po wojnie Jom Kippur w 1973 r. coraz większe wpływy zaczęła zdobywać religijno-polityczna prawica. Pojawił się ruch Gusz Emunim (Blok Wiernych), którego celem było wspieranie żydowskiego osadnictwa także na terenach, które formalnie do Izraela nie należały – na Zachodnim Brzegu, w Gazie i na Wzgórzach Golan. Prawo do tych ziem żydowscy nacjonaliści wywodzili z Biblii. Skoro sam Bóg im tę ziemię dał, to nie wolno było pozwolić, aby pozostała ona w obcych, nieżydowskich rękach. Jeśli świeccy syjoniści mogli założyć Państwo Izrael, odwołując się jedynie do Biblii, to o ileż bardziej argument biblijny był słuszny w rękach Żydów pobożnych? Pierwsi nieświadomie, a drudzy świadomie przygotowują przecież grunt pod nadejście Mesjasza i jego wielkie zwycięstwo.

PETE HEGSETH I JEGO WIARA

Tylko to zakodowane w żydowskiej tożsamości połączenie religii i polityki pozwala zrozumieć niezwykły renesans idei budowy Trzeciej Świątyni. Wielu chrześcijan nie jest w stanie dostrzec znaczenia tego ruchu. Wciąż żyją w świecie, w którym dla judaizmu świątynia jest czymś pobocznym, marginalnym, nieznaczącym. Wciąż wierzą, że judaizm rabiniczny opiera się przede wszystkim na zachowywaniu wierności obyczajom, na przestrzeganiu prawa, na trosce o czystość rytualną. Nie dotarło do nich, że ta epoka już się skończyła. Mimo że samo powstanie Izraela w 1948 r. było

eprasa.pl dce19a88a3

wydarzeniem co się zowie świeckim – nie pojawił się z nieba Mesjasz, nie zstąpiły hufce anielskie, nie uderzyły moce i trony – to bardzo szybko sam ten świecki i polityczny fakt stał się źródłem nowej religijności. Izrael powstał dzięki konsekwentnej polityce syjonistów, wspieranych z różnych powodów najpierw przez Wielką Brytanię, a następnie przez Stany Zjednoczone. A jednak gdy już sam akt się dokonał – czyli gdy na terenie biblijnego Izraela pojawili się Żydzi sprawujący polityczną kontrolę nad ziemią biblijną – natychmiast wynikł z niej projekt religijny. Zdobycie politycznej kontroli nad Wzgórzem Świątynnym obudziło marzenie religijne zakodowane w całym systemie Synagogi. Tak zrodziło się marzenie o odbudowie świątyni.

Już nie tylko chodziło o to, by Izrael był bezpieczną przystanią dla potencjalnie prześladowanych przez antysemitów Żydów – cel ograniczony i świecki – lecz także o to, że miał się stać kolebką nowego mesjańskiego ładu, nowego porządku światowego opartego na prorockich obietnicach. Tak jakby współcześni Żydzi przeskoczyli przez 2000 lat, jakby proroctwa znowu miały przemówić bezpośrednio. Trzecia Świątynia przez ponad 1700 ostatnich lat znajdowała się gdzieś w tle. Była jedynie senną zjawą ze snów. Nagle po 1967 r. z dnia na dzień przekształciła się w projekt polityczny. Z nierealnej mrzonki stała się realnym planem nadającym dynamikę działaniom Państwa Izrael i jego sojuszników. Tak jak Wenus miała urodzić się z piany morskiej, tak idea Trzeciej Świątyni zrodziła się z mesjańskiej tęsknoty w chwili, gdy ta uzyskała realną podstawę – polityczną kontrolę nad obszarem Wzgórza Świątynnego.

Żeby to zrozumieć, trzeba zauważyć, że zwolennikami odbudowy nie są już fantaści i marzyciele, snujący utopijne plany dziwacy, na których można spoglądać z pobłażaniem, protekcjonalnie się uśmiechając, gdy pełni zapału snują osobliwe wizje. Nie, przeciwnie. Ma ona zwolenników wśród najbardziej wpływowych polityków Izraela. Więcej – od chwili, gdy po jego stronie opowiedzieli się władcy tego świata, ruch na rzecz odbudowy świątyni zyskał wręcz globalny rozmach. Należy do nich z pewnością Pete Hegseth, sekretarz obrony Stanów Zjednoczonych, powołany na to stanowisko przez Donalda Trumpa, który w 2018 r. stwierdził, że Trzecia Świątynia może powstać na nowo na Wzgórzu Świątynnym. „Nie ma powodu, dlaczego cud odbudowy świątyni na Wzgórzu Świątynnym miałby być niemożliwy” – mówił jeden z najbardziej obecnie wpływowych amerykańskich polityków. „Nie wiem, jak to się stanie. Nie wiecie, jak to się stanie” – tu Hegseth zwrócił się do słuchaczy jego wystąpienia w Jerozolimie – ale wiem, że to może się stać”.

Ruch na rzecz Trzeciej Świątyni podąża szlakiem wytyczonym przez ruch syjonistyczny – również ten drugi wydawał się przez lata jedynie mglistą ideą, obecną tylko w głowach nieco pobudzonych aktywistów, pisarzy, publicystów. I tak jak w 1948 r. zmaterializowała się idea państwa żydowskiego, tak też, być może niedługo, nastąpi faktyczna próba restytucji świątyni żydowskiej […].

POLITYCZNE OBJAWIENIE

Prawdziwym początkiem był rok 1967, kiedy to po raz pierwszy od roku 70 po Chr., a więc pierwszy raz po niemal równo 1900 latach, Żydzi uzyskali polityczną kontrolę nad Wzgórzem Świątynnym. Dlatego te dwie daty – rok 1948 (powstanie Państwa Izrael) i rok 1967 (przejęcie politycznej kontroli nad Wzgórzem Świątynny) – są najważniejszymi momentami tak dla żydowskich mesjanistów i syjonistów religijnych, jak dla chrześcijańskich syjonistów. Według nich to wtedy właśnie historia znowu ruszyła z kopyta. Zamrożone przez wieki proroctwa przemówiły.

W sierpniu 1969 r. młody australijski ewangelik Denis Michael Rohan podłożył ogień pod meczet Al-Aksa na Wzgórzu Świątynnym. Będąc członkiem Kościoła Boga, Rohan pragnął zapoczątkować erę mesjańską i wierzył, że oczyszczenie terenu dla budowy świątyni uruchomi apokaliptyczny zegar. Wtedy niewielu traktowało poważnie ten pomysł. Rohana uznano za psychicznie chorego i odesłano do Australii. Tymczasem – pisze Yaakov Ariel, żydowski historyk – „od tego czasu, od roku 1970, wiele grup ewangelikalnych i żydowskich próbowało odbudować świątynię, a niektóre z nich podjęły nawet przygotowania do wznowienia starożytnych rytuałów świątynnych”. To, co wydawało się przejawem szaleństwa i niezrównoważenia, stało się coraz bardziej aprobowanym postulatem politycznym. O ile myśl, że trzeba zburzyć Kopułę na Skale i meczet Al-Aksa w roku 1970, nie mieściła się w głowie, o tyle dziś, w roku 2025, stała się możliwym do zrealizowania planem politycznym.

Z tego punktu widzenia najbardziej doniosłym krokiem była propozycja polityka Likudu, a więc partii rządzącej, by podzielić Wzgórze Świątynne między muzułmanów a Żydów i zmienić obecny status prawny tego miejsca – formalnie sprawuje nad nim nadzór Jordania. W wywiadzie z czerwca 2023 r. dla portalu informacyjnego Zman Yisrael Amit Halevi, poseł do Knesetu, przedstawił plan podziału Wzgórza: muzułmanom przypadłaby kontrola nad jego południową częścią, razem z meczetem Al-Aksa, reszta terenu o powierzchni 37 akrów, a więc części północna i środkowa, dostałaby się w ręce Żydów. Tym samym mieliby oni pod swoją bezpośrednią władzą Kopułę na Skale. Według żydowskiego polityka taka zmiana jest konieczna, ponieważ część Wzgórza Świątynnego z Kopułą na Skale jest najświętszym miejscem judaizmu, gdzie stały świątynie Pierwsza i Druga. Kamień węgielny w centrum Kopuły na Skale znajduje się w miejscu, gdzie było umieszczone Święte Świętych – twierdził Halevi.

Nie jest zatem przypadkiem, że Hamas, przeprowadzając w październiku 2023 r. swój atak terrorystyczny na Izrael, nazwał tę akcję „operacją Al-Aksa”. O ile w 1970 r. zwolenników zmiany status quo można było uważać za wariatów, o tyle w 2023 r. projekt odebrania muzułmanom Kopuły na Skale i – co byłoby logiczną konsekwencją takiej zmiany – budowy w tym miejscu żydowskiej świątyni zgłosił członek rządzącej partii. Posłużył się przy tym argumentacją religijną, mimo że formalnie rzecz biorąc, Likud partią religijną nie jest.

eprasa.pl dce19a88a3

Dziesięć lat po zamachu Australijczyka okazało się, że zwolennikami odbudowy świątyni nie są już zatem podekscytowani mesjaniści, ale że za pomysłem tym stoją całkiem poważne, choć wciąż uważane wówczas za skrajne, siły polityczne: rabin Baruch Ben Yosef i rabin oraz aktywista polityczny Me'ir Kahane. Aresztowano ich, gdy policja odkryła, że obaj zgromadzili pokaźny arsenał broni, w tym wyrzutni rakietowych, za pomocą których chcieli zrównać z ziemią meczety. W 1984 r. doszło do nowych żydowskich prób przeprowadzenia zamachu na terenie Wzgórza – wszystkie one zostały udaremnione przez izraelskie służby specjalne. I wtedy nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, bojówkarze i terroryści przedzierzgnęli się w pokojowych aktywistów, choć mających ten sam cel: budowę świątyni.

Od 1984 r. ruch na rzecz Trzeciej Świątyni stracił swój dotychczasowy, radykalny i skrajny, charakter. Niemal z dnia na dzień przekształcił się w jedną z najbardziej wpływowych i najlepiej zorganizowanych żydowskich grup religijnych, wspieranych tak przez państwo, jak przez potężne organizacje zagraniczne, szczególnie w USA. Policja, która do tej pory tropiła zamachowców, teraz udziela aktywistom wsparcia i osłony, państwo, które ich tropiło, uznało ich za ważnych strażników żydowskiej tożsamości kulturowej. Od 2012 r., zauważa żydowska autorka, dzięki sojuszowi religijnych radykałów z liberalnym skrzydłem syjonistów, a więc z większością Likudu, ruch na rzecz odbudowy Trzeciej Świątyni przekształcił się we wspólnotę szacowną i wpływową. […]

W wypadku ruchu na rzecz odbudowy Trzeciej Świątyni nie chodzi o niewinne stowarzyszenie archeologów, miłośników starożytnego kultu. Nie. Jest to projekt co się zowie polityczny i współczesny. Trzecia Świątynia ma powstać dzięki poparciu armii, służb specjalnych, funduszy prywatnych i publicznych. Ideolodzy ruchu nie ukrywają swoich zamiarów. Świątynia byłaby czytelnym znakiem żydowskiej wyłącznej suwerenności na terenie całego Izraela. Oznaczałaby koniec tolerancji dla obcych, nieżydowskich kultów. Byłaby symbolem światowej, globalnej potęgi Izraela. Byłaby też czytelnym znakiem skierowanym do Kościoła: jego założyciel głosił fałszywe proroctwa. […]

Nowa świątynia ma się stać konkurencją nie tylko dla chrześcijańskiego kościoła Grobu Pańskiego, lecz także dla chrześcijaństwa

DOM WSZYSTKICH NARODÓW

Yehuda Etzion, człowiek, który w 1984 r. kierował organizacją Żydowskie Podziemie i chciał wysadzić w powietrze meczet Al-Aksa, po tym, jak został zwolniony z więzienia – pisze żydowska autorka – postanowił zmienić charakter dotychczasowego ruchu i zrobić z niego organizację pokojową, odżegnującą się od stosowania przemocy. W 2013 r. przedstawił publicznie swój plan rewitalizacji Jerozolimy w taki sposób, by w centrum przebudowy znalazła się Trzecia Świątynia. Feldman zauważa, że była to tak naprawdę nowa wersja planu pierwszy raz przedstawionego przez mentora Etziona, Szabataja Ben Dova, członka terrorystycznej grupy Lehi, syjonistycznego ugrupowania walczącego z Brytyjczykami.

Zgodnie z projektem urbanistycznym Etziona na Wzgórzu Świątynnym znajdą się Trzecia Świątynia, Dom Króla i Sąd Sanhedrynu, czyli rada 71 rabinów, którzy staną się najwyższym religijnym, legislacyjnym ciałem Izraela. Wszystko zgodnie z przepisami Tory. Projekt Etziona ma wsparcie izraelskiego państwa i propagowany jest przez instytucje publiczne. Zakłada on nie tylko pozbycie się Palestyńczyków – ma to się stać dzięki odpowiedniemu systemowi zachęt finansowych – lecz także uczynienie z Trzeciej Świątyni „domu modlitwy dla wszystkich narodów”.

Nie trzeba głębokiej znajomości Pism, żeby dostrzec, że tym samym nowa świątynia ma się stać konkurencją nie tylko dla chrześcijańskiego kościoła Grobu Pańskiego, lecz także dla chrześcijaństwa. Różnica między żydowską Trzecią Świątynią jako „domem modlitwy dla wszystkich narodów” a chrześcijańskimi kościołami, które dokładnie w takiej roli występują, jest prosta: w świątyni żydowskiej narody mają służyć Izraelowi. Nie ma mowy o równości różnych narodów, zamiast tego konieczne będą separacja i posłuszeństwo. Mimo pozorów jest to zaprzeczenie uniwersalizmu chrześcijańskiego.

Ten właśnie ruch na rzecz budowy Trzeciej Świątyni w ciągu ostatnich lat porzucił swój dawny, agresywny i bojowy wizerunek, przekształcając się w pokojowy ruch na rzecz krzewienia wiedzy na temat świątyni i jej rytuałów. O ile nastąpiła zmiana metod, o tyle cel, czyli odbudowa fizycznej świątyni, pozostał ten sam. Potęgę ruchu symbolizuje gigantyczna złota menora stojąca za szkłem na terenie Starego Miasta w Jerozolimie. Każdy, kto tam dotrze, musi ją zobaczyć. Dla większości turystów i pielgrzymów jest to tylko znak odległej przeszłości, jednak dla aktywistów żydowskich odwrotnie – wielka złota menora opisuje przyszłość. To kierunkowskaz pokazujący, co ma się wkrótce stać.

NAJWAŻNIEJSZY INSTYTUT

Znajdujący się przy niej napis mówi, że „menora została odtworzona pierwszy raz od czasów zniszczenia drugiej świątyni zgodnie z badaniami przeprowadzonymi przez Instytut Świątyni”. Ta ostatnia organizacja została założona przez rabina Izraela Ariela w 1984 r. i jest jednym z najważniejszych podmiotów szerzących nową, świątynną teologię. Ariel nie tylko ukończył jesziwę Mercaz HaRav, czyli jedno z najważniejszych seminariów religijnego syjonizmu, lecz także był członkiem skrajnie nacjonalistycznej partii KACH, założonej przez rabina Me'ira Kahanego (tego samego, który chciał wysadzić w powietrze meczety) i zdelegalizowanej formalnie przez Kneset w 1986 r. Widać zatem bliskie więzi, jakie łączą obecnie działającą instytucję z radykalnymi, syjonistycznymi bojówkami sprzed lat.

Członkowie instytutu zobowiązali się „robić wszystko, co w ich ograniczonej mocy, aby wznieść w naszych czasach budynek Świętego Przybytku”. Żydowska autorka zauważa, że instytut przygotował niezwykle popularną wystawę, odwiedzaną masowo przez turystów, gdzie pokazuje się stroje kapłańskie, instrumenty muzyków świątynnych (lewitów), a nawet ołtarze, na których składało się ofiary zwierzęce. Odwiedzający mogą nawet kupić sobie do domu „kadzidło świątynne”, podarunek ze sklepu z pamiątkami. […]

eprasa.pl dce19a88a3

Ruch świątynny wspierają nie tylko współcześni ortodoksyjni religijni nacjonaliści, ultraortodoksyjni nacjonaliści, chasydzi należący do skądinąd znanej w Polsce grupy Chabad Lubawicz oraz nieznanej Breslov, lecz także świeccy syjoniści, którzy w przywróceniu ofiar zwierzęcych i odbudowie świątyni widzą przejaw żydowskiej suwerenności. Na tym właśnie polega wielka zmiana, która dokonała się w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat. Wiek XXI – jak wszystko na to wskazuje – będzie wiekiem prób odbudowy fizycznej świątyni w Jerozolimie i restytucji liturgii kapłańskiej. Jest tylko kwestią czasu, kiedy dokładnie to się stanie. Zgodnie z ideologią ruchu świątynnego obecne Wzgórze Świątynne to ostatni bastion nieżydowski, ostatnia wysepka nieodbita do końca przez syjonizm. Dlatego odbudowa świątyni jest tak ważna: ma ona być symbolem nowej izraelskiej potęgi, dowodem na ostateczne zwycięstwo politycznego syjonizmu nad światem arabskim, a także chrześcijańskim. Świątynia, gdy już powstanie i gdy uda się przywrócić w niej starożytną liturgię, będzie świadczyła o potędze Izraela i o fałszywości tych wszystkich proroków, jak Jezus z Nazaretu, którzy wieszczyli jej wieczny upadek. […]

Wielu czytelników będzie zapewne zaskoczonych i uzna przedstawione tu plany za rojenia nieznaczącej grupki religijnych fantastów. Nic bardziej błędnego. Różne badania opinii społecznej pokazują systematyczny wzrost poparcia dla idei odbudowy świątyni na terenie Haram asz-Szarif – w 2013 r. chciała tego jedna trzecia Żydów w Izraelu! Można być pewnym, że po ataku Hamasu z października 2023 r. i po okresie systematycznego niszczenia Gazy i masowego zabijania Palestyńczyków liczba zwolenników takiego rozwiązania jest nieporównywalnie większa. Im trudniej bowiem wyobrazić sobie pokojową formę współżycia Arabów i Żydów, im dalej posuwa się proces budowli osiedli żydowskich na terenach okupowanych, tym bardziej rosną pozycja polityczna i znaczenie teologiczne ruchu na rzecz Trzeciej Świątyni. Coraz więcej Żydów sądzi, że powstanie świątyni dokładnie w tym miejscu, w którym za żadne skarby nie chcą jej widzieć Arabowie, będzie ostatnim aktem suwerenności, symbolicznym potępieniem najbardziej znienawidzonego wroga.

Dla Żydów świeckich będzie to przejaw siły ducha narodu żydowskiego i potęgi syjonistycznego państwa, dla religijnych ortodoksów – pierwszy krok na drodze do budowy teokracji, pierwszy etap oczekiwania na nadejście Mesjasza. […] Najpierw zmiana świadomości powszechnej, potem akt polityczny, a na końcu budowa – tak wydaje się wyglądać program żydowskich radykałów, którzy to zresztą mają coraz większe poparcie. O tym ostatnim świadczy choćby wejście do rządu premiera Beniamina Netanjahu i pozostawanie w nim przez długie miesiące Itamara Ben-Gwira, ministra do spraw bezpieczeństwa, jednocześnie aktywisty ruchu Trzeciej Świątyni i regularnego uczestnika pielgrzymek na teren Wzgórza.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Jest to fragment książki „Mesjasz i Trzecia Świątynia. Herezja chrześcijańskiego syjonizmu, jej wyznawcy i ich wojny”, która ukazała się nakładem wydawnictwa Fronda.

REKLAMA

Otwórz drzwi do świata prawdy

Rozmówcy Katarzyny Obłąkowskiej:

- Prof. Ewa Thompson
- Prof. Andrzej Nowak
- Prof. Wojciech Roszkowski
- Prof. Jan Żaryn

i wielu innych, wybitnych intelektualistów.

XLM.PL Zamów teraz na www.XLM.pl

eprasa.pl dce19a88a3

Z Krzysztofem Bosakiem, wicemarszałkiem Sejmu, prezesem Ruchu Narodowego, współliderem Konfederacji
rozmawia Ryszard Gromadzki

Pokój jest wartością dużo istotniejszą niż relacje z Ukrainą

FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

RYSZARD GROMADZKI: Jak w pana ocenie, w świetle wiedzy, którą dysponujemy, należy kwalifikować wydarzenia, które rozegrały się w nocy z 9 na 10 września w związku z wtargnięciem wrogich dronów w polską przestrzeń powietrzną? Czy był to akt agresji ze strony Rosji? A jeśli tak, to jakie motywy nią kierowały? Może jednak była to pomyłka, o której mówi prezydent Trump? Dopuszcza pan również inne scenariusze?

KRZYSZTOF BOSAK: Moim zdaniem, w świetle informacji, które uzyskaliśmy od rządu i przedstawicieli Sił Zbrojnych, nie ma żadnych wątpliwości, że była to przemyślana i przeprowadzona w planowy sposób operacja testowania sposobu działania polskiego i NATO-wskiego systemu obrony przeciwlotniczej, jego możliwości i zasobów, a także sposobu działania wszelkiego rodzaju procedur i reakcji politycznych, a nawet społecznych, w państwach zachodnich w sytuacji naruszenia przestrzeni powietrznej w tak dużej skali. Nie mamy w tej chwili innych informacji, które wskazywałyby na inny cel. Uważam, że należy to kwalifikować jako rodzaj ataku, bo ma on wrogi charakter, skutkuje uszczupleniem naszych zasobów militarnych oraz złamaniem

prawa międzynarodowego. Należy odczytywać całą tę sytuację w kontekście ćwiczeń wojskowych „Zapad", które w tym czasie odbywały się na Białorusi, i szerszej czasowo sekwencji działań Rosji, mających charakter podnoszenia ich zdolności do prowadzenia operacji napastniczych wobec państw zachodnich.

Czy informację o wydarzeniach, które rozegrały się podczas „nocy dronów", przedstawioną przez rząd i dowództwo sił zbrojnych, można uznać za w pełni wiarygodną w związku z faktami ujawnionymi przez „Rzeczpospolitą" w sprawie częściowego zniszczenia domu w Wyrkach?

Nie mam wątpliwości co do wiarygodności informacji nam przedstawionych, choć uważam, że zostały one przekazane zbyt późno i były niewystarczające oraz zbyt ogólne w wielu punktach, a przede wszystkim zbyt wiele jest przekazywane w trybie „tajne" lub „zastrzeżone", co daje komfort generałom i urzędnikom, ale blokuje nam możliwość informowania opinii publicznej. Mam też zastrzeżenia co do formy ich przekazania, uważam, że powinno to dokonać się na piśmie. Apelowałem o to od poranka po ataku dronów, aby w trosce o wiarygodność informacji w sferze publicznej, w ramach walki z dezinformacją, potwierdzoną wersję zdarzeń wraz z możliwymi do ujawnienia szczegółami przesłać parlamentowi na piśmie. Do tego momentu dysponujemy wyłącznie ustnymi informacjami.

Reakcja polityczna i militarna ze strony polskiego państwa na wydarzenia, które miały miejsce w nocy z 9 na 10 września, była adekwatna?

Uważam, że tak. Nie powinniśmy pozostać bez reakcji na naruszenie naszej przestrzeni powietrznej nawet przez nieuzbrojone drony w takiej liczbie i tak głęboko w nasze terytorium. Uważam, że próba ich zestrzelenia lub wykorzystania lotnictwa do rozpoznania, jaki charakter mają te drony, jak się poruszają, jak wyglądają, była właściwa.

A właściwe było zestrzeliwanie rakietami za milion dolarów styropianowych wabików, jak się okazało?

Wedle mojej wiedzy nie dysponujemy innymi, tańszymi środkami do zestrzelenia tego rodzaju dronów. One leciały na dużym pułapie, zdaniem przedstawicieli wojska poza zasięgiem naziemnych systemów. Strzela się tym, co się ma. To była tego rodzaju sytuacja. Na krytykę zasługuje brak zaopatrzenia państwa w tańsze środki niszczenia dronów, mimo toczącej się parę już lat wojny dronowej i mającej już ponad dekadę historii zastosowania dronów w konfliktach zbrojnych. Więc zaniedbanie jest oczywiste, natomiast wybór wielozadaniowych samolotów myśliwskich i przenoszonych przez nie rakiet do niszczenia tanich dronów był nieunikniony w sytuacji braku posiadania tańszych, prostszych technicznie rozwiązań do zestrzeliwania tego rodzaju dronów. Warto też dodać, że na etapie walki z tymi dronami nie było jasne, czy są one uzbrojone i jaki dokładnie reprezentują typ.

Czy rząd Tuska nie wykorzystuje instrumentalnie wtargnięcia wrogich dronów nad Polskę do konsolidacji swojej władzy? Nagle okazało się, że tworzące go siły stoją „murem za polskim mundurem", co wcześniej nie było wcale takie oczywiste.

Każdy rząd stara się wykorzystać różnego rodzaju kryzysy i ataki, by przedstawić siebie jako gwaranta bezpieczeństwa i sprawne kierownictwo państwa. Pozostaje życzyć rządowi Donalda Tuska, żeby była to nie tylko propaganda, lecz także żeby w tej propagandzie było cokolwiek z prawdy. W mojej ocenie, jeśli była intencja zbicia na tym jakichś punktów, to nie wyszło, dlatego że przy tej okazji byliśmy świadkami całego szeregu wpadek. Począwszy od spóźnionego i niedziałającego w pełni właściwie systemu powiadamiania społeczeństwa, przez słabą komunikację z Polakami – skutkującą wpadką na forum Rady Bezpieczeństwa ONZ, gdzie minister używał zdjęcia, którego nie powinien użyć – a kończąc na kompromitacji Polskiej Agencji Prasowej podającej przekręcone i podważające wiarygodność sojuszniczą słowa prezydenta Donalda Trumpa. Mamy do czynienia z całą serią błędów. Rząd ma nad czym myśleć, jeśli tam jest ktoś, kto myśli nad takimi sprawami jak budowanie wiarygodności i sprawności państwa.

Traktuję te wszystkie komentarze ze strony prezesa Kaczyńskiego w kategoriach „pstryczków w nos", a nie „topora wojennego"

W czyim imieniu wypowiada się wicepremier i szef MSZ Radosław Sikorski, uporczywie stawiając postulat zestrzeliwania rosyjskich dronów nad Ukrainą? Zgodzi się pan, że wystąpienie Sikorskiego podczas sesji zgromadzenia ogólnego ONZ to nic innego jak dolewanie oliwa do ognia? Przecież to grozi wplątaniem nas w wojnę, której Polacy nie chcą i do której państwo polskie nie jest przygotowane w żadnym aspekcie.

Nie mam pojęcia, cóż to za dziwną grę uprawia szef MSZ, formułując tego rodzaju spekulacje i zapowiedzi. Tym bardziej że nie współgrają one z wypowiedziami ministra obrony narodowej.

Ale jak pan wie, świetnie współgrają z wypowiedziami prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego czy prezydenta Francji Emmanuela Macrona, i nie tylko. Wydaje się, że im rzeczywiście zależy, aby Polska weszła w wojnę z Rosją.

Uważam, że nie powinniśmy angażować żadnych swoich środków bojowych w wojnę toczącą się na Ukrainie, gdyż przybliżałoby nas to do bycia częścią tej wojny. Pokój jest wartością dużo istotniejszą niż takie lub inne relacje z Ukrainą.

Grzegorz Braun zainicjował kampanię przeciwko wciąganiu Polski do wojny z Rosją przez międzynarodową siatkę podżegaczy wojennych, do których zalicza też premiera Tuska i szefa MSZ Sikorskiego. W pana ocenie przestrogi Brauna mają podstawy?

To są ogólnikowe, publicystyczne sformułowania. Z pewnością są osoby, na pewno są to ukraińscy dyplomaci czy eksperci związani z ukraińską dyplomacją lub służbami, którzy chcą tworzyć takie wrażenie, że Polska powinna zaangażować się we wspólne działania zbrojne z Ukrainą. Chcę jednak wierzyć, że nikt w Polsce nie traktuje tego rodzaju zachęt poważnie. To, co widzę po polskiej stronie, to raczej jakieś pokusy do symulowania silniejszej pozycji, niż rzeczywiście się posiada. Byłbym z tym bardzo ostrożny, bo łatwo jest składać publiczne zapowiedzi, a to o wysłaniu jakiegoś kontyngentu wojsk, a to jakichś wspólnych operacjach obrony powietrznej, natomiast później przychodzi weryfikacja tego rodzaju zapowiedzi. I, jeśli to są blefy, może przyjść dość szybko i okaże się, że Polska nie

eprasa.pl dce19a88a3

jest przygotowana do tego rodzaju działań. Nie ma właściwych środków i odpowiedniego zaopatrzenia, a przede wszystkim nie jest w stanie zapewnić bezpieczeństwa samej sobie. Uważam, że absolutnie nie jest to w naszym interesie, żebyśmy nawet blefowali jakiekolwiek zainteresowanie zaangażowaniem militarnym w wojnę trwającą na Ukrainie. Już w tej chwili jesteśmy zaangażowani w tę wojnę zbyt głęboko.

Ale jeśli przyjąć niedawny sondaż pracowni SW Research dla Onetu za dobrą monetę, to ponad połowa Polaków opowiada się za zestrzeliwaniem przez polskie wojsko dronów i rakiet nad Ukrainą. Jak połączyć to z innym badaniem opinii publicznej, przeprowadzonym przez IBRiS, z którego wynika, że większość Polaków, w tym zdecydowana większość młodych Polaków, nie ma najmniejszej ochoty angażować się w obronę ojczyzny? Wszechobecna w mainstreamowych mediach propaganda wojenna do tego stopnia ogłupiła ludzi, że są za obroną nieba nad Ukrainą, ale nie chcą bronić swojego kraju?

Uważam, że do badań opinii publicznej w sprawach tak delikatnych, jak kwestie militarne czy polityka międzynarodowa, trzeba zawsze podchodzić bardzo ostrożnie i zacząć od jednej konstatacji. Większość obywateli nie ma wiedzy na temat tego, jak działa świat międzynarodowych stosunków strategicznych, mechanizmów działań wojennych czy współczesnej polityki międzynarodowej. W związku z tym pytanie o to ludzi może dla polityków mieć nie charakter doradczy, ale wyłącznie rozpoznawczy, jeśli chodzi o nastroje społeczne. Dla mnie sondaże, które pan przywołał, wcale nie są sprzeczne. Wychodzi to ze wszystkich sondaży, że mamy społeczeństwo o bardzo silnym antyrosyjskim nastawieniu. To w głównej mierze wynik naszych doświadczeń historycznych. Moim zdaniem popularność postulatu, żeby zestrzeliwać drony nad Ukrainą, jest właśnie wyrazem tego antyrosyjskiego nastawienia. Jednocześnie jestem przekonany, że przeciętny Polak, który wyraża w jakiejś ankiecie poparcie dla pomysłu zestrzeliwania dronów nad Ukrainą, bynajmniej nie utożsamia tego jako dołączenie Polski do działań wojennych. Gdyby postawić mu pytanie w ten sposób, to oczywiście zdecydowana większość byłaby przeciwna. Więc podstawowym wnioskiem, który wynika z tego sondażu, jest niezrozumienie, że działania zaczepne ze strony wojsk rakietowych czy lotniczych stanowią de facto włączenie się do działań wojennych. To podobna sytuacja jak z ustanowieniem strefy zakazu lotów. Przeciętny człowiek nie rozumie, że to decyzja o charakterze polityczno-wojskowym, której skutkiem jest zestrzeliwanie wszelkich statków latających nad danym obszarem. W istocie oznacza to przystąpienie do wojny. Co do sondaży, o które pan pyta, wydaje mi się, że powinniśmy mieć wyrozumiałość i nie oczekiwać od każdego, że będzie dysponował kompetencjami męża stanu czy generała, rozumiejącego wszystkie niuanse. To politycy, administracja państwa i służby wywiadowcze oraz dyplomacja są od tego, żeby rozumieć wszystkie te detale, wytłumaczyć je społeczeństwu i podejmować racjonalne decyzje.

W najbardziej prawdopodobnym scenariuszu Ukraina przegra wojnę z Rosją. Czy Polska jest gotowa na taki wariant, jeśli on się ziści?

Na szczęście, podkreślę to raz jeszcze, wojna na Ukrainie nas nie dotyczy bezpośrednio. Jakkolwiek ta wojna się zakończy, dotyka to przede wszystkim sytuacji naszego wschodniego sąsiada, a nas samych wyłącznie pośrednio. Pytanie o gotowość Polski w takiej sytuacji jest pytaniem podchwytliwym, dlatego że nie wiemy, jaka sekwencja zdarzeń może nastąpić po ewentualnym upadku Ukrainy. Osobiście uważam, że upadek Ukrainy w dosłownym rozumieniu nie będzie miał miejsca. Rozumiem przez to upadek władzy w Kijowie i ustanowienie nowej, kontrolowanej przez Rosję. Natomiast Ukraina może być zmuszona do zawarcia pokoju na niekorzystnych dla siebie warunkach. Przy widocznej obecnie silnej mobilizacji Rosji do prowadzenia działań wojennych, nieliczeniu się z ich kosztami, w szczególności jeśli chodzi o ludzkie życie, wygrywaniu tzw. wojny materiałowej i starcia technologicznego przez stronę rosyjską, nie wygląda to dobrze z perspektywy Ukrainy. Nie wiemy, jaką sekwencją zdarzeń może to zaowocować, dlatego odpowiedź na pytanie, czy jesteśmy na to gotowi, w tym momencie nie jest możliwa.

Jak pan odczytuje bezpardonowy atak ze strony prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego na Konfederację w ostatnich tygodniach? Chodzi o poróżnienie Ruchu Narodowego z Nową Nadzieją? Wbicie klina między Mentzena i Bosaka?

Myślę, że lider PiS przestraszył się odpływu do Konfederacji wyborców rozczarowanych szczególnie drugą kadencją rządów Prawa i Sprawiedliwości. Kaczyński przestraszył się przede wszystkim perspektywy, w której Konfederacja cieszy się sympatią i wyborcy PiS wiążą z nią nadzieję. Taka sytuacja groziła erozją bazy wyborczej PiS, dlatego wszystkie ataki, krytyka i prowokacyjne komentarze kierowane w naszą stronę należy traktować w kategoriach próby narysowania wyrazistej linii podziału między PiS a Konfederacją i chęci odnowienia tożsamości wyborców PiS w sposób wiążący ich wyłącznie z tym ugrupowaniem, a nie szerzej z ruchem prawicowym, który może mieć różne przywództwa partyjne. Sytuacja, w której na szeroko pojętej prawicy funkcjonują przywództwa różnych partii i te przywództwa wzajemnie by się szanowały i podchodziły do siebie z respektem, bez delegitymizowania się wzajemnie, jest moim zdaniem sytuacją nieakceptowalną dla przywództwa PiS. Więc my w Konfederacji traktujemy te ataki prezesa PiS w kategoriach komplementu, to znaczy uznania naszej pozycji, tego, że jesteśmy rzeczywiście silnym rywalem, którego politycy z PiS po prostu się obawiają.

Wykopanie „topora wojennego" przez Kaczyńskiego przekreśla szanse na ewentualną koalicję PiS i Konfederacji w przyszłości?

Traktuję te wszystkie komentarze ze strony prezesa Kaczyńskiego w kategoriach „pstryczków w nos", a nie „topora wojennego".

A jak traktuje pan pomysł promowany przez Przemysława Wiplera o rządzie mniejszościowym Konfederacji, z premierem z waszego ugrupowania po kolejnych wyborach parlamentarnych? To żart czy realny koncept?

Przyznam, że nie słyszałem o tym pomyśle. Każdy poseł ma prawo formułować najróżniejsze scenariusze polityczne. Natomiast osobiście uważam scenariusz rządu mniejszościowego Konfederacji po następnych wyborach parlamentarnych za ekstremalnie mało prawdopodobny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dce19a88a3

Konfederaci, czyli syndrom pięknej panny na wydaniu

Piotr Semka

Konfederacja, jak się zdaje, będzie po 2027 r. musiała wybierać obóz albo Tuska, albo Kaczyńskiego. Bo wyśniona przez Konfederatów pozycja zwycięzcy wyborów to na razie polityczne chciejstwo

Od wyborów prezydenckich minęły trzy miesiące i gwiazda Sławomira Mentzena nieco przybladła. Lider Konfederacji zaskakuje swoimi wypowiedziami, kontrowersyjnymi głosowaniami i najwyraźniej wciąż szuka atrakcyjnych tematów dla swojej partii. Konfederacja rozdarta jest między chęcią wejścia do poważnej polityki a happeningową kontestacją w stylu Grzegorza Brauna.

KRZYŚ I SŁAWEK W JEDNYM STOJĄ DOMU

11 września 2025 r. Ponad dobę po ataku rosyjskich dronów na naszą przestrzeń powietrzną prezydent Karol Nawrocki zwołuje Radę Bezpieczeństwa Narodowego. Parę godzin po zakończeniu obrad dwaj uczestniczący w rozmowach przedstawiciele Konfederacji ogłaszają tweety. Krzysztof Bosak pisze: „Po prawie czterech godzinach rozmów opuściłem Pałac Prezydencki [...]. Cieszy konstruktywny ton wszystkich stron sceny politycznej, świadomość powagi sytuacji i ponadpartyjne poparcie dla wzmacniania Sił Zbrojnych i rozwijania współpracy sojuszniczej". Z kolei Sławomir Mentzen, po tym samym spotkaniu BBN, pisze tak: „Spędziłem dziś 3,5 godziny na Radzie Bezpieczeństwa Narodowego. Niestety nie mogę mówić o żadnych szczegółach spotkania. Powiem tylko, że nie czuję się uspokojony. Co więcej, wątpliwości po tym spotkaniu mam więcej niż przed nim".

Dwa różne style. W pierwszym wpisie – ton powagi i sygnalizowanie gotowości wzniesienia się ponad bieżące podziały polityczne dla wspólnej narady nad tym, jak podnieść poziom bezpieczeństwa. W drugim tweecie pobrzmiewa ton nadąsanego nastolatka, który ma ochotę opowiedzieć światu, w jak fatalny sposób zarządzane są nasze siły zbrojne.

Tego samego 11 września w Parlamencie Europejskim dochodzi do specjalnego posiedzenia zwołanego z powodu ataku dronowego na Polskę. Deputowana Konfederacji Ewa Zajączkowska-Hernik w czasie debaty mówi: „Parlament Europejski wyraża dziś swój nic niewarty i pusty gest solidarności z Polską po przekroczeniu naszej powierzchni powietrznej przez drony. Gdy już wymyśliliście, że Europa ma stawiać na obronność, wychodzi program SAFE, kolejny dług publiczny, który będziemy spłacać przez 45 lat, żeby wesprzeć przemysł niemiecki i francuski. Taka to jest wasza solidarność [...], nakręcacie prowojenną histerię w Polsce, za pomocą której razem z prezydentem Zełenskim chcecie wciągnąć Polskę do wojny na Ukrainie. Tak chcecie odwrócić uwagę od swoich nieudolnych rządów i braku inwestycji w system obrony przeciwko dronom. Putin się z was śmieje. I to nie jest nasza wojna".

Dzień wcześniej Krzysztof Bosak reaguje na deklaracje wiceprezydenta J.D. Vance'a, że USA nie widzą powodu, by izolować ekonomicznie Rosję. Bosak komentuje to tak: „To są dokładnie te same złudzenia, które miała Europa Zachodnia w latach dziewięćdziesiątych i dwutysięcznych, że da się ucywilizować Rosję".

Ktoś może spytać: Czy Konfederacja jest w stanie ustalić, kto jest większym zagrożeniem dla Polski: Rosja czy Ukraina?

Z kolei 12 września pod obrady Sejmu trafia poprawiony przez rząd projekt ustawy o zasadach świadczeń dla Ukraińców przebywających na terenie Polski. Gdy dochodzi do głosowania nad poprawką, która wprowadzałaby do ustawy wymóg zakazu używania publicznie symboli banderowskich i propagowania takiej ideologii, okazuje się, że większość klubu Konfederatów głosowała za, a jeden Sławomir Mentzen opowiedział się przeciwko takiej poprawce. Posłowie PiS triumfują i sugerują, że to dowód, iż Mentzen po cichu wspiera ekipę Tuska.

> **Konfederację spaja na razie wiara, że znajduje się na fali wznoszącej. Ale już widać, że silna pozycja Karola Nawrockiego tworzy dla Sławomira Mentzena konkurencję**

Mentzen w odpowiedzi skupia się na ataku na partię Jarosława Kaczyńskiego: „Pisowska bezczelność znów mnie zaskoczyła". Wypomina PiS, że miał osiem lat na takie poprawki, ale ich nie wprowadził, a potem oskarża Kaczyńskiego, że w Kijowie wznosił banderowskie okrzyki. Zarzut jest dość naciągany, bo dotyczy

eprasa.pl dce19a88a3

grudnia 2013 r., kiedy to w Kijowie trwał majdan przeciwko prorosyjskiemu rezydentowi Wiktorowi Janukowyczowi, a określenie „sława Ukrainie" było wtedy uważane jako hasło niepodległościowe bez konotacji wiążących je z tradycją UPA.

Ale charakterystyczny jest w tej sprawie modus operandi Sławomira Mentzena. Nie tłumaczy, dlaczego zagłosował w sposób zgodny z sugestiami rządu, tylko wdaje się w osobisty atak na Jarosława Kaczyńskiego. Lider Konfederacji, dociskany przez dziennikarzy w ciągu kolejnych dni, co rusz zmienia wyjaśnienie swego głosowania przeciw zapisowi o zakazie propagowania banderyzmu. Najpierw tłumaczy, że jako wolnościowiec jest za prawem do głoszenia nawet najgłupszych haseł, a potem zmienia wersję i twierdzi, że zagłosował tak, a nie inaczej, gdyż jasne było, że poprawka antybanderowska nie przejdzie. Co charakterystyczne, głosowania lidera partii w sposób zupełnie inny niż cała reszta klubu ani Krzysztof Bosak, ani pozostali posłowie Konfederacji nie komentują.

Wszystko to podkreśla proces, który rzuca się w oczy wielu obserwatorom życia publicznego. O ile Mentzenowi co pewien czas zdarzają się dziwaczne gesty lub wypowiedzi, o tyle Krzysztof Bosak wypowiada się w sposób stonowany i merytoryczny. W skrajnych przypadkach ich stosunek do pewnych rzeczy wychodzi na jaw. Tak było, gdy krótko przed drugą turą wyborów Mentzen udał się do swojego pubu w Toruniu na piwną biesiadę z Rafałem Trzaskowskim i Radosławem Sikorskim. Bosak nie ukrywał wtedy swego dystansu do takich pomysłów. Potem w kolejnych wypadkach stara się subtelnie zaznaczać, że on patrzy na pewne sprawy inaczej, ale bez bezpośredniej krytyki Mentzena. W naturalny sposób budzi to pytania, czy drogi obu polityków się nie rozejdą.

Szczególnie uważnie obserwują to politycy PiS. Jeden z polityków tej partii mówi: „Krzysiek czeka, aż Mentzen sam się wyłoży. Ale wcześniej nie zrobi nic, by zdradzić swoje przywódcze ambicje". Posłowie Konfederacji pytani o to reagują nerwowo: „Pisowcy wciąż tylko liczą na to, że Konfederacja prędzej czy później pęknie na część narodową Bosaka i liberalną Mentzena. Krzysiek nie jest taki głupi, żeby dokonywać rozłamu, bo będzie wtedy skazany na PiS. Bardziej opłaca mu się być w dużej Konfederacji, nawet jeżeli czasami nie zachwycają go pewne wyskoki Mentzena, niż dzielić partię na pół i odchodzić z trzaskaniem drzwiami".

Są wreszcie i tacy, którzy bardzo ogólnikowo, ale dają do zrozumienia, że Bosak nie odejdzie z prostego powodu – to Mentzen załatwia dla partii większość pieniędzy. A Bosak jest na tym polu znacznie mniej doświadczony.

ŚWIĘTA WOJNA PO PRAWEJ STRONIE

O ile Bosak jeszcze parę lat temu w odpowiedzi na pytania o ewentualne przyszłe koalicje konfederatów zazwyczaj podkreślał, że o konkretnych decyzjach będzie można mówić po wynikach wyborów, o tyle teraz pod wpływem Mentzena decyduje się na bardziej krytyczny ton wobec PiS. W wywiadzie dla „Rzeczpospolitej" z 22 września mówi: „Ataki, które przypuszcza w naszym kierunku kierownictwo PiS, są rodzajem komplementu, bo to znaczy, że oni widzą duże możliwości rozwoju politycznego przed Konfederacją. My możemy pozyskać jeszcze znacznie więcej wyborców, niż w tej chwili mamy, i zmniejszyć dystans, a nawet zmienić proporcje w polskiej polityce. To jest coś, z zaakceptowaniem czego oni mają poważny problem – że Konfederacja w koalicji mogłaby być większościowym partnerem dla innych partii".

Te wypowiedzi świadczą, że nawet unikający dotąd ostrego języka w stosunku do PiS Bosak wraca do ulubionej narracji konfederatów. W jej myśl partia Mentzena jest ugrupowaniem o szansach na znaczny wzrost. Co znaczące, Bosak sugeruje, że po wyborach w 2027 r. Konfederacja może być większościowym partnerem dla innych. Ten rodzaj retoryki prowadzi do kolejnego ulubionego sloganu konfederatów: „Wszyscy chcą z nami rozmawiać". To styl, który można nazwać mentalnością pięknej panny na wydaniu. Skłania on do rozumowania, że nie trzeba dużo myśleć o przyszłości, bo i tak ofert będzie tyle, że można w nich przebierać jak w ulęgałkach. Sondaże jednak tego nie wykazują. W badaniu CBOS z 22 sierpnia br. Koalicja Obywatelska i PiS zajmują dwa pierwsze miejsca ex aequo z wynikiem po 30 proc. Konfederacja w sierpniu zyskała tylko 12 proc. W kolejnym wrześniowym sondażu CBOS PiS wygrywa z wynikiem 30 proc., a Koalicja Obywatelska ma już tylko 28 proc. Partia Mentzena otrzymała 11 proc., czyli o 1 p.p. mniej niż w sierpniu. A w porównaniu z 14,81 proc. Sławomira Mentzena w pierwszej turze wyborów prezydenckich to wynik niemal o 3 p.p. mniejszy.

Media liberalne wyraźnie złagodziły ton wobec Mentzena. Tak dzieje się zawsze, gdy ktoś wchodzi w rolę wyrazistego przeciwnika Jarosława Kaczyńskiego

FOT. ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

Oczywiście konfederaci mogą wskazywać na niechętną sobie kampanię PiS. Liczne wypowiedzi Jarosława Kaczyńskiego w ciągu ostatnich trzech miesięcy sygnalizują linię największej partii opozycji, która wyklucza koalicję z Konfederacją. Przykładowo 28 sierpnia w Białymstoku na spotkaniu z wyborcami Kaczyński mówił: „Niegodnym moralnie jest, gdy powstaje grupa o gigantycznych dochodach, a inni żyją w biedzie. My takiej Polski nie chcemy. To Sławomir Mentzen takiej Polski chce".

Po słynnym piwie Mentzena z politykami Platformy Kaczyński podjął decyzję o atakowaniu konfederatów i trzyma się jej dosyć konsekwentnie. Ale Sławomir Mentzen także nie przebiera w słowach. Słynna była jego wypowiedź z 29 lipca: „Kaczyński to polityczny gangster, który

eprasa.pl dce19a88a3

chce dobrze tylko dla swojej partii. Jest w stanie zniszczyć każdego, kto mu się sprzeciwi, i jest w stanie zniszczyć każdego koalicjanta, który mu na to pozwoli".

Jeśli ktoś myślał, że czas przyczyni się do złagodzenia ostrości wypowiedzi Mentzena, to się mylił. Całkiem niedawno w rozmowie z Bogdanem Rymanowskim lider konfederatów mówił: „Jarosław Kaczyński ma potrzebę absolutnej dominacji i niszczenia wszystkich, którzy się koło niego pojawią, a ja zniszczony być nie zamierzam".

Bardzo charakterystyczne jest to, że Mentzen co rusz wraca jedynie do swoich lęków wobec Kaczyńskiego, a jednocześnie nie wyklucza koalicji z kimkolwiek. Skoro tak, to powinien powiedzieć choćby słowo o tym, jak koalicjantów traktuje Donald Tusk. Ale z jakiegoś powodu Mentzen skupia się wyłącznie na brutalności politycznej Naczelnika z Nowogrodzkiej. Konfederaci pocieszają się, że kontaktów z nimi szuka PSL. Tyle że w kolejnych sondażach Ludowcy oraz Polska 2050 nie przekraczają progu wyborczego. Konfederacja zatem, jak się zdaje, będzie po 2027 r. musiała wybierać obóz albo Tuska, albo Kaczyńskiego. Bo wyśniona przez konfederatów pozycja zwycięzcy wyborów to na razie polityczne chciejstwo. Być może najlepszym rozjemcą w relacjach PiS – Konfederacja będzie zwykły polityczny pragmatyzm. Już pojawiają się w obozach PiS i Konfederacji trzeźwe głosy, że dobrze byłoby zawrzeć pakt senacki, aby się nie wycinać bez sensu w wielu okręgach.

RETORYKA SWOJE, ŻYCIE POLITYCZNE SWOJE

Sławomir Mentzen ma jeszcze jeden problem. Po 6 sierpnia 2025 r. polityczny show po prawej stronie w dużej mierze „ukradł" nowy prezydent Karol Nawrocki. Na jego tle Mentzen traci swój atut młodości. Czym innym jest dworować sobie z Jarosława Kaczyńskiego jako niedołężniejącego „dziadzia", a czym innym zmierzyć się z dynamicznym startem prezydentury historyka z Gdańska, polityka starszego od Mentzena tylko o cztery lata. Na dodatek nie spełniły się pogłoski, że w kancelarii Nawrockiego będzie ktoś specjalny do relacji z konfederatami. Tym kimś miał być Przemysław Czarnek, ale w końcu nie zdecydował się na funkcję szefa prezydenckiej kancelarii. W rezultacie dwoma czołowymi współpracownikami głowy państwa zostali Paweł Szefernaker i Zbigniew Bogucki, którzy przynajmniej na razie stanowią dla Nowogrodzkiej gwarancje poprawnych relacji. Na dodatek kuluarowa plotka głosi, że Nawrocki bardzo dobrze rozumie się z prezesem, tym bardziej że potrafi ponoć doskonale odnaleźć się w formule ulubionych przez prezesa długich debat o historii i polityce. O spotkaniach Nawrockiego z Mentzenem na razie nic nie słychać.

Media liberalne wyraźnie złagodziły ton wobec Mentzena. Tak dzieje się zawsze, gdy ktoś wchodzi w rolę wyrazistego przeciwnika Jarosława Kaczyńskiego. Na podobnej zasadzie ponad trzy lata temu wykpiwany wcześniej Jarosław Gowin z chwilą rebelii w obozie Zjednoczonej Prawicy przeciw Naczelnikowi natychmiast awansował do roli roztropnego męża stanu. Tak samo dziś „Gazeta Wyborcza", „Newsweek" czy Onet głoszą, że to Kaczyński rozpętał wojnę z Konfederacją. Tygodnik „Polityka" z 19 września, pisząc o Konfederacji, wpada wręcz w zatroskany ton: „Czy Mentzen ma szanse? Kaczyński atakuje, chce mu zabrać wyborców i osłabić Konfederację".

Mentzen wreszcie musi ciągle licytować się w politycznym radykalizmie z osłabionym, ale wciąż groźnym dla konfederatów Grzegorzem Braunem. Co prawda, lider Konfederacji Korony Polskiej zmaga się z problemem odklejania się siatkówki w oku, ale w kwestii stosunku do wojny na Ukrainie jest konsekwentny. Głosi, że nie było żadnego rosyjskiego ataku dronowego, a mieliśmy jedynie do czynienia z ukraińską prowokacją. Na tym tle Konfederacja jest rozdwojona. Z jednej strony wypowiedzi Krzysztofa Bosaka sugerują, że mieliśmy do czynienia z atakiem Moskwy, a z drugiej strony Sławomir Mentzen nazywa partie Koalicji i PiS lekceważąco „sługami narodu ukraińskiego".

Ten łamaniec w przekazie dobrze pokazuje, jak bardzo eklektyczną partią jest Konfederacja. Na razie spaja ją wiara, że znajduje się na fali wznoszącej. Ale już widać, że silna pozycja Karola Nawrockiego tworzy dla Sławomira Mentzena konkurencję akurat w dziedzinie, w której miał on nadzieję na sukces – wykreowanie się na lidera młodej generacji. Prezydent może Mentzenowi sprzątnąć sprzed nosa tę polityczną rolę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dce19a88a3

Bezkarność

FOT. ADOBE STOCK

Rafał A. Ziemkiewicz

Sprawy Tomasza Grodzkiego i Romana Giertycha przekonały „obóz demokratyczny”, że w obronie partyjnych kolegów można posunąć się do wszystkiego i nie powoduje to żadnych poważnych skutków

Umorzenie – czy raczej, powiedzmy to od razu wprost – „skręcenie” sprawy Sławomira Nowaka nie jest pierwszym takim wypadkiem za obecnych rządów, ale pierwszy raz akcja przeprowadzona została tak bezczelnie. Wcześniej mieliśmy już wiele umorzeń i uniewinnień, realizujących „doktrynę Neumanna” (swoich bronimy za wszelką cenę i wszelkimi możliwymi środkami); najgłośniejsze z nich dotyczyły byłego marszałka Senatu, Tomasza Grodzkiego, oskarżonego przez 22 świadków, oraz Romana Giertycha, któremu zarzucono wyprowadzenie ze spółki Polnord 92 mln zł. W pierwszym wypadku prokuratura uznała, że proceder wymuszania łapówek za leczenie w szpitalu kierowanym przez Grodzkiego mógł być prowadzony za plecami ordynatora, a skoro późniejsza „trzecia osoba w państwie” (jak lubił był podkreślać swe znaczenie przy każdej okazji Tomasz Grodzki) mogła nie wiedzieć, to należy uznać, że nie wiedziała. Przeciwko innym oskarżonym wniesiono akty oskarżenia, o których dalszych losach nic na razie nie wiadomo. Dodajmy, że decyzja szczecińskiej prokuratury o odstąpieniu od oskarżenia Grodzkiego zapadła w lutym 2024 r., a więc krótko po nielegalnym przejęciu Prokuratury Krajowej przez Adama Bodnara.

Znacznie dłużej, aż do czerwca 2025 r., musiał na cofnięcie zarzutów czekać Roman Giertych. Decyzja wyraźnie nie zapadła łatwo, skoro jeszcze dwa tygodnie przed ogłoszeniem umorzenia prowadzący sprawę lubelscy prokuratorzy zapewniali tropiącego sprawę dziennikarza, Leszka Kraskowskiego, że

eprasa.pl dce19a88a3

akt oskarżenia jest wreszcie „dopięty” a skierowanie go do sądu – przesądzone. „Z góry” przyszła jednak inna decyzja – odpowiedzialna za wspomniany akt oskarżenia prokurator Sylwia Chamerska została „szurnięta” do Wrocławia, a zarzuty, nieco podobnie jak w wypadku Grodzkiego, przeniesiono na kogoś innego. W tym wypadku okazało się, że Giertych, uchodzący w PO z racji wielokrotnie demonstrowanego, bezwarunkowego poparcia ze strony Donalda Tuska za wszechmocnego, w swojej własnej działalności adwokackiej wykorzystywany jest przez Sebastiana J., znanego pod pseudonimem Foka, formalnie będącego jego ochroniarzem i kierowcą. To właśnie przebiegły „Foka” miał, wedle ostatecznych ustaleń lubelskiej prokuratury, skłonić Giertycha do zawierania w imieniu czterech założonych przez niego „spółek krzaków”z sobą samym, jako pełnomocnikiem Polnordu, wielu transakcji, wskutek których wspomniane miliony „wyparowały” ze spółki i znalazły się, jak wytropił wspomniany Kraskowski, na włoskim koncie żony Giertycha, Barbary. Sebastian J. nadal ma zarzuty, ale po krótkim wybuchu oburzenia sprawa przycichła, więc o zapowiadanym akcie oskarżenia wobec niego nic nie wiadomo.

OŚMIELENIE RZĄDZĄCYCH

Nie były to jedyne sprawy wszczęte przeciwko ludziom PO za poprzednich rządów i zamiecione po zmianie władzy – umorzone zostały sprawy Jacka Krawca, byłego prezesa Orlenu, Piotra Osieckiego, bohatera afery spółki Getback, a także oskarżonej o nielegalne przekazywanie zainteresowanym informacji z prowadzonego przeciwko nim śledztwa, a lansowanej dziś przez ministra Waldemara Żurka prokurator Ewy Wrzosek. Tu, odnotujmy, zadziałał mechanizm odwrotny niż przy oczyszczeniu Giertycha: łódzki prokurator Krzysztof Bukowiecki, który umorzył sprawę Wrzosek, został bezpośrednio potem awansowany na dyrektorskie stanowisko w Prokuraturze Krajowej (oczywiście, podobnie jak w wypadku przeniesienia prokurator Chamerskiej, „o decyzji tej zadecydowały wyłącznie względy merytoryczne”). Jednak to właśnie sprawy Grodzkiego i Giertycha, zwłaszcza ta druga, przekonały „obóz demokratyczny”, że w obronie partyjnych kolegów można posunąć się do wszystkiego i nie powoduje to żadnych poważnych skutków. Ot, media i politycy opozycji trochę się pooburzają, ale w „bańce” kontrolowanej przez PO wszyscy kupią podniosłe frazesy o „prześladowaniach przez PiS” oraz „oczywistym braku merytorycznych podstaw” i ostatecznie na sondaże sprawa nie będzie mieć wpływu. Jeśli można było sprawę tak medialną, jak wieloletnie śledztwo przeciw człowiekowi tak powszechnie nielubianemu jak Giertych – z jego sławnym „omdleniem” podczas zatrzymania, kilkunastokrotnym uchylaniem się od stawienia w prokuraturze i wieloletnim ukrywaniem się za granicą, aż do momentu obdarowania przez Tuska immunitetem – tak po prostu umorzyć, z groteskową argumentacją, że nieświadomie podpisywał, co mu podłożył kierowca, i nic – to czego zrobić nie można?

To doświadczenie niewątpliwie ośmieliło rządzących do załatwienia ciążącej im od dawna sprawy Sławomira Nowaka. Załatwienia, przyznajmy, częściowego, bo dawnemu „złotemu chłopcu Platformy”, którego pozycja na dworze Tuska była kilkanaście lat temu niezwykle wysoka, umorzono na razie tylko pomniejszy, „polski” wątek śledztwa – zarzuty korupcyjne przekazane przez prokuraturę ukraińską są wciąż „procedowane”. Niemniej ukręcenie głowy owemu polskiemu wątkowi dokonało się w sposób jeszcze bardziej malowniczy niż wszystko, co miało miejsce wcześniej.

Decyzja zapadła na tzw. wstępnym posiedzeniu sądu, na którym z zasady żadne decyzje nie są podejmowane – służy ono wyłącznie ustaleniu kwestii organizacyjnych dotyczących rozpoczynanego procesu. Prokuraturę reprezentowała na nim nowa prowadząca sprawę, Małgorzata Ceregra-Dmoch, wiceprzewodnicząca osławionego stowarzyszenia Lex Super Omnia, prokuratorskiego odpowiednika propeowskich gremiów sędziowskich, Iustitii i Themis; dotychczasowych prowadzących śledztwo oczywiście zaraz po przejęciu prokuratury odsunięto, a Roman Giertych nawet publicznie straszył ich więzieniem za rzekome prześladowanie polityczne byłego ministra poprzedniego rządu Tuska. Pani Ceregra-Dmoch zgodziła się z wnioskiem obrony o umorzenie postępowania. W Polsce, w przeciwieństwie do USA, prawo nie zdejmuje z sądu obowiązku „dogłębnego i bezstronnego rozważenia sprawy”, gdy zadeklarowana zostanie ugoda pomiędzy oskarżeniem a obroną (jeśli za jej odpowiednik uznać zgodny wniosek o umorzenie). Niemniej w tym wypadku sąd do wniosku się przychylił i sprawę

REKLAMA

Projekt współfinansowany przez Polski Instytut Sztuki Filmowej
POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

eprasa.pl dce19a88a3

zamknął. Jak szybko wytropiły media, decyzję tę podjął nie sędzia (sędzia, druga już zresztą z kolei, w której referacie znajdowała się sprawa, została pewien czas temu delegowana do innego sądu), ale asesor, z racji rzeczonej funkcji i wieku dość zgodnie nazwany przez media „młodym i niedoświadczonym”. O ile pierwszy przymiotnik można uznać w wypadku 29-latka za uzasadniony, to rzekomemu brakowi doświadczenia asesora Arkadiusza Domarasta przeczy dostępna już w Internecie, dość długa lista zażaleń i skarg złożonych na decyzje podejmowane przez niego w przeszłości.

GROTESKOWA PODSTAWA WNIOSKU O UMORZENIE

Sam fakt, że tak ważną i brzemienną w skutki decyzję, jak umorzenie wielowątkowej afery, w której śledztwo prowadzono latami, a tomy zebranych akt idą tylko w „polskim” wątku w dziesiątki, zdumiewa i oburza – ale jest to niestety zgodne z prawem. Nadanie uprawnień „sędziów na próbę” asesorom, czyli kandydatom do stanu sędziowskiego, po skończonej szkole asesorów sądowych, ale bez ostatecznych sędziowskich „święceń”, w tym przede wszystkim odbieranego przez prezydenta ślubowania, jest z jednej strony reliktem, z drugiej, niestety, spuścizną po rządach PiS. W największym skrócie, wykorzystanie do wydawania wyroków niższej rangi pracowników sądów, którzy nawet teoretycznie nie są zobowiązani do zachowania bezstronności ani przestrzegania innych wymogów zawartych w ślubowaniu, a z natury rzeczy chcą swymi orzeczeniami zasłużyć na dobrą ocenę u „pełnych” sędziów, wymyślone zostało przez przedwojenny reżim sanacyjny na użytek prześladowań opozycji po procesie brzeskim. Instytucja „sędziego na próbę” bardzo się oczywiście spodobała w PRL i była przez cały ten okres kultywowana. Pozostała i w III RP, na mocy uzgodnionego przy Okrągłym Stole pozostawienia sądownictwa w rękach dawnej nomenklatury jako „państwa w państwie”, gwarantującego bezkarność ludziom dawnego reżimu na wypadek złamania obietnic przez ich partnerów z Magdalenki, względnie odsunięcia tych ludzi od władzy. „Sędziów na próbę” zakwestionował dopiero Trybunał Konstytucyjny w roku 2007, za kadencji Jerzego Stępnia, ale podczas swoich drugich rządów PiS powrócił do nich, obchodząc wspomniany wyrok z argumentacją, że pomoże to rozwiązać bolesny dla społeczeństwa problem przewlekłości postępowań. Można zatem, przy pewnej dozie złośliwości, zauważyć, że gdyby nie minister Zbigniew Ziobro, nie miałby kto oczyścić Nowaka z zarzutów.

Nie zmienia to oczywiście faktu, że podstawa wniosku o umorzenie jest jeszcze bardziej groteskowa niż w wypadku Giertycha i „Foki”. Otóż obrona podniosła, a oskarżenie podtrzymało, że na banknotach znalezionych w dyskretnym schowku, zbudowanym w domu byłego ministra – łącznie równowartości 4 mln zł w dolarach, euro i krajowej walucie – nie stwierdzono jego „śladów biologicznych”. Nie ma więc dowodu, że Sławomir Nowak rzeczonych pieniędzy dotykał, a skoro tak – to nie można twierdzić, że o nich wiedział. Być może – jak twierdzili poprzedni prokuratorzy – pieniądze te pochodziły z wziętych przez Nowaka łapówek. Ale możliwe, to już tok rozumowania pani wiceprzewodniczącej Lex Super Omnia, że ktoś mu te pieniądze podrzucił. Może nie wiedział o skrytkach w swym mieszkaniu, może ktoś wykonał je i zapełnił pod jego nieobecność? A skoro istnieje taka wątpliwość, to prokurator zastosowała „domniemanie niewinności”, choć, Bogiem a prawdą, do jego stosowania zobowiązany jest sąd, od prokuratury, wręcz przeciwnie, wymaga się dociekliwości w oskarżaniu, a nie wyręczania obrony.

Można, przy pewnej dozie złośliwości, zauważyć, że gdyby nie Zbigniew Ziobro, nie miałby kto oczyścić Sławomira Nowaka z zarzutów

Dodajmy, że prokurator Ceregra-Dmoch, oprócz poparcia wniosku obrony, złożyła zapewnienie, że jeśli sąd umorzy sprawę, prokuratura, w której imieniu występowała, nie skorzysta z przysługującego jej zażalenia na tę decyzję. Fakt ten należy mieć w pamięci w kontekście niejasnych zapowiedzi, którymi rządzący usiłowali zbyć pytania po tym, jak sprawa nabrała rozgłosu i spowodowała powszechne oburzenie, że „zostanie jeszcze uważnie zbadana” i „rozważona”.

„NIE MAMY PAŃSKIEGO PŁASZCZA”

Zagranie wydaje się tak niewiarygodnie bezczelne, że powinno jakoś wpłynąć na notowania rządu i premiera. Ale rządzący, a zwłaszcza sam Tusk mają swoje wyrachowanie.

Z jednej strony, po wyroku skazującym byłego senatora Stanisława Gawłowskiego na pięć lat bezwzględnego więzienia za „aferę melioracyjną” (na razie nieprawomocnie), przewodniczący PO musi jakoś przekonać partię, że był to tylko wypadek przy pracy, że „doktryna Neumanna” obowiązuje nadal i że nie zamierza on wiernych sobie „żołnierzy” rzucać na pożarcie opinii publicznej, tylko dlatego, że któryś coś tam ukradł albo „wziął w łapę”, choćby i dużo. Inaczej lojalność jego „zorganizowanej grupy rządzącej” może stanąć pod znakiem zapytania, z łatwymi do przewidzenia, fatalnymi dla Tuska konsekwencjami.

Z drugiej strony, dotychczasowe przykłady dają Tuskowi nadzieję, że nawet tak jaskrawe pogwałcenie wszelkich zasad ujdzie mu na sucho. Wydawałoby się, że, poza opisanymi wyżej, przypadki takie jak „klepanie” przez sądy nadesłanych z Urugwaju oświadczeń podpisanych przez 140-latków, ostatni raz widzianych na Umschlagplatz w roku 1943, o przekazaniu kamienicy znanemu warszawskiemu mecenasowi, powinno zaszkodzić popularności stojącej za tym procederem partii – a nie zaszkodziło. Dlaczego miałoby się akurat teraz nie udać to, co udawało się już tyle razy? Najwyżej odsetek deklarowanej nieufności Polaków do sądów jeszcze bardziej wzrośnie (w ostatnim badaniu jest to 57 proc.), ale to problem dla partyjnego PR i kontrolowanych przez władzę mediów, jakoś przykryją wszystko raz jeszcze judzeniem na PiS i Konfederację.

„Nie mamy pańskiego płaszcza – i co nam pan zrobi?”.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dce19a88a3

Ruch antyalkoholowej histerii

Łukasz Warzecha

Zawziętość, z jaką duża grupa osób wypowiada się na temat alkoholu, przypomina momentami tyrady zagorzałych islamistów, podczas gdy alkohol jest częścią naszej kultury od tysiącleci

Co noc pod każdym czynnym o tej porze sklepem dzieją się sceny dantejskie. Pijani w trupa klienci biją się między sobą, napadają przechodzących, choć sami ledwo trzymają się na nogach, a pijackie wycia i brzęk szkła rozlegają się do białego rana. Wówczas wychodzący do pracy muszą oglądać leżących na trawnikach, chodnikach czy śpiących na przystankach we własnych wymiocinach alkoholików. Nie da się przejść 100 metrów, nie natykając się na takiego osobnika. Ci, którzy jakoś trzymają się na nogach, stoją w kolejkach, aby kupić „małpki", które wychylają pod sklepem jednym haustem, wyrzucając następnie byle gdzie opróżnione flaszki, których sterty już w południe dosłownie piętrzą się w pobliżu. Wieczorami z co drugiego mieszkania dobiegają pijackie krzyki albo bełkoty. Służba zdrowia jest sparaliżowana przez poranionych pijaków, wskutek czego ci trzeźwi poszkodowani nie dostają pomocy na czas i umierają w poczekalniach.

Taki obraz wyłania się z opowieści zwolenników antyalkoholowego purytanizmu, którzy ostatnio stali się wyjątkowo aktywni. Trzeźwo (nomen omen) myślący obserwatorzy sytuacji zaczynają zadawać sobie pytanie, o co tu chodzi, jako że poziom antyalkoholowej histerii, która ogarnęła polską klasę polityczną i dużą część debaty w ciągu ostatnich miesięcy, jest wręcz zadziwiający. Zaczyna to wyglądać jak zaplanowane albo sterowane gdzieś zza kulis przedsięwzięcie, które ma spełnić czysto biznesowe cele. Nie jest to bynajmniej szalona teoria spiskowa. Wielokrotnie zdarzało się, że jeden sektor biznesu dyskretnie wspierał zmianę publicznych nastrojów, aby doprowadzić do zmiany prawa i w ten sposób wykosić konkurencję. Istnieją i w tym wypadku przesłanki mogące świadczyć o tym, że z czymś takim możemy mieć do czynienia.

KTO GRA W TĘ GRĘ?

Jednak powody tej histerii są niejednorodne. Napędza ją kilka grup osób, mających w tym interes. Po pierwsze, aktywiści, szukający atencji i dziedziny, na której mogliby się wylansować. Tu szczególnie wyróżnia się Jan Śpiewak. Ten atencjusz prowadzi na Patronite zbiórkę, na której zarabia ponad 15 tys. zł miesięcznie. Śpiewak, niegdyś walczący o „wolne sądy" i biorący udział w antypisowskich demonstracjach, zmienił później front – co zbiegło się w czasie z ułaskawieniem przez prezydenta Andrzeja Dudę po tym, jak aktywista został skazany za zniesławienie córki byłego ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ćwiąkalskiego. Śpiewak po tym wydarzeniu stał się idolem mediów sprzyjających PiS. Jego działalność ma jednoznacznie lewicowy wymiar, co doskonale zgrywa się z podobnym profilem PiS i wspierających tę partię środowisk. Współzałożyciel lewackiego stowarzyszenia Miasto Jest Nasze walczył z kierowcami, deweloperami, flipperami, a teraz z alkoholem. Dla niego i jemu podobnych to po prostu sposób na życie. Czy motywacja jest idealistyczna i ideologiczna czy czysto pragmatyczna – z czegoś trzeba żyć – pozostaje w sferze przypuszczeń.

Druga grupa to politycy, którzy chętnie podłapują tematy podrzucane przez aktywistów, o ile z sondaży wychodzi im, że te dobrze się sprzedają i mogą im przysporzyć punktów. Tu szczególnie warto zwrócić uwagę na Jarosława Kaczyńskiego, który zadeklarował, że byłby zwolennikiem wprowadzenia ogólnopolskiej nocnej prohibicji. W przypadku prezesa PiS to oświadczenie nie powinno zaskakiwać. Idealnie zgrywają się tutaj bowiem względy światopoglądowe i polityczne.

Z politycznego punktu widzenia jest okazja, by uderzyć w Koalicję Obywatelską po tym, jak w Radzie Warszawy plany nocnej prohibicji, forsowane początkowo przez Rafała Trzaskowskiego, upadły pod politycznym naciskiem lokalnych struktur KO, inspirowanych przez ich szefa Marcina Kierwińskiego, niechętnie nastawionego wobec prezydenta stolicy. Z punktu widzenia poglądu Kaczyńskiego na państwo i jego relację z obywatelem również wszystko się zgadza. PiS jest partią głęboko paternalistyczną, żywiącą za swoim liderem

eprasa.pl dce19a88a3

przekonanie, że państwo ma prawo mnożyć zakazy i nakazy „dla dobra Polek i Polaków". Wolność osobista, w tym wolność prowadzenia działalności gospodarczej, nie jest dla Jarosława Kaczyńskiego istotnym zagadnieniem.

Mamy wreszcie sondaże. Najnowszy z nich pokazuje, że wprowadzenie zakazu sprzedaży alkoholu w sklepach w godzinach nocnych w swojej miejscowości popiera 68 proc. Polaków. Tu pojawia się pytanie, ilu wśród respondentów odpowiadających twierdząco znalazło się „domowych" sprzedawców trunków, właścicieli restauracji oraz taksówkarzy, świadczących usługi dowozu alkoholu pod wskazany adres. Przedstawiciele wszystkich tych grup zyskają bowiem na nocnej prohibicji.

PIĘĆ STADIÓW PANIKI

Skąd takie wyniki? Wyjaśnienie jest proste: mamy do czynienia z klasycznym przypadkiem fenomenu nazywanego w socjologii paniką moralną. Definicja mówi, że jest to zjawisko bardzo szybko rozprzestrzeniającego się wśród ludzi przekonania, zwykle fałszywego, że jakaś grupa czy zjawisko zagraża jej wartościom, stabilności czy spójności. Wynalazca tego pojęcia, południowoafrykański socjolog i kryminolog Stanley Cohen (1942–2013), pisał, że panika moralna pojawia się, gdy jakieś „zjawisko, wydarzenie, osoba lub grupa osób zaczynają być postrzegane jako stwarzające zagrożenie dla społecznych wartości i interesów". Wypisz wymaluj to, czego jesteśmy właśnie świadkami.

Jeszcze przed Cohenem panikę moralną – aczkolwiek bez użycia tego pojęcia – opisywał słynny medioznawca Marshall McLuhan w swojej książce „Zrozumieć media" z 1964 r., analizując mechanizm wzmacniania panicznego przekazu. Cohen zaś o panice moralnej napisał po raz pierwszy w książce z 1972 r. „Folk Devils and Moral Panics" („Ludowe strachy i panika moralna" – brak polskiego wydania).

Cohen zdefiniował pięć stadiów paniki moralnej – warto przymierzyć je do obecnej antyalkoholowej histerii, aby sprawdzić, na jakim etapie jesteśmy. Stadium pierwsze – wyżej wspomniane: zjawisko, osoba, grupa osób zaczynają być postrzegane jako zagrożenie dla społecznych wartości czy bezpieczeństwa. Stadium drugie: wrażenie zagrożenia jest pompowane przez media, stosujące uproszczony i prymitywny przekaz. Stadium trzecie: poczucie zagrożenia w społeczeństwie się potęguje. Stadium czwarte: strażnicy moralności – redaktorzy, publicyści, przywódcy religijni, politycy i inni moraliści – zajmują stanowisko w sprawie rzekomego zagrożenia, dobierając koncesjonowanych ekspertów, którzy ogłaszają swoje diagnozy i proponują rozwiązania w postaci nowej polityki i regulacji. Stadium piąte: zjawisko zanika, zmniejsza się albo pogarsza.

Nietrudno dostrzec, że w sprawie alkoholu jesteśmy gdzieś na styku stadium trzeciego i czwartego. Dużą rolę odgrywają – by sięgnąć po określenie innego socjologa, Amerykanina Howarda S. Beckera (1928–2023) – moral entreprenuers, czyli „handlarze moralności", a więc osoby w rodzaju Śpiewaka, starające się narzucić społeczeństwu wyznawane przez siebie normy.

Te próby okazują się w dużej mierze skuteczne, bo ludzie po prostu lubią poczuć się, bez wykonywania większego wysiłku, moralnie lepsi. Na takim efekcie żerują przedsięwzięcia takie jak Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy, gdzie wyższość moralną uzyskuje się za cenę paru groszy wrzuconych do puszki. Tu jest nawet taniej: nie trzeba nic płacić – wystarczy oburzyć się w mediach społecznościowych na „lobby alkoholowe" i napisać kilka obelżywych słów pod adresem tych, którzy sprzeciwiają się zakazom, aby we własnych oczach stać się lepszym, bardziej odpowiedzialnym, dojrzalszym, bardziej „cywilizowanym".

PRZESUNIĘCIE PROBLEMU

Przyjrzyjmy się uzasadnieniom postulatów wprowadzenia zakazów. Jednym z najważniejszych jest to, że należy ograniczać dostępność alkoholu w ogóle, ponieważ państwo ponosi koszty związane z interwencjami policji, utrzymaniem porządku czy leczeniem chorób związanych z nadużywaniem alkoholu. To argument wyjątkowo groźny, stosowany już zresztą w innych przypadkach – np. przy okazji absurdalnego podwyższania kar dla kierowców. Państwo, biorąc odpowiedzialność za zdrowie obywateli w ramach państwowego systemu, finansowanego ze składek i podatków, nie może traktować tego jako pretekstu dla ograniczania ich wolności. Gdyby tak do sprawy podejść, dla tego typu ograniczeń nie istniałaby praktycznie granica. Wśród ludzkich aktywności jest bowiem wiele takich, które generują koszty budżetowe bądź społeczne: od niezdrowego trybu życia, poprzez niewłaściwe odżywianie, do ryzykownego hobby czy sportów ekstremalnych.

Pojawia się również argument, że tam, gdzie nocna „prohibicja" została wprowadzona, spadła liczba interwencji policyjnych w nocy oraz przyjęć na SOR.

eprasa.pl dce19a88a3

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

Te dane są jednak podważane przez przeciwników takich rozwiązań. Warsaw Enterprise Institute wskazuje, odwołując się do doświadczeń krakowskich, że „spadki liczby interwencji były obserwowane także w dzień, gdy nie obowiązywał zakaz sprzedaży alkoholu". WEI stwierdza również: „Roczne statystyki Straży Miejskiej w Krakowie za cały 2023 r. pokazały wzrost liczby interwencji związanych z porządkiem publicznym, a także wzrost liczby zgłoszeń dotyczących spożywania alkoholu w miejscach zabronionych o 21,2 proc. w porównaniu z 2022 r. Podobnie, zgodnie z raportem, w 2023 r. liczba ujawnionych wykroczeń związanych z alkoholem wzrosła o 10,66 proc. w porównaniu z rokiem wcześniej (z 22,3 tys. do 24,7 tys.). Sugeruje to, że problem nie został rozwiązany, a jedynie mógł ulec przesunięciu – do innych godzin, innych części miasta, lokali gastronomicznych lub do prywatnych domów i mieszkań".

Ostatnie zdanie jest kluczowe. Zwolennicy zakazu wydają się uważać, że zakazując sprzedaży alkoholu nocą w sklepach oraz na stacjach benzynowych – ale już nie w lokalach gastronomicznych – rozwiązują jakiś problem. Otóż – bynajmniej nie. Następuje jedynie jego przesunięcie. Ludzie uzależnieni od alkoholu kupią go na zapas odpowiednio wcześniej i zapewne wypiją faktycznie nie na ulicy, ale w domu – tam zatem przeniosą się ich agresja czy alkoholowa frustracja. Zarobią sklepy na granicach gmin objętych zakazem, a także korporacje taksówkarskie czy po prostu osoby świadczące usługę dowożenia alkoholu spoza strefy zakazu pod wskazany adres.

Jeśli ktoś narzeka na pijackie awantury lub rzekomy bałagan pozostawiany na ulicy przez pijących, to powinien swoje pretensje skierować do nieskutecznej policji czy służb oczyszczania miasta. Rozwiązaniem deficytów w działalności służb nie może być blankietowe zakazywanie danej czynności czy ograniczanie wolności.

W raporcie „Prawda o alkoholu w Polsce" z czerwca tego roku WEI obala mit o rzekomo narastającym polskim problemie alkoholowym. „Według danych OECD z 2021 r. spożycie alkoholu w Polsce wynosi 11 litrów na osobę w populacji powyżej 15. roku życia. Wskaźnik ten przewyższa średnią europejską (9,8 litra), jednak należy wziąć pod uwagę, że średnia dla wszystkich 38 krajów OECD jest zaniżana przez państwa o bardzo niskiej konsumpcji, w tym kraje islamskie. Polska zdecydowanie nie jest liderem pod względem spożycia alkoholu w Europie. Wyższe wskaźniki notują m.in. Czechy, Austria czy Rumunia. Co więcej, ten sam raport OECD wskazuje na to, że odsetek osób uzależnionych w Polsce (3,7 proc. populacji) jest niższy niż w wielu innych krajach" – czytamy w opracowaniu. Dalej raport mówi: „Wraz z wprowadzeniem mapy akcyzowej konsumpcja alkoholu rzeczywiście spada. W 2018 r. wypiliśmy prawie 40 mln hl piwa, do 2023 r. konsumpcja spadła o jedną czwartą – do 30,6 mld litrów. W przypadku napojów spirytusowych spożycie zmniejszyło się z 3,8 l na głowę w 2021 r. do 3,4 l w 2023 r., a wina w tym samym czasie z 0,8 l do 0,72 l".

DAWKA CZYNI TRUCIZNĘ

Nocna prohibicja – tak naprawdę prohibicją przecież niebędąca, bo nieobejmująca wszystkich miejsc, gdzie można kupić alkohol – to jednak tylko najbardziej widoczny objaw moralnej paniki dotyczącej alkoholu. W istocie ta krucjata ma szerszy zasięg i prawdopodobnie dalej idące, populistyczne propozycje ze strony polityków hamuje jedynie świadomość, że wpływy z akcyzy na alkohol (w 2024 r. łącznie z piwem było to ponad 13,5 mld zł) są dla budżetu niezastąpione.

Jest w tym zjawisku jednak coś bardzo niepokojącego, co można by określić jako neopurytański zapał. Jeden z moich znajomych nazwał to kalwińskim szaleństwem. Antyalkoholowa krucjata faktycznie przypomina XVI-wieczne protestanckie wzmożenia, a w szczególności właśnie ruch purytański, spośród którego przedstawicieli rekrutowała się większość pierwszych osadników w Ameryce Północnej. Purytanie, jak wiadomo, we wręcz obsesyjny sposób walczyli ze „zbytkami" – w tym z kolorowymi ubiorami, a także z alkoholem. Ogólnie rzecz biorąc, za grzech uważali większość przyjemności.

Ruch antyalkoholowej histerii działa podobnie. Alkohol w internetowych dyskusjach nazywany jest „trucizną" przez neopurytanów, choć w jego przypadku wyjątkowo celna jest paremia Paracelsusa, słynnego XVI-wiecznego medyka: Omnia sunt venena, nihil est sine veneno. Sola dosis facit venenum – „Wszystko jest trucizną i nic nie jest trucizną. Tylko dawka czyni truciznę".

Zawziętość, z jaką duża grupa osób wypowiada się na temat alkoholu, przypomina momentami tyrady zagorzałych islamistów, podczas gdy alkohol jest częścią naszej kultury od tysiącleci. Ma swoje miejsce w eposach, powieściach, wierszach. Czary z winem czy kufle z piwem widnieją na setkach tysięcy dzieł zachodniego malarstwa. Dążenie do wyeliminowania alkoholu z naszego życia jest zamachem na jeden z nieodzownych składników naszego kulturowego dorobku.

Wystarczy sięgnąć do pomnikowego dzieła europejskiej literatury, do „Iliady", powstałej prawdopodobnie w VIII w. p.n.e., by przeczytać, co do Hektora mówi jego matka Hekabe, napotkana w Troi (przekład Kazimiery Jeżewskiej):

Ale zaczekaj – przyniosę ci wina jak miód słodkiego,
abyś na cześć ojca Dzeusa i innych bóstw nieśmiertelnych
ulał w ofierze, nim zaczniesz sam pić, by zgasić pragnienie.
Wino sił doda mężowi, jeśli nadmiernie się strudzi,
tak jak się ty utrudziłeś, w obronie stając bliskich.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dce19a88a3

Płeć na pokaz

FOT. ADOBE STOCK

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Wybuchające flary, smakowite babeczki, transparent na niebie. Jeśli będzie chłopiec, to tradycyjnie błękit, a dla dziewczynki – róż. Na popularności zyskują specjalne przyjęcia, podczas których przyszli rodzice ogłaszają płeć dziecka

Myślę, że będziesz Stellą, ale kto to wie; a ja myślę, że będziesz chłopakiem. Andzia mówiła Max i mi się Max podoba – mówią goście „gender reveal party" (imprezy z okazji ujawnienia płci dziecka; dalej GRP), zorganizowanej przez małżeństwo influencerów. Angelika „Andziaks" i Łukasz „Luka" Trochonowiczowie mają już czteroletnią córeczkę Charlotte. Znając rozmach, z jakim posiadający milionowe zasięgi twórcy internetowi pokazywali światu pierwszą ciążę i kolejne etapy życia małej Charlie, przy okazji drugiego dziecka fani pary oczekiwali czegoś spektakularnego. Nie zawiedli się. – Ja chcę Max albo Liam. Max jest dla mnie takie fajne, krótkie, mocne, charakterne. Luka kiedyś powiedział bardzo brzydko, że to jest imię, które kojarzy mu się z psem – wspomina w prawie 20-minutowym vlogu z imprezy przyszła mama.

Na GRP influencerów stawiła się cała śmietanka show-biznesu. Goście ubrali się na różowo lub na niebiesko – obstawiając płeć. Impreza była zaplanowana w najmniejszym szczególe. Od gigantycznej ścianki z balonów, poprzez urocze ciasteczka misie, do robiących wrażenie, bogato przystrojonych białych stołów. Ekipa filmowa prosiła osoby z bliższej rodziny o powiedzenie kilku słów do malucha, dzięki czemu będzie miał w przyszłości pamiątkę.

Okazało się, że rację miała Angelika, która na swoją imprezę założyła niebieską suknię. Małżonkom i ich gościom płeć dziecka „ogłosił" wybuch niebieskiego dymu, a ogród, w którym odbyło się przyjęcie, został zasypany błękitnym konfetti. Nad przebiegiem imprezy czuwali zatrudnieni specjalnie koordynatorzy, ponieważ przygotowano ją z rozmachem godnym niewielkiego wesela. Catering, obsługa foto-wideo, DJ, personalizowana papeteria. Obserwatorzy pary nie kryją zachwytu. „Jestem aktualnie w 15. tygodniu ciąży i płaczę ze wzruszenia, szczególnie jak ktoś mówi »jestem twoją mamą«, »jestem twoją ciocią«. Czuję się, jakbym sama poznawała płeć swojego dzidziusia, a jeszcze nie wiem, co to będzie! Mamy już synka,

eprasa.pl dce19a88a3

więc chłopaki rządzą!"; „Cudowne jest to, jak ludzie wokół was się cieszą takimi momentami razem z wami. Przepięknie się na to patrzy"; „Nie zazdroszczę wam pieniędzy, bo to może mieć każdy, ale tego, że będziecie kolejny raz rodzicami. Nie jest wszystkim to dane".

Choć trudno łudzić się, że dla influencera ciąża nie jest kolejną okazją do monetyzacji własnego życia, to sens „gender reveal party", organizowanego także na mniejszą skalę i skromniejszymi nakładami środków, dobrze oddaje jeden z komentarzy: „A moim marzeniem jest, żeby każde dziecko na świecie było tak chciane i tak wyczekane jak Wasz Synek".

TORT, PIES I KONFETTI

Na zagranicznym TikToku można znaleźć tysiące nagrań z tego rodzaju wydarzeń. Profil poświęcony publikacji nagrań z imprez GRP obserwuje prawie 1,5 mln osób. Bardzo często przyszli rodzice organizują miniimprezę – sami dla siebie i swoich dzieci. Mama, idąc na badanie USG wykrywające płeć, prosi lekarza, aby nie informował jej, czy nosi w sobie syna czy córkę. Z płcią zapisaną na kartce kobieta udaje się np. do cukierni i zamawia ciastko z odpowiednio barwionym nadzieniem. Następnie wraz z mężem, dziećmi, rodzicami – wszystko zależy od inwencji – przyszli rodzice jednocześnie ogłaszają i sami poznają płeć malucha.

Jeden z poradników dotyczących GPR podsuwa pomysły, co wykorzystać jako gadżet. „Piniata – kojarząca się z kulturą latynoską piniata jest świetnym pomysłem na zdradzenie płci dziecka. Wystarczy ozdobny woreczek (lub jakiś bardziej skomplikowany kształt tworzony na zamówienie) wypełnić błękitnymi lub różowymi słodyczami. Następnie członkowie rodziny lub rodzice kolejno uderzają w woreczek, aż słodycze się wysypią. Ich kolor zdradzi płeć dziecka, a radości nie będzie końca! Pudełko z balonami – to świetny pomysł dla tych, którzy uwielbiają dobrą zabawę! Wystarczy wypełnić pudełko kolorowymi balonami z helem, których barwa ujawniać będzie płeć dziecka. Po otwarciu pudełka wszystkie wylecą w powietrze w tym samym czasie, tworząc piękny efekt. Fajerwerki – to dopiero pomysł na ujawnienie płci dziecka z przytupem! Fajerwerki wybuchające określoną feerią barw w widowiskowy sposób zdradzą ten sekret. Zdrapki – to sposób dla większej liczby gości. Przygotuj specjalne zdrapki, które rozdasz wszystkim gościom. Na umówiony znak wszyscy je zdrapią, rozwiązując najważniejszą tajemnicę wieczoru!" – czytamy na westwing.pl.

Choć influencerzy i zwykli użytkownicy mediów społecznościowych prześcigają się w pomysłach na spektakularny sposób ogłoszenia płci dziecka (strzelanie błękitnymi lub różowymi kulkami do paintballu; pies z odpowiednim kolorem smyczy, przybiegający do właścicieli; wspólne otwarcie szafy z chłopięcą lub dziewczęcą wyprawką), to najwięcej wzruszeń i ciepłych komentarzy budzą te kameralne. Ponad 500 tys. polubień na TikToku zebrał filmik, na którym para siedzi na kocu na plaży. – Jestem twoim tatą i myślę, że będziesz chłopcem – mówi do kamery ojciec. – Jestem twoją mamą i nie mam pojęcia, kim będziesz, ale myślę, że możesz być dziewczynką – stwierdza z uśmiechem matka. Następnie zanurzają kieliszki w torcie (kolejny trend z Internetu), aby dowiedzieć się, że będą mieć syna. Bez wybuchów i konfetti, ale ze szczerą radością i nadzieją. Wiele pozytywnych recenzji zebrało też wideo, na którym to kilkuletni pierworodny podaje rodzicom różowy bukiet symbolizujący przyszłe narodziny dziewczynki.

Nie zawsze jednak impreza przebiega po myśli rodziców. W sieci znaleźć można nagrania, na których widać zawód, najczęściej ojców, którzy oczekiwali syna. Zdarza się, że GRP odbywa się w niezbyt radosnej atmosferze, gdy w rodzinie jest już np. czterech synów, a piąte dziecko także będzie płci męskiej.

OSKARŻENIA O TRANSFOBIĘ

Moda na GRP przyszła do Polski, podobnie jak na niezwykle popularne „baby shower", zza oceanu. W Stanach Zjednoczonych organizowanie imprez z okazji poznania płci stało się modne pod koniec pierwszej dekady XX w. Jednym z pierwszych zapisów medialnych był wpis na blogu „High Gloss and Sauce" z 2008 r. Jego autorka, Jenna Karvunidis, która przeżyła wcześniej kilka poronień, chciała uczcić w wyjątkowy sposób to, że udało się jej donosić ciążę do momentu tzw. USG połówkowego (wtedy najczęściej można już rozpoznać płeć). Karvunidis została okrzyknięta przez amerykańskie media „pomysłodawczynią »gender reveal party«".

Jednak i w tym przypadku pojawiła się ideologia. Jenna Karvunidis, która jest z zawodu adwokatem, uważa, że popełniła błąd i żałuje, że wpadła na pomysł publikacji w sieci zdjęć z imprezy. Dlaczego? „Kalifornijska mama ujawnia, jak zamiłowanie jej córki do garniturów i chłopięcych fryzur dało jej nowe spojrzenie na płeć i zjawisko, które sama zapoczątkowała" – ogłosił magazyn „People". Influencerka uważa, że nie należy celebrować płci dziecka, bo przecież nie wiadomo, kim się stanie w przyszłości, a „obsadzanie dziecka w rolach płciowych jeszcze przed narodzeniem" może być krzywdzące. „Chociaż imprezy ujawniające płeć stały się powszechne w mediach społecznościowych, to często spotykają się z krytyką za narzucanie dzieciom binarnej płci jeszcze przed ich narodzinami. Co więcej, przyszli rodzice wykazują się niekiedy brakiem roztropności, w niektórych przypadkach wybierając rozwiązania, które mogą prowadzić do obrażeń, a nawet śmierci" – grzmi „People".

Karvunidis przedstawia się na swoim Instagramie jako zwolenniczka ruchu LGBT. Przedstawiciele transideologii grzmią, że GRP są transfobiczne, bo przecież „narządy płciowe nie definiują płci". W tym aspekcie pojawia się też krytyka lekarzy, którzy używają USG do określenia płci dziecka (tutaj znowu anaukowy argument o tym, że płeć każdy może sobie wybrać i dowolnie zmienić).

Skrajnością jest postulat „znormalizowania »transgender reveal parties«". Wtedy zamiast błękitu i różu mają się pojawić wszystkie kolory tęczy. Przyszli rodzice nie powinni spekulować na temat płci, tylko cieszyć się z „nowego życia". Zamiast ubranek i gadżetów dla chłopca lub dziewczynki goście mają przynieść prezenty „neutralne płciowo" – odżywki, balsamy czy pieluchy.

Szaleńcza ideologia próbuje odebrać rodzicom, a szczególnie kobietom, dla których celebracja różnych momentów w ciąży jest szczególnie ważna, radość z oczekiwania na dziecko – być może bardziej powierzchowną, ale równie istotną i potrzebną.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dce19a88a3

Koncert japońskiej pianistki, Chieko Hary, podczas przyjęcia dla uczestników trzeciego konkursu chopinowskiego na Zamku Królewskim (1937). W pierwszym rzędzie: prezydent Ignacy Mościcki (czwarty od prawej) FOT. NAC

Przez klawiaturę do sławy

Tomasz Zbigniew Zapert

Blisko 100-letnia historia Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina obfituje w kontrowersje i skandale

Geneza najstarszego i wciąż chyba najbardziej prestiżowego turnieju fortepianowego tkwi w… sporcie. W interbellum nastąpił jego bujny rozkwit, toteż duet uznanych pedagogów muzycznych – Aleksander Michałowski i Jerzy Żurawlew – zauważając zapał młodzieży do rywalizacji na boisku, ringu, bieżni, korcie czy parkiecie, postanowił zdyskontować ową tendencję. Wystąpili z inicjatywą stworzenia internacjonalnych zawodów dla młodych pianistów. Jednak włodarze II Rzeczypospolitej początkowo nie dostrzegali potencjału projektu – promującego nie tylko spuściznę genialnego kompozytora, lecz także kraj. Sytuacja uległa zmianie, gdy urząd prezydenta objął prof. Ignacy Mościcki, systematycznie goszczący w salach koncertowych, nadto posiadacz dużej kolekcji fonograficznej. Z jego poparciem – i pokaźnym zastrzykiem finansowym dyrektora Monopolu Zapałczanego, Henryka Rewkiewicza (w Polsce Ludowej uwięzionego, co przyczyniło się do jego przedwczesnego zgonu) – pomysł doczekał się w roku 1927 urzeczywistnienia. Impreza wzbudziła zainteresowanie, wywołując emocje. Również polityczne, ponieważ władze państwa liczyły na triumf rodaka, tymczasem jurorzy uhonorowali Lwa Oborina, reprezentanta Związku Sowieckiego – państwa, z którym zaledwie siedem lat wcześniej toczyliśmy krwawy i zaciekły bój.

UŚMIECH FORTUNY

W roku 1932, czyli pięć lat po pierwszym konkursie – taki rytm organizacji imprezy przyjęto – uczestnicy zmagali się z klawiaturą, a animatorzy z… kryzysem ekonomicznym. Tym ostatnim w sukurs przyszli rządzący: ówczesny premier Aleksander Prystor i tercet ministrów z jego rządu (m.in. szef MSZ, August Zaleski) weszli w skład komitetu honorowego konkursu, co pozwoliło zamknąć jego budżet. Zwycięzcę wyłoniło losowanie, gdyż Węgrowi, Imre Ungarowi, oraz bezpaństwowcowi (de facto był to „biały" Rosjanin z domieszką krwi polskiej, później obywatel Stanów Zjednoczonych) Aleksandrowi Uninskiemu jury przyznało tyle samo punktów. Ślepy los okazał się nieszczęśliwy dla Madziara, notabene niewidomego.

Podczas trzeciej edycji audytorium ogarnęło wzburzenie. Rozpaliła je wiadomość, że jego faworytki, Chieko Hary – występującej w swym stroju narodowym, kimonie – zabrakło w gronie nagrodzonych. Widownia zaczęła gwizdać, buczeć i tupać. Skandowano: „Jury do kitu!". Impulsywni melomani usiłowali nawet wedrzeć się do pokoju obrad gremium oceniającego, żeby „sprawiedliwości stało się zadość". Powstrzymał ich personel Filharmonii, wzmocniony przez posiłki policyjne. Zdarzenie skutkowało laurem ufundowanym „pokrzywdzonej" przez majętnego kupca i kolekcjonera militariów Stanisława Meyera.

POLITYKA I JAZZ

Kataklizm wojenny (Filharmonia Warszawska legła w gruzach) sprawił,

eprasa.pl dce19a88a3

że czwarty konkurs odbył się w gmachu Akcji Katolickiej im. papieża Piusa XI „Roma" przekształconym w siedzibę opery. Wygraną ex aequo Belli Dawidowicz oraz Haliny Czerny-Stefańskiej uznano za „jeszcze jedną nierozerwalną więź trwale łączącą naród polski z radzieckim" – jak podkreślała „Trybuna Ludu". Nawiasem mówiąc, polska triumfatorka należała do niewielkiego grona chopinistów zaangażowanych ideologicznie. Znamienny tego dowód dała po 13 grudnia 1981 r., zasilając Patriotyczny Ruch Ocalenia Narodowego, a zwłaszcza deklarując poparcie dla umundurowanej władzy stanu wojennego, za co wyklaskano ją w trakcie recitalu. Dodajmy, że laureatka drugiej nagrody, nastoletnia Barbara Hesse-Bukowska, została wkrótce sympatią i muzą Krzysztofa Komedy, niemile wtedy słyszanego w Polsce Ludowej. Jazzem parał się również (pod pseudonimem Valdy) trzeci „na mecie" Waldemar Maciszewski, zmarły śmiercią samobójczą pod kołami pociągu. A wielkim przegranym tamtego współzawodnictwa był Paul Badura-Skoda. Austriak otrzymał jedynie dyplom wręczony w imieniu swoich kibiców przez Izabellę Galicką, wtedy studentkę historii sztuki Uniwersytetu Warszawskiego. Po latach zasłynęła ona (razem z Hanną Sygietyńską) odkryciem na podlaskiej plebanii obrazu pędzla El Greco „Ekstaza św. Franciszka".

19. Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina odbędzie się w dniach 2–23 października w Warszawie. Zakwalifikowało się do niego 85 muzyków z 20 państw. Ich interpretacje oceni jury pod przewodnictwem Garricka Ohlssona. Transmisje będzie można śledzić za pośrednictwem telewizji, radia oraz Internetu.

OD KUCHNI

Na kolejny konkurs czekano sześć lat – aż do rekonstrukcji budynku Filharmonii przemianowanej z Warszawskiej na Narodową. Potyczki konkurentów ulokowanych w hotelu Polonia, gdzie umieszczono także 70 fortepianów (sic!), zaowocowały aferą. Jeden z oceniających, renomowany wirtuoz Arturo Benedetti Michelangeli, odmówił podpisania werdyktu przyznającego I nagrodę Adamowi Harasiewiczowi, a II – Władimirowi Aszkenazemu, którego uznał za faktycznego zwycięzcę. Czas przyznał Włochowi rację. Rosjanin zgarnął wkrótce czołowe laury w spektakularnych konkursach im. Królowej Elżbiety Belgijskiej w Brukseli oraz im. Piotra Czajkowskiego w Moskwie, następnie pozostał za granicą, zrazu w Wielkiej Brytanii, następnie Islandii (!), której przyjął obywatelstwo. Skądinąd „wolność wybrał" też – w Londynie – „brązowy medalista" Chińczyk Fu Tsung. Imprezie sprzed siedmiu dekad towarzyszył skandal dziennikarski. Otóż najpoczytniejsza krajowa popołudniówka wszech czasów – „Express Wieczorny" – codziennie zamieszczała lapidarne relacje z porannych przesłuchań. Któregoś razu reporter gazety nie pofatygował się na nie, dyktując maszynistce przez telefon personalia mających grać przed południem. Tymczasem z powodu awarii elektryczności pianiści tego ranka nie wystąpili. W rezultacie redakcja w następnym numerze opublikowała sprostowanie. I zmieniła swego sprawozdawcę z konkursu.

Rok 1960 przyniósł niekwestionowaną wiktorię Mauriziemiu Polliniemu, chociaż ten utyskiwał na jadłospis hotelu Bristol, gdzie kwaterował. Bo w menu nie figurowały ravioli i cannelloni, potrawy mobilizujące muzyka. Ulubieniec słuchaczy, Michel Block, dostał zaledwie wyróżnienie. Artur Rubinstein, piastujący funkcję honorowego przewodniczącego jury, przyznał Meksykaninowi nagrodę pozaregulaminową pokaźnej wartości, co zrodziło pogłoskę o rzekomym ojcostwie darczyńcy względem obdarowanego.

POD MUCHĄ

Kolejni triumfatorzy: Martha Argerich, Garrick Ohlsson i szczególnie Krystian Zimerman to bodaj najbardziej wyraziste przykłady globalnej sławy gwarantowanej laureatom konkursu. Poznawałem nuty, kiedy oglądałam na ekranie telewizora marki Beryl 102 transmisję z ogłoszenia wyników dziesiątej edycji zawodów. Ówczesna propaganda usiłowała bezprecedensowe (komplet laurów!) osiągnięcie Zimermana wpisać pod obowiązujące wtedy hasło: „Polak potrafi!".

W karnawale Solidarności batalię oglądałem już na własne oczy. Zapadł mi w pamięć oczywiście Ivo Pogorelić – ekstrawagancki w grze, ubiorze, fryzurze i zachowaniu. Argerich, na znak protestu wobec niedopuszczenia Chorwata do finału (wtedy reprezentującego Jugosławię), hałaśliwie opuściła jury. Przysporzyło to pianiście rozgłosu. Prywatni fundatorzy ofiarowali mu „nagrody pocieszenia", nagrał w Polsce płytę z interpretacjami Chopina, niebawem zyskał światową renomę, debiutując w Carnegie Hall.

Stanisław Bunin, błyskotliwy wygrany z roku 1985, u schyłku ZSRS, wybył do Japonii. Z tamtych rozgrywek najmocniej w zakamarkach mej pamięci utkwiła estradowa interwencja lekarska. Brytyjczyk, Andrew Wilde, zasłabł bowiem przy instrumencie. Powodem niedyspozycji okazała się… muszka – zbyt ciasno zawiązana wokół szyi.

Dwukrotnie (w latach 1990 i 1995) nie przyznano nagrody głównej. Po „srebro" – używając terminologii sportowej – sięgali, odpowiednio, imponujący opanowaniem Amerykanin Kevin Kenner oraz Philippe Giusiano wraz ze zjawiskowym Aleksiejem Sułtanowem. To drugie rozstrzygnięcie sprowokowało opinię publiczną do snucia hipotez o matactwie. Francuza bowiem edukował m.in. szef konkursowego jury prof. Jan Ekier. Podczas przyznawania trofeów Rosjaninowi zaszklił się wzrok. Rozgoryczony odmówił uczestnictwa w koncercie laureatów. Dekadę później doznał śmiertelnego udaru mózgu.

Wielcy wygrani ostatnich czterech odsłon to, kolejno: Chińczyk Li Yundi, Rosjanka Julianna Awdiejewa, nasz Rafał Blechacz (pokonał m.in. południowokoreańskich braci: Lim Dong-Hyeka i Lim Dong-Mina – w trakcie występu tego ostatniego wyszło na jaw roztargnienie stroiciela fortepianu, zostawił we wnętrzu instrumentu narzędzie!), Cho Seong-Jin z Korei Południowej oraz niezwykle efektowny, dynamiczny, tryskający energią i radością Bruce Liu z Kanady. Kto zwycięży w tym roku, przekonamy się 20 października 2025 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Bibliografia:
Stanisław Dybowski, „Laureaci Konkursów Chopinowskich", Selene, Warszawa 2005;
Jerzy Waldorff, „Wielka gra", Iskry, Warszawa 1980;
Stefan Wysocki, „Wokół Konkursów Chopinowskich", Wydawnictwa Radia i Telewizji, Warszawa 1987.

eprasa.pl dce19a88a3

Tomasz Schuchardt (jako Franz Podolsky) idealnie pasuje do ról twardzieli z problemami FOT. DISNEY

Breslau noir

Piotr Gociek

Kryminalna miniseria Leszka Dawida ma swoje wady, ale dobrze pokazuje naturę nazizmu i obsesyjny niemiecki antypolonizm

Takie wilcze prawa rynku: od strony marketingowej polski serial Disneya żeruje na cudzej popularności. Konia z rzędem temu, kto słysząc hasła „lata 30.", „kryminał", „serial", „Breslau", nie pomyślał sobie: „O, nareszcie ktoś robi serial według książek Marka Krajewskiego". Otóż nie, ośmioodcinkowa seria Disney+ nie ma nic wspólnego z sagą o Eberhardzie Mocku – nic, poza miejscem akcji. Scenariusz napisali Bartosz Janiszewski i Magdalena Żakowska, za reżyserię odpowiada Leszek Dawid („Jesteś Bogiem", „Informacja zwrotna").

Na szczęście scenarzyści szukają własnej drogi i dzięki temu serialowi „Breslau" bliżej do książek typu „Ogród bestii" Jeffery'ego Deavera czy serii „Berlin Noir" Philipa Kerra niż do symbolicznych, erudycyjnych kryminałów Krajewskiego. Deaver i Kerr (ale nie tylko oni) osadzali w realiach III Rzeszy opowieści kryminalne, czyniąc ze wzrostu potęgi nazizmu istotny element dodatkowego nacisku na i tak niełatwy świat detektywów. Nie inaczej jest w serialu „Breslau" – mamy rok 1936, za kilka tygodni rozpoczną się igrzyska olimpijskie w Berlinie, nazistowskie władze wyłażą ze skóry, żeby przed tysiącami gości i całym światem zaprezentować się jako kraina szczęścia, pokoju i porządku.

Tymczasem w Hotelu Węgierskim w Breslau dochodzi do okrutnego podwójnego mordu. Zabito znanego polskiego sportowca żydowskiego pochodzenia oraz odwiedzającą go panią lekkich obyczajów. Do akcji wkracza komisarz Franz Podolsky (Tomasz Schuchardt), dla którego jest to ostatnia okazja, by ocalić karierę. Kilka miesięcy wcześniej został bowiem zawieszony z powodu podejrzeń o samosąd na seryjnym mordercy i pedofilu. Teraz jako najlepszy spec od dochodzeń nagle potrzebny jest i przełożonemu z policji, i świeżo przybyłemu wysokiemu oficerowi SS, który przyjechał z Berlina nadzorować porządek w mieście. Podobno na rozkaz samego Himmlera.

WSTYDU NIE MA

Tomasz Schuchardt idealnie pasuje do ról twardzieli z problemami. W serialu „Breslau" dostaje ich cały pęczek: nie dość, że doprowadza przełożonych do szału, to oczywiście także tęgo pije, a i hazard nie jest mu obcy. Ciekawym chwytem jest uczynienie jego miękkim punktem relacji z żoną Leną (Sandra Drzymalska, którą pamiętamy choćby z „Simony Kossak"). Ireneusz Czop dopiero co zagrał u Pasikowskiego pułkownika komunistycznego wywiadu wojskowego w „Zamachu na papieża", tutaj prezentuje się w czarnym mundurze SS jako

eprasa.pl dce19a88a3

Obersturmbannführer Johann Holtz. Przełożonym Podolskiego jest Przemysław Bluszcz jako inspektor Leopold Barens. Z licznych postaci na drugim planie najbardziej wybija się Adam Bobik jako wachmistrz Erwin Benk, prawa ręka Podolskiego w śledztwie.

W obrazku wszystko się zgadza, wstydu nie ma, widać, że pieniędzy na ten serial Disney nie szczędził. Mieliśmy w ostatnich latach podobną produkcję niemiecką, „Babilon Berlin". „Breslau" nie wygląda gorzej, a w wielu miejscach nawet lepiej dzięki świetnym zdjęciom Pawła Flisa. (Wkrótce cała trójka – Schuchardt, Drzymalska i Flis – spotka się na planie nowej wersji „Lalki"). Widać, że serial reklamowany jako pierwsza polska produkcja oryginalna Disneya ma być także produkcją eksportową. No i dobrze. Wolę, żeby zagraniczny widz obejrzał „Breslau" niż, powiedzmy, „Pokłosie", co nie oznacza, że jest to serial bez wad.

Problemów jest kilka i nie pozwalają one na ogłoszenie „Breslau" produkcją w pełni udaną. Przy całej scenograficznej staranności, przy pięknie odtworzonych wnętrzach i perfekcyjnie uszytych strojach jest to opowieść anachroniczna w dialogach. Zbyt często bohaterowie mówią językiem postaci ze współczesnych kryminałów, i to bardziej tych od Patryka Vegi niż powieści J.K. Rowling. Natężenie bluzgów w wielu miejscach jest żenujące, ale – co gorsza – zupełnie nie pasuje do bohaterów. Sceny świetnie napisane giną więc między tymi zwyczajnie chamskimi. To jest podstawówka, jeśli chodzi o pisanie: jeśli chcąc oddać emocje postaci, zmuszasz je nieustannie do krzyku lub przekleństw, to masz problem.

Fabuła może zdawać się powikłana, z czego zarzutu nie robię, bo czasy prostych historii i prostych rozwiązań mamy już od dawna za sobą. Współczesny kryminał (także ten przebierający się w szaty kryminału retro) przyzwyczaił nas do spiętrzenia makabry i historii mało prawdopodobnych; gorzej, że kiedy przychodzi czas na wielki finał, to emocji dostajemy mniej, niż oczekiwaliśmy. Ale niejeden kryminał ma skopaną końcówkę, co nie przeszkadza wcześniej w czerpaniu przyjemności ze śledzenia intrygi. Nie mam też nic przeciwko pożyczaniu z rozmaitych źródeł, trudno dziś o rzeczy prawdziwie oryginalne, coraz bardziej więc liczy się, „jak" opowiadamy, a nie „co".

Na pewno jedną rzecz trzeba wytknąć i winił tu będę postępującą „nową disneyizację", która dotyka od dłuższego czasu nie tylko produkty Disneya – odejście od tego, co kiedyś było siłą popkultury, czyli prostego przeciwstawienia „dobro – zło". Pod koniec „Breslau" zaczyna się bowiem całkiem niepotrzebne uczłowieczanie potworów – że niby też mają swoje traumy, więc my to musimy zrozumieć… Wcale mnie to nie dziwi, wszak żyjemy w czasach, kiedy na pozytywną postać nowych bajek kreuje się Złą Królową czy Złą Czarownicę ze Wschodu, przekręcając przesłanie a to z „Królewny Śnieżki", a to z „Czarnoksiężnika z Krainy Oz".

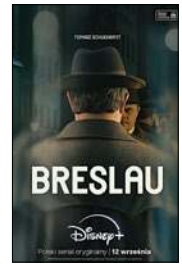

REŻ. LESZEK DAWID „BRESLAU" POLSKA, USA 2025

BEZ TARYFY ULGOWEJ

Wytknąwszy to wszystko, przechodzę z przyjemnością do rzeczy, które mi się w „Breslau" podobały. Narracja jest wartka, dobrze się to ogląda, robota Schuchardta jako komisarza Podolskiego jest więcej niż solidna. Dostaliśmy też na ekranie malowniczo zaaranżowany przegląd plag z epoki, więc knajpy, kasyna, burdele, hotele wyglądają jak należy, a wśród rozmaitych motywów nie może zabraknąć żelaznych punktów z repertuaru kryminałów noir: szantażu, sprośnych filmów, przestępczości mniej i bardziej zorganizowanej oraz moralnego upadku elit.

Sandra Drzymalska jako Lena Podolsky FOT. DISNEY

Największą plagą roku 1936 jest oczywiście nazizm, który odmalowany został w całej swojej odrażającej okazałości. Nienawiść do Żydów, Polaków i wszelkich innych elementów nieczystych rasowo, rosnąca kontrola partii nad aparatem państwa (Obersturmbannführer Holtz próbuje wymusić na inspektorze Barensie wstąpienie do NSDAP). Ale tzw. zwyczajni Niemcy też nie są lepsi – jedną z najbardziej odrażających postaci okazuje się weteran pierwszej wojny światowej, w dodatku z zasługami z czasów służby we Freikorpsie.

Pogarda dla Polaków jest w Breslau powszechna, komisarz Podolski wprost mówi, że jeśli straci pracę w policji, to będzie nikim, mniej niż nikim, będzie tylko „Polaczkiem". Tłum gwiżdże na polskiego sportowca, który pytany przez dziennikarza, czy nie obawia się swego niemieckiego konkurenta, odpowiada: „Żydowska krew i polska odwaga poradzą sobie ze wszystkim". Nazistowscy bojówkarze szykują się do obrzucenia zagranicznych gości kamieniami itd. Nie ma tu żadnego wyważania racji, usprawiedliwiania, poszukiwania „polskich współsprawców" – Polacy są prześladowani i znienawidzeni, tak jak Żydzi czy komuniści, a rasa panów, znaczy Niemcy, pokazani są tak, jak należało to zrobić, to znaczy bez taryfy ulgowej.

SERIAL PROPOLSKI

Z tego punktu widzenia okazuje się, że serial „Breslau" jest nie tylko produkcją polską, lecz także propolską, co wcale nie jest takie oczywiste w epoce, kiedy wśród elit kulturalnych III RP panuje moda na ojkofobię, tropienie rzekomo „wrodzonego" polskiego antysemityzmu oraz żyrowanie narracji o tym, że sami sobie na głowę wojnę ściągnęliśmy przez nacjonalizm i ksenofobię, a potem byliśmy niby „współsprawcami Holokaustu".

Nie miałbym więc nic przeciwko temu, żeby po scenariuszowym liftingu pojawił się drugi sezon przygód komisarza Podolskiego. Twardzieli, którzy łapią złych ludzi oraz stawiają się nadludziom z SS, nigdy za wiele.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dce19a88a3

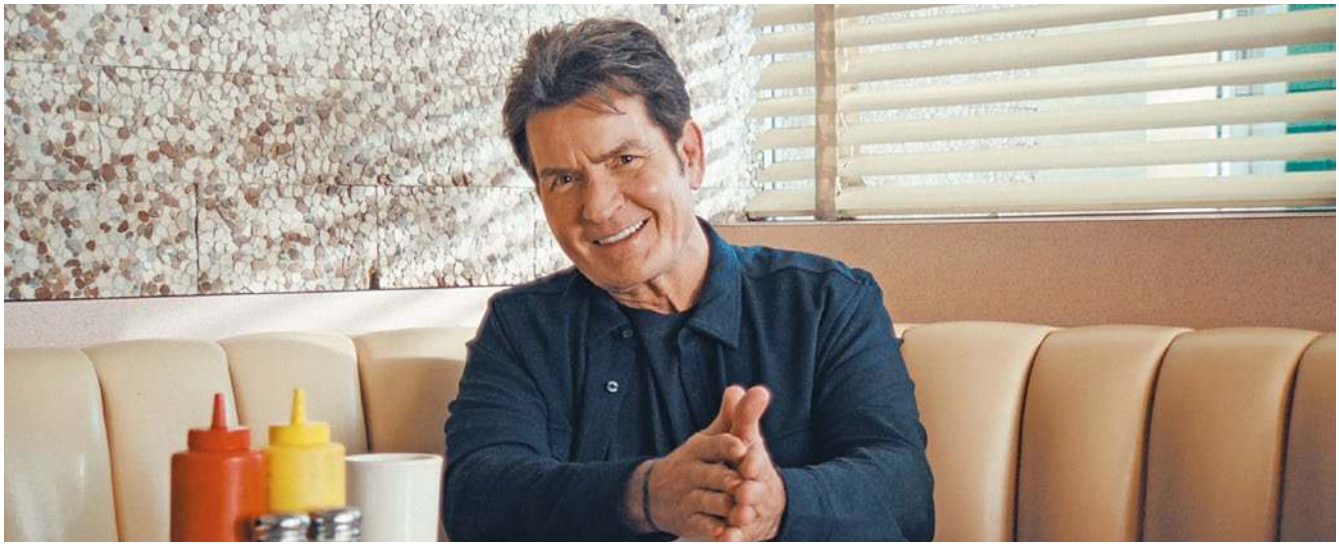

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Charlie szczęściarz

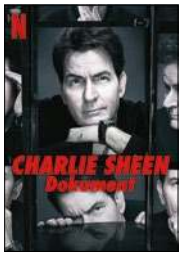

★★★☆☆☆
REŻ. ANDREW RENZI
„CHARLIE SHEEN: DOKUMENT" („AKA CHARLIE SHEEN")
USA 2025, DOKUMENTALNY

Proszę traktować tytuł tej recenzji jako ironiczny. Charlie Sheen to osobnik, który robi wrażenie sympatycznego i ma talent, ale całe życie jechał na gapę. Przetrwał, bo wszyscy dokoła – rodzina, przyjaciele, kochanki, fani – puszczali mu płazem rozmaite ekscesy, a gdy był na dnie, poświęcali się, aby mu pomóc.

W dwuczęściowym dokumencie Netflixa nie widać, aby aktor żałował, że sprawy potoczyły się tak, a nie inaczej. Mówi, że jest wdzięczny, mówi, że kocha, ale oglądając tę mówioną autobiografię, trudno nie myśleć o tym, ilu innych ludzi musiało cierpieć, żeby pan Charlie skończył w miarę OK. Wciąż jest bogaty, wciąż jest żywy, podobno od kilku lat trzeźwy i mimo HIV w niezłej formie fizycznej. Właściwie tytuł tych zwierzeń powinni twórcy dokumentu pożyczyć od Maleńczuka i jego książki „Ćpałem, chlałem i przetrwałem".

Byłbym jednak hipokrytą, gdybym deklarował, że oglądałem film Andrew Renziego tylko po to, by moralizować przed ekranem. Nakręcony jest świetnie; to dobra okazja, by zajrzeć w bagno Hollywood czasów intrygujących. Wielki wzlot Sheena ku kinowej sławie to wszak druga połowa lat 80. i szalone lata 90., potem wszystko zmienia się już tylko na gorsze. Wiek XXI to z kolei czas telewizyjnej kariery Sheena – przybywa mu pieniędzy, ale nie oleju w głowie.

Najbardziej frustrujące w tym filmie jest nasze nieustanne oczekiwanie na moment katharsis, na początek drogi ku odkupieniu – które nie nadchodzi. Nawet gdy trzeźwy od lat Sheen opowiada o tym, jak dobrze jest żyć normalnie, nie wiemy, czy to nie maska. Przy każdym zbliżeniu zdaje się, że za tą maską kryje się satyr wciąż łaknący najdzikszych podniet – tylko chwilowo spętany. Dokument, w którym aktor się spowiada, robi wrażenie na zimno wykalkulowanego (łącznie z finałowymi rewelacjami: nikomu nie zaszkodziłem, a poza tym lubię też facetów). A może to ćwiczenie mowy obrończej przed sądem, na wypadek jakichś pozwów? Nic dziwnego, że w tym cyrku udziału brać nie chcieli ci, którzy dla ratowania Charliego zrobili najwięcej: jego ojciec Martin Sheen oraz brat Emilio Estevez. Dlaczego? Podejrzewam, że z jednego powodu: bo go znają. ©℗

GRA TYGODNIA: „CRONOS: THE NEW DAWN"

★★★★★☆

Karty odkrywane są w tej opowieści stopniowo, a fabuła, gęsta i złożona, zawiera ciekawe zwroty akcji. Warto więc odkrywać ją samemu, a wiedzieć wystarczy tyle, że jako Podróżniczka przemierzamy postapokaliptyczny świat, w którym poczujemy się i dziwnie, i straszno, i swojsko. Fikcyjna aglomeracja Nowy Świt w dziele krakowskiego studia Bloober Teem jest inspirowana Nową Hutą lat 80. XX w. Jeśli zaś chodzi o gameplay, to wyraźnie widać – co nie jest zarzutem – czerpanie z „Dead Space". Wyszła z tego znakomita mieszanka. Udany survival horror, choć niestety bez polskiego dubbingu. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *akcji, survival horror, TPP*
- ***Platforma:*** *PS5, XSX, NS2, PC*
- ***Producent; wydawca:*** *Bloober Team*

eprasa.pl dce19a88a3

Rewolucja bez końca

KINO

Tajne akta Pentagonu nie pozostawiają cienia wątpliwości. W U.S. Army jednym z najpopularniejszych gadżetów jest polowy test na ojcostwo.

Paul Thomas Anderson, uwielbiany przez krytykę i trochę mniej przez publiczność, zapragnął wyjść z oscarowej strefy komfortu. Uwspółcześniając postmodernistyczną prozę Thomasa Pynchona, zbliżył się do reżyserów zabawiaczy: Quentina Tarantino i Stanisława Lenartowicza. Rezygnacja z nachalnego patosu każdemu wychodzi na zdrowie. Anderson popadł jednak w inną skrajność. Jego nowy film przypomina produkcje rodem z Bollywood: jest zarazem prorodzinny i obleśny, poważny i groteskowy. Amerykańskie do imentu są natomiast sceny strzelanin oraz samochodowych pościgów. Spiralę przemocy uruchamia Perfidia Beverly Hills, dziewczę wywodzące się „z długiej linii rewolucjonistów". Liderowanie miejskiej partyzantce jej nie wystarcza, inicjuje więc perwersyjny związek z oszołomem w mundurze (znakomity jak zwykle Sean Penn). Równolegle dla kaprysu zadaje się z łajzowatym współbojownikiem (Leonardo DiCaprio).

★★★☆☆☆

REŻ. PAUL THOMAS ANDERSON
„JEDNA BITWA PO DRUGIEJ" („ONE BATTLE AFTER ANOTHER")
USA 2025

wyst. Leonardo DiCaprio, Sean Penn, Teyana Taylor

Trudno tu z kimś sympatyzować, choć reżyser często daje do zrozumienia, że serce ma po lewej stronie. Na wypadek gdyby ktoś się czepiał, ma gotową odpowiedź: ja tylko żartowałem. Figur rodem z teatru absurdu w tym filmie nie brakuje. Źli ludzie uprawiają kult św. Mikołaja, zakonnica z karabinem – pole marihuany. Modna za oceanem teoria deep state doczekała się twórczego rozwinięcia. O duszę ojczyzny Lincolna i Myszki Miki walczą dwie zakonspirowane struktury. Jedna, dowodzona przez białych dziadersów, bredzących o „czystości rasy", ma wpływy w administracji, wojsku i służbach specjalnych. Druga, multikulturowa i młodsza, więc bardziej sexy, popiera nielegalną imigrację oraz aborcję. Terroryzmu niby się wyrzeka, lecz weteranom zbrojnej walki z kapitalizmem zawsze pomoże (chcieli wszak zmienić świat na lepsze). Groteskowa ustawka będzie trwać do końca świata. Sztandar rewolucji przejmą bowiem Latynosi tudzież niebinarni.

Sequel wydaje się wielce prawdopodobny, chyba że widzowie nogami zagłosują przeciw. Trzymajmy kciuki! ©℗

Wiesław Chełminiak

BUSZUJĄCY W FILMIE

James Dean nie dożył premiery „Buntownika bez powodu". Ekranowy wyścig ku przepaści okazał się proroczy. 30 września 1955 r. aktor skręcił sobie kark, gnając sportowym porsche przez Kalifornię. Dziwnym trafem przedwcześnie rozstała się z życiem cała trójka odtwórców głównych ról, ale tylko śmierć 24-letniego Deana, wschodzącej gwiazdy Hollywood, zrodziła legendę. Stał się bożyszczem nastolatków. Styl gry, bazujący na całkowitym utożsamianiu się z postacią, urzekł Amerykę. Mniemam, że mit nonkonformisty w skórzanej kurtce straciłby wiele powabu, gdyby jego nosiciel doczekał starości. Dziś o aktorze symbolu młodzieżowej rebelii wspomina się głównie w kontekście jego rzekomego homoseksualizmu. Asumpt do podejrzeń dał sam Jimmie, który wykpił się od służby wojskowej, deklarując się jako amator męskich wdzięków. ©℗

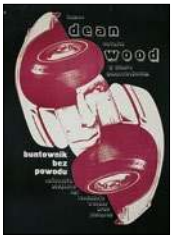

prime video

★★★☆☆☆

REŻ. NICHOLAS RAY
„BUNTOWNIK BEZ POWODU" („REBEL WITHOUT A CAUSE")
USA 1955

wyst. James Dean, Natalie Wood, Sal Mineo

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Piękno ekslibrisu

Zaczęło się niewinnie, w 1963 r., kiedy to Henryk Raczyniewski, ówczesny dyrektor Muzeum Zamkowego w Malborku, ogłosił konkurs na ekslibris dla biblioteki zamkowej. Z inicjatywy grafika Wojciecha Jakubowskiego wydarzenie przekształciło się w międzynarodową wystawę. Dziś jest jedną z najstarszych – jeśli nie najstarszą – wystawą na świecie prezentującą ekslibris. W tym roku przypada XXIX rocznica wydarzenia (nie jest ono organizowane co roku) i ponownie towarzyszy mu wystawa.

Nosi tytuł „Kultura exlibrisu w Rzeczypospolitej XVI–XVIII w.". Pokazane zostały „przykłady najstarszych, średniowiecznych znaków własnościowych, wczesnonowożytne inkunabuły ze znakami własnościowymi odbijanymi na oprawach, pokazujące zupełnie różne techniki oznaczania ksiąg oraz liczne przykłady exlibrisów formą coraz bardziej nawiązującą do współczesnej". Nie zapomniano także o twórcach najstarszych ekslibrisów.

Wystawa potrwa do stycznia, ale z uwagi na ograniczenia konserwatorskie niektóre z najstarszych obiektów będzie można zobaczyć wyłącznie w pierwszym miesiącu jej trwania. ©℗

FOT. LECH OKOŃSKI

GDZIE? ***Muzeum Zamkowe w Malborku***
KIEDY? ***do 10 stycznia 2026 r.***

eprasa.pl dce19a88a3

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Rażąca moc poezji

Już na wstępie książki o – zdaniem autorki – „genialnej i nieznanej" poetce, Annie Świrszczyńskiej (1909–1984), dowiadujemy się, w jakich dziedzinach wyprzedziła ona swój czas. Otóż „była wegetarianką, uprawiała jogę, biegała dla zdrowia. Istna nowoczesna, samoświadoma kobieta [...]". Nie może być! Że też nie wiedziałem o tym wszystkim, kupując w 1973 r. jej opublikowany nakładem Wydawnictwa Literackiego tom „Jestem baba" i zaczytując go następnie na amen, doprowadzając do stanu niewystawiającego najlepszego świadectwa PRL-owskiej poligrafii. Cóż, była kiepska, za to jakość drukowanej poezji – najwyższa.

Anna Świrszczyńska stworzyła najbardziej feministyczne wiersze, jakie można sobie wyobrazić. Nie obnosząc się z nimi pod sztandarem Strajku Kobiet (bo takiego wówczas nie było) ani nawet, biorąc poprawkę na czasy, w którym powstawały, Ligi Kobiet, choć akurat do niej należała. Ale – dowiadujemy się – ten jej „własny projekt feminizmu za żelazną kurtyną [...] jest zastanawiająco spójny z założeniami feministek Zachodu. Była krytyczna wobec partii. Żywo interesowała się wydarzeniami swojej epoki i odbierała impulsy zmieniającego się świata. Ferment dekolonizacji lat 60., którego powiewy docierały do do PRL [...], znalazły odbicie w jej twórczości".

Powiedziałbym, że byłoby lepiej, gdyby tego odbicia nie znalazły. Nie za nie tak wysoko cenił poetkę Czesław Miłosz, nie dla nich tacy jak ja zaczytywali jej najlepsze tomy wierszy i nie za nie autorka książki o Annie Świrszczyńskiej dała jej podtytuł: „Genialna i nieznana". Ani spłodzona do spółki z kochankiem „Śmierć w Kongo" z 1963 r., ani tym bardziej takie utworki potworki w niezapomnianym stylu „soc" powodem do poetyckiej chwały być nie mogą:

Pod Krakowem Nowa Huta,
modrą falą Wisła gra.
Moja luba mieszka tutaj,
jest murarką luba ma.
I codziennie w nocną ciszę,
kiedy praca kończy się,
moja luba listy pisze,
do żołnierza swego śle.
Kiedy skończysz służbę w wojsku,
To do Huty przyjedź sam.
Będziem razem domy stawiać,
Będzie razem dobrze nam.

A odnośnie do krytycyzmu poetki wobec partii to tak się złożyło, że jak na PRL-owską literatkę przystało, wstąpiła do TPPR, Ligi Kobiet i Komitetu Obrońców Pokoju, a w 1953 r. podpisała niesławną rezolucję Związku Literatów Polskich popierającą wyroki (wraz z karą śmierci) zapadłe podczas procesu księży z krakowskiej kurii oskarżonych o szpiegostwo. To może tyle dla ścisłości.

W 1974 r. nakładem Czytelnika ukazał się po raz pierwszy jej poetycki tom „Budowałam barykadę", jeden z najwybitniejszych utworów literackich poświęconych Powstaniu Warszawskiemu, dzieło i świadectwo, dwa w jednym. Jak pisał Miłosz, „przez wiele lat próbowała odtworzyć w wierszach tę tragedię: budowanie barykad, szpitale w piwnicach, domy zapadające się od bomby i groby ludzi w schronach, brak amunicji, żywności i opatrunków, własne przeżycia sanitariuszki. Ale próby te nie udawały się, były zbyt wielomówne, zbyt patetyczne, toteż niszczyła rękopisy. Musiało upłynąć lat 30, zanim natrafiła na styl, który ją zadowalał". Powstało dzieło wybitne.

W „Ostatnim polskim powstaniu", pierwszym utworze tego składającego się ze 100 wierszy tomu, napisała:

Opłakujemy godzinę,
kiedy się wszystko zaczęło,
kiedy padł pierwszy strzał.
Opłakujemy sześćdziesiąt trzy dni
i sześćdziesiąt trzy noce
walki. I godzinę
kiedy się wszystko skończyło.
Kiedy na miejsce, gdzie żyło milion ludzi,
przyszła pustka po milionie ludzi.

„»Budowałam barykadę« ma rażącą moc – także dziś" – w pełni zgadzam się z tymi słowami Agnieszki Stapkiewicz. Ale mocno uwierają mnie takie ustępy jej książki, z których dowiadujemy się, że Świrszczyńska – czytamy – „nie miała potrzeby podobania się. Biegała po to, aby się lepiej czuć, aby lepiej pracował jej mózg. Małgorzata Lebda podkreśla, że ma podobne motywacje. To poetka, a także ultramaratonka, która zasłynęła przebiegnięciem wzdłuż koryta Wisły. Bieg na dystansie 1113 kilometrów był wyrazem protestu poetki przeciwko projektowi betonowania koryt rzek. Lebdę ze Świrszczyńską łączą odwaga, szczerość. Lakoniczność oraz wrażliwość na naturę i zwierzęta, co ukazała jej sensualna proza poetycka »Łakome«".

Świetnie, ale nie ja jeden chyba chciałbym się z książki o autorce tak znakomitych tomów jak „Jestem baba" i „Budowałam barykadę" dowiedzieć jak najwięcej o niej, a nie o pani Lebdzie, o pani Borzym, która śpiewała wiersze z tego zbioru i nagrała je na płycie „Jestem przestrzeń", czy o pani Glińskiej, za której sprawą ten album się ukazał. „Dziś jest czas Świrszczyńskiej, bo nastał czas kobiet – ich emancypacji, budowania siły i samoświadomości" – stwierdza Agnieszka Stapkiewicz. Ośmielam się wyrazić swą, być może naiwną, wiarę, że na dobrą literaturę czas jest zawsze dobry. ©℗

★★★☆☆☆

AGNIESZKA STAPKIEWICZ „ŚWIRSZCZYŃSKA. GENIALNA I NIEZNANA"
WYDAWNICTWO WAM, KRAKÓW 2025

eprasa.pl dce19a88a3

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Historia szaleństwa

Najpierw antypatia: podejrzliwość wobec odmienności. Potem próba klasyfikacji: co nas różni i co z tego może wynikać. Na końcu zaś budowanie planów przebudowy świata: koncepcji segregacji albo „ostatecznego rozwiązania". Doktor Mateusz Maleszka ze znawstwem opowiada o rasizmie – tym prawdziwym, a nie o terminie zawłaszczonym we współczesnym dyskursie przez lewicę jako jeden z pustych epitetów („faszysta", „rasista", „mizogin"), którymi obrzucić można każdego, kto ma inne poglądy. Słowa te przestały nieść treść w chwili, gdy zamiast do opisywania świata inżynierowie dusz zaczęli ich używać jako znaczników nieprawomyślności.

Maleszka pisze natomiast o rasistach prawdziwych, w dodatku próbujących uzasadniać swoje teorie w sposób naukowy. Skupia się na okresie od zjednoczenia Niemiec w 1871 r. do wprowadzenia ustaw norymberskich w III Rzeszy (1935), ale opowiada nie tylko o profesorach w służbie niemieckiego rasizmu. Prawdziwym objawieniem dla polskiego czytelnika będzie zaznajomienie się z rozmaitymi teoriami rasistowskimi Brytyjczyków i Amerykanów; w odróżnieniu od dorobku Berlina, wiemy o nich niewiele.

Autor opisuje, jak te traktowane niegdyś (niestety!) z całą powagą absurdy nakręcały się nawzajem, z jaką atencją nawzajem się Anglosasi i Niemcy cytowali oraz inspirowali, choć także ostro polemizowali. We własnym gronie, poszerzanym czasem łaskawie przez Szweda czy Austriaka, to znaczy w gronie czystszych i lepszych rasowo. Domyślacie się oczywiście, kto był persona non grata – ci, którzy wedle owych teorii byli na świecie jedynie zbędnym balastem. Słowianie, Żydzi, Azjaci, czarni; znaczy niebiali, ale i białych klasyfikowano „od najjaśniejszych do najciemniejszych". Spierano się o granicę: Co z Chorwatami? A co z Polakami? Czy da się z nich ocalić jakąś nieskażoną część?

Miejsca, w których czytamy, jak dla uzasadnienia teorii rasowych dopisywano narodom i cywilizacjom jakieś rasistowskie dzieje bajeczne, to moment, gdy zstępujemy w otchłanie szaleństwa. Idee mają jednak konsekwencje, nawet te najbzdurniejsze – historia dowiodła tego milionami ofiar. A na koniec przestroga i dopisek mój: niektóre argumenty, np. o tym, że jakiś naród nie dorósł do demokracji, powtarzane są i dziś. Całkiem niedaleko. ©℗

★★★★★☆
MATEUSZ MALESZKA „RASA – HISTORYCY – WYMYŚLONA PRZESZŁOŚĆ"
IPN 2025

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Książkowy testament niestrudzonego podróżnika i reportera, przygotowany do druku po jego śmierci przez syna. Po co podróżujemy? Aby poznać świat, lecz przede wszystkim, by lepiej poznać siebie. I co ostatecznie widzimy?

TIZIANO TERZANI „KONIEC JEST MOIM POCZĄTKIEM"
ZYSK I S-KA

Jedna z najsłynniejszych książek Hemingwaya w przekładzie Anny Dzierzgowskiej. Noblista w szczytowej formie, ale po premierze książka nie była nadmiernie chwalona przez krytyków. Dziś uważana za klasykę XX w.

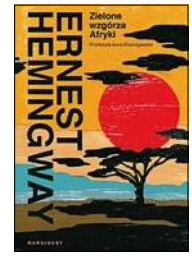

ERNEST HEMINGWAY „ZIELONE WZGÓRZA AFRYKI"
MARGINESY

Dziewiąty tom serii przybliżającej literaturę grozy jako integralną część mainstreamu. W tym tomie świadczą o tym m.in. teksty takich tuzów jak Kōbō Abe i Yukio Mishima czy nobliści Kenzaburō Ōe i Yasunari Kawabata.

AUTORZY RÓŻNI „OPOWIEŚCI NIESAMOWITE Z JĘZYKA JAPOŃSKIEGO"
PIW

Autor „Parku Jurajskiego" nie zdążył przed śmiercią dokończyć tej powieści, zrobił to za niego niedawno James Patterson. Wojskowe sekrety, wulkan na Hawajach i groźba końca świata; Spielberg już pytał o prawa do ekranizacji. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

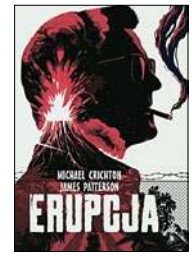

MICHAEL CRICHTON, JAMES PATTERSON „ERUPCJA"
VESPER

KOMIKS TYGODNIA:
MROCZNE POCZĄTKI

Ze wszystkich tzw. origin stories (opowieści o początkach kariery rozmaitych bohaterów i superbohaterów) ta jest jedną z najlepszych. A wśród konkurencyjnych wersji początków Batmana – nie tylko najciekawsza, lecz także najbardziej znacząca, bo była inspiracją zarówno dla Tima Burtona, jak i Christophera Nolana, gdy pisali scenariusze swoich filmowych hitów o Mrocznym Rycerzu. ©℗

Piotr Gociek

FRANK MILLER, DAVID MAZZUCCHELLI „BATMAN. ROK PIERWSZY"
EGMONT 2025

eprasa.pl dce19a88a3

Musical „Beetlejuice" w teatrze Syrena FOT. JOANNA BIESIAGA

W Syrenie bez trzymanki

Grzegorz Kondrasiuk

Za sprawą „Beetlejuice" teatr Syrena zafundował warszawskim teatromanom – tym zorientowanym na gatunki muzyczne – mocne wejście w sezon.

Pisanie recenzji ze spektaklu, który sprzedał się na pniu, gdzie z biletami trzeba czekać do wiosny, to dla krytyka nietypowa sytuacja. Ale sam przypadek Syreny pod dyrekcją Jacka Mikołajczyka jest dość nietypowy. Trzeba nieco cofnąć się w czasie, do roku 2018. Wtedy to na tę scenę wkroczyła „Rodzina Addamsów", musical Andrew Lippy, w tłumaczeniu i reżyserii dzisiejszego dyrektora. Syrena kojarzyła się wówczas, nie wchodząc w szczegóły, z niekoniecznie najwyższego lotu produkcjami estradowymi albo próbami ścigania się z „poważnymi" teatrami za czasów dyrekcji Wojciecha Malajkata. „Addamsi", tytuł zrealizowany przez Mikołajczyka najpierw w Gliwicach, a potem gościnnie w Syrenie, jak to się mówi, wypalił i zdobył stolicę.

Okazało się, że w istocie jest to większa sprawa niż tylko jeden szczęśliwy traf. Raczej całościowa formuła, pomysł na teatr musicalowy, który wkrótce reżyser zaczął realizować przy Litewskiej i – jak widać z pewnej perspektywy czasowej – który sprawdza się w stu procentach. Jest to herezja z punktu widzenia rzeczników sztuki wysokiej, a najlepiej jeszcze zaangażowanej, ale może warto to ogłosić drukiem: Syrena to dziś jeden z najlepszych polskich teatrów.

Powody? Realizacje Mikołajczyka nie są sztywnymi, prostymi adaptacjami. Opierają się na przemyślanym wyborze tytułów, w których chodzi o coś więcej niż tylko o fun. W tej branży liczą się hity, ale chodzi też o wartość dodaną, o hity dobrze napisane z ukrytymi pod rozrywkową formą głębszymi warstwami sensu. Poczucie humoru reżysera sprawia, że dowcipy nie są mechanicznie przenoszone z oryginalnych scenariuszy, tylko z dużą dozą swobody podrasowane, z licznymi aluzjami do lokalnych, warszawskich oraz polskich klimatów i tematów. Warto to docenić, zwłaszcza w obecnych warunkach, gdzie humoru mamy jak na lekarstwo, a za szczyty wyrafinowania robią ciężkawe, na jedno kopyto tłuczone dowcipasy serialu „1670".

Po szczęśliwym zejściu z afisza wysyconych i opromienionych sławą „Addamsów" w repertuarze Syreny pojawiła się luka, jeśli chodzi o stylistykę pastiszowo potraktowanej grozy. „Beetlejuice" wypełnia ją, i to z naddatkiem. Materiału dostarczył Tim Burton, ale cała przyjemność polega na zdziwieniu faktem, jak dalece scena potrafi przeobrażać filmowe obrazy. Nie jest to banalna historyjka o demonie, który nie może zaznać spokoju, ale oparta na moralitetowej strukturze opowieść zanurzona tak naprawdę w greckich mitach o podróży w zaświaty w poszukiwaniu ukochanej. Na wierzchu popkulturowa estetyka rodem z kina grozy, a pod spodem – opowieść o wartościach, o miłości dzieci i rodziców przekraczającej wszystko. Jak to udźwignąć, w dodatku uniezależniając się od znanego wszystkim filmu, kładąc grube warstwy świadomie stosowanego, scenicznego kiczu? Cała rzecz polega na wyobraźni, talencie i charyzmie, a tego zespołowi Syreny doprawdy nie brakuje.

Najnowsza premiera dowodzi, że mają tu obsadę na wysokim, a w zasadzie rewelacyjnym poziomie aktorskim i muzycznym. Anarchistyczna, bez politycznej poprawności jazda bez trzymanki, szalone tempo, reżyserskie bogactwo pomysłów spotykają się tu z dbałością o każdy detal. Paradoksalnie pomaga też to, co na dobrą sprawę powinno ograniczać, czyli mikroskopijna – jak na wymagania gatunku – scena w Syrenie. Konieczność osadzenia akcji w starym domu, w którym straszy (jak przystało na horror), uruchomiła inwencję inscenizacyjną. Ten dom żyje, stale się przeobraża i zaskakuje. Realizatorzy poszli na całość, jeśli chodzi o liczbę pomysłów (nie zdradzę tutaj szczegółów), użytych z bezczelnym urokiem i pewnością siebie.

Ale, co może należałoby zaznaczyć już na początku, nie udałoby się to, gdyby nie wykonawcy, obsada bez słabych punktów na każdej pozycji. W premierowej obsadzie w głównych rolach wyszli Maciej Maciejewski i Aleksandra Rowicka. Anarchistyczny, dziwaczny, autoironiczny demon i nastolatka indywidualistka w żałobie, oboje bez najmniejszego zawahania, na najwyższej intensywności. Nie ustępowała im druga para protagonistów, Barbara – Małgorzata Majerska i Adam – Michał Juraszek, poczciwa para warszawskich nerdów z fiksacją na punkcie starych mebli, szkoleń z dobrostanu i pasywnego unikania konfliktów. Ale – jak to się pisze w takich przypadkach, tym razem jest to prawda – wymienić tutaj należałoby wszystkich. Must see! ©℗

TEATR SYRENA (W KOPRODUKCJI Z TEATREM ROZRYWKI W CHORZOWIE) – „BEETLEJUICE"
SCENARIUSZ: SCOTT BROWN, ANTHONY KING
MUZYKA, TEKSTY PIOSENEK: EDDIE PERFECT
REŻYSERIA, TŁUMACZENIE: JACEK MIKOŁAJCZYK
PREMIERA: 13 WRZEŚNIA 2025 R.

eprasa.pl dce19a88a3

XXV Dzień Papieski

Kacper Kowalczyk

Długo zastanawiałem się, czym jest chrześcijańska nadzieja. Dopiero w połowie tego roku zrozumiałem, że nadzieja to głęboka pewność, że Pan Bóg ma mnie w swojej opiece i chce mojego dobra. Warto mu zaufać

Jak powiedział św. Jan Paweł II: „Bóg jest pierwszym źródłem radości i nadziei człowieka". W moim życiu obok tego najważniejszego doświadczenia wiary miałem szczęście zostać stypendystą Fundacji Dzieło Nowego Tysiąclecia. Ta przygoda okazała się źródłem i szkołą nadziei. Dla mnie, chłopaka z niewielkiej miejscowości, była to Boża niespodzianka. Od ponad pięciu lat doświadczam czegoś niesamowitego w życiu młodego człowieka. To przeświadczenie, że ktoś mi ufa, chce dobra i wspiera mój rozwój. Młodemu człowiekowi taka świadomość naprawdę może zmienić życie. Dziękuję Bogu za wszystkich, którzy tworzą Fundację oraz za darczyńców, bo to dzięki nim ja i tysiące innych młodych od 25 lat możemy być jej stypendystami.

Źródłem i szkołą nadziei jest obserwowanie rozwoju stypendystów. Po pierwsze, to rozwój duchowy. Widzę moich rówieśników, którzy wierzą i chcą być w Kościele. To tysiące młodych ludzi, którzy poznają życie i nauczanie św. Jana Pawła II oraz starają się go naśladować. Po drugie, to rozwój odpowiedzialności. Mamy świadomość, że tworzymy wyjątkowy, bo duchowy, pomnik papieża Polaka. To wyróżnienie, a także zobowiązanie do dawania dobrego świadectwa. Bierzemy odpowiedzialność zarówno za swoje życie, jak i za drugiego człowieka w budowaniu relacji, wolontariacie oraz trosce o dobro wspólne. Po trzecie, to rozwój we wspomnianych już relacjach. Po czwarte, to rozwój naukowy. Fundację tworzy wielu utalentowanych młodych, którzy wkładają duży wysiłek w zdobywanie wiedzy.

Gdy zostawałem stypendystą, cały świat zamykał się w czasie pandemii. Dla mnie otworzyła się wtedy nowa szansa. Wsparcie Fundacji było jak podmuch wiatru w żagle. Pozwoliło na naukę i mieszkanie w większym mieście. Dla mnie czas liceum to poznawanie siebie, nauka, rozwój talentów i budowanie relacji. To także ważne zaangażowanie i formacja w duszpasterstwie młodzieży. Dzisiaj mogę reprezentować stypendystów w Radach Duszpasterstwa Młodzieży – diecezjalnej oraz przy Konferencji Episkopatu Polski. Gdy szedłem na studia, dalej doświadczałem wsparcia. Dzięki pomocy starszych znajomych ze Wspólnoty Akademickiej Fundacji szybko wdrożyłem się w funkcjonowanie na uczelni. Przyjaźnie, które zawiązałem na wakacyjnym obozie, są ze mną do dzisiaj. Przede wszystkim bycie stypendystą Dzieła to szansa na przyjaźń ze św. Janem Pawłem II. Od dziecka go podziwiałem. Dzisiaj poznaję go jeszcze bardziej. Obserwując stypendystów i absolwentów Dzieła, patrzę na przyszłość Polski i Kościoła bez lęku. Jest we mnie nadzieja! Zachęcam do wsparcia Fundacji podczas zbiórki w Dzień Papieski, a także przez cały rok – wysyłając **SMS** o treści **STYPENDIA** pod numer **74 265 (4,92 z VAT)** lub przelewając dowolną kwotę na numer rachunku 75 1240 20341111 0000 0306 8582. Każda złożona ofiara to iskierka nadziei dla wielu młodych ludzi.

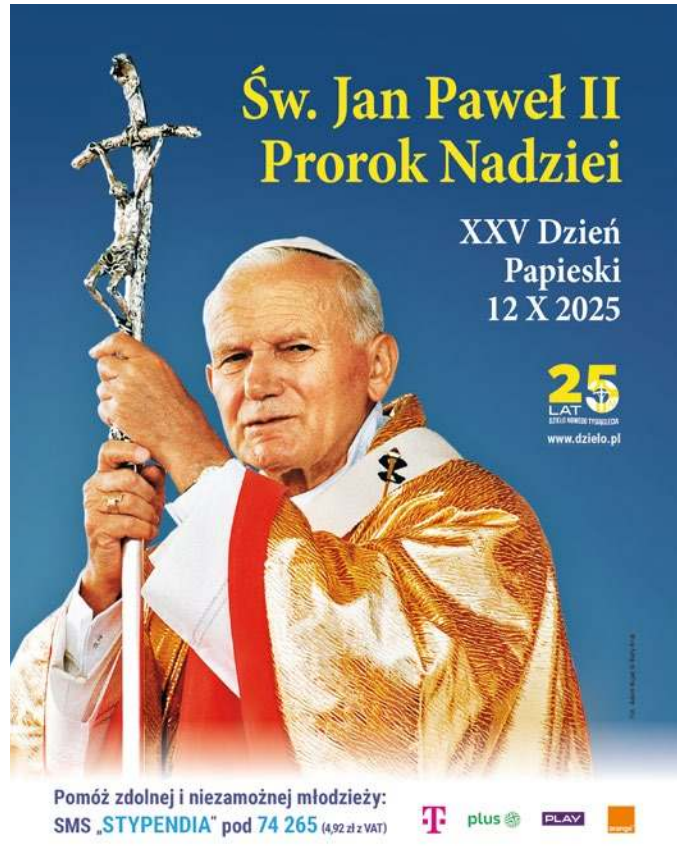

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl dce19a88a3

Pekin przygląda się Karolowi Nawrockiemu

Konrad Smuniewski

Xi Jinping wychowywany był w atmosferze antyrosyjskiego sentymentu, ukształtowanego jeszcze w epoce głębokich napięć chińsko-sowieckich w latach 60. i 70. XX w. Te doświadczenia historyczne sprawiają, że chińskie elity doskonale wiedzą, jak rozgrywać Moskwę i jak nie dopuścić do zbyt dużej zależności od Kremla

Prezydent RP Karol Nawrocki i szef chińskiej dyplomacji Wang Yi, Warszawa, 15 września 2025 r. FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/FORUM

Z moich źródeł w Pekinie dochodzą coraz wyraźniejsze sygnały, że przewodniczący Chińskiej Republiki Ludowej Xi Jinping jest żywo zainteresowany zbudowaniem relacji z nowym prezydentem Polski, Karolem Nawrockim. Chińska dyplomacja – głównie za pośrednictwem nieoficjalnych kanałów i poufnych komunikatów – zabiega dziś o możliwie szybkie doprowadzenie do wizyty polskiego prezydenta w Zhongnanhai. Nawrocki, choć wciąż pozostaje postacią stosunkowo nieznaną na arenie międzynarodowej, budzi w Pekinie nie tylko ostrożną ciekawość, lecz także pewne wyczekiwanie. Niech nikogo nie dziwi to, że Xi zadzwonił do niego dopiero po czterech dniach od objęcia urzędu. Opóźnienie to miało wynikać ze zmieszania, jakie wywołały lakoniczne i mało precyzyjne informacje biograficzne, które trafiły na biurko chińskiego przywódcy.

Nowy polski prezydent, wybrany w atmosferze niezwykle brutalnej i wulgarnej kampanii, nie pełnił wcześniej żadnej funkcji, która obligowałaby go do zabierania głosu w kwestiach międzynarodowych. Nic więc dziwnego, że w Państwie Środka wywołuje on zainteresowanie. Wciąż nie jest jasne, jakie podejście do Pekinu prezentować będzie Nawrocki, a brak wcześniejszych kontrowersyjnych wypowiedzi działa raczej na jego korzyść. Chińska dyplomacja przywiązuje ogromną wagę do stabilności, przewidywalności i długoterminowych interesów – profil, który wciąż można dopasować do nowego gospodarza Pałacu Prezydenckiego.

MAPA GLOBALNYCH SOJUSZY

Xi Jinping to strateg długiego dystansu. W jego polityce nie ma miejsca na emocję chwili, liczy się wyłącznie chłodna kalkulacja interesu państwa. Polska nie jest dla Chin priorytetem, ale to wcale nie oznacza, że pozostaje bez znaczenia. Położenie geopolityczne naszego kraju – pomiędzy Niemcami a Ukrainą, pomiędzy Unią Europejską a Rosją – czyni z Polski element układanki, którego Pekin nie może ignorować. W chińskiej narracji od dekad powtarza się frazy o wyjątkowym położeniu Polski, co bywało interpretowane jako czysta kurtuazja. Jednak fakty temu przeczą. To z tego powodu Pekin chciał inwestować w terminal kolejowy pod Łodzią, zanim projekt storpedował ówczesny minister obrony narodowej Antoni Macierewicz. Od tamtej pory w oczach chińskich elit Prawo i Sprawiedliwość zaczęło uchodzić za siłę całkowicie podporządkowaną interesom Waszyngtonu.

Inicjatywa Pasa i Szlaku (BRI) była ambitnym planem rozciągnięcia chińskiej obecności gospodarczej na całą Eurazję, a Europa Środkowo-Wschodnia miała być jednym z jej filarów. Choć w ostatnich latach dynamika projektu wyraźnie osłabła, to Pekin nie rezygnuje z regionu. Przeciwnie – w obliczu nowego układu sił po wojnie na Ukrainie Chiny mogą szukać alternatywnych kanałów współpracy. W tym kontekście rola prezydenta Polski nabiera dodatkowego znaczenia. Nawrocki, nieobciążony jeszcze wizerunkiem na arenie międzynarodowej, może gestami, wypowiedziami czy osobistymi relacjami wpływać na klimat kontaktów Warszawy z Pekinem.

W kręgach dyplomatycznych krąży informacja, że zanim Donald Trump spotkał się z Władimirem Putinem na Alasce, planował wizytę w Pekinie dokładnie 3 września. Data ta miała być

eprasa.pl dce19a88a3

symboliczna: rozmowy o Ukrainie, przyszłości NATO i nowym układzie sił w Azji oraz Europie mogły wyznaczyć kierunki na lata. Trump, jak to on, w ostatniej chwili zmienił plany, przez co do Pekinu nie pojechał żaden istotny przedstawiciel Zachodu.

Czy Polska mogła ten moment wykorzystać? Pod parasolem Trumpa Nawrocki mógłby zostać odebrany jako liczący się gracz zabiegający o polskie interesy, także w sprawie Ukrainy i pokoju w naszym regionie. Rozpoczęcie prezydentury od rozmów z trzema największymi graczami globalnymi byłoby symbolicznym wzmocnieniem jego pozycji. Jednak prawdopodobnie sama informacja o chińskich zabiegach, by zaprosić go na 3 września, nie dotarła do Nawrockiego. A nawet jeśliby dotarła, to zmiana planów Trumpa uniemożliwiłaby samodzielny wyjazd polskiego prezydenta. W grze pozostają więc inne daty, Pekin cierpliwie czeka na ruch Warszawy.

DUDA POTRAFIŁ. NAWROCKI TEŻ MOŻE?

Za prezydentury Andrzeja Dudy stosunki z Chinami były poprawne i relatywnie intensywne. Duda kilkakrotnie spotykał się z Xi Jinpingiem, zarówno bilateralnie, jak i przy okazji międzynarodowych szczytów. W 2016 r. złożył oficjalną wizytę w Pekinie, podczas której podpisano porozumienia gospodarcze i otwarto kilka obszarów współpracy. Polska była wówczas aktywna w ramach formatu 16+1, który później utracił impet i przeobraził się w mniej ambitną strukturę.

Dlaczego więc Karol Nawrocki miałby nie pójść tą samą drogą? Otoczenie nowego prezydenta nie zdradza jeszcze konkretnych planów zagranicznych podróży, chociaż w Pałacu Prezydenckim mówi się o priorytetach związanych z Zachodem, UE i NATO. Duda miał jednak pewną osobistą sympatię do Xi, która wykraczała poza schemat typowego polskiego atlantyzmu. Spotkanie Nawrockiego z Xi mogłoby przełamać lody i poszerzyć pole współpracy na fundamencie, który pozostawił jego poprzednik.

Styl dyplomacji nowego prezydenta stanie się tu kluczowy. Czy Nawrocki będzie aktywnym, podróżującym przywódcą, szukającym nowych rynków i okazji do budowania polskiej soft power? Czy raczej ograniczy się do roli biernego gracza, podbijającego nieznacznie stawkę w wewnętrznych rozgrywkach? Jeśli zyska uznanie na Zachodzie, a jednocześnie pokaże otwartość na Pekin, to może zbudować pozycję aktywnego i niezależnego prezydenta dbającego o interes narodowy. Urząd ten wymaga bowiem aktywności stabilizującej naszą pozycję i uniezależniającej Polskę od jedynego kierunku handlowego, którym jest dziś rynek unijny. A w przypadku ewentualnego opuszczenia Unii Europejskiej dobre relacje z Azją, szczególnie zaś z Pekinem, mogą stać się wręcz niezbędne.

KLUCZ DO BEZPIECZNEJ WSCHODNIEJ GRANICY

Ukraińscy ministrowie niejednokrotnie przyznawali, że Rosja nie zaatakuje tam, gdzie znajdują się chińskie inwestycje. Tłumaczy się to prosto: Pekin, jako największy partner handlowy i finansowy Moskwy, nie pozwoliłby na zniszczenie obszarów, w które zaangażował własny kapitał. Dla Kremla ewentualny konflikt na takich terenach oznaczałby nie tylko stratę materialną, lecz także pogorszenie stosunków z Chinami – jedynym państwem zdolnym realnie stabilizować rosyjską gospodarkę w obliczu sankcji Zachodu. To pokazuje, że Pekin posiada unikalne przełożenie na Moskwę i Mińsk, a jego głos w regionie waży więcej niż deklaracje wielu zachodnich polityków.

Tendencję tę widać w coraz bardziej uległej polityce Władimira Putina wobec Xi. Jeszcze dekadę temu to Pekin zabiegał o budowę gazociągu Siła Syberii 1, a Moskwa – korzystając z przewagi surowcowej – dyktowała warunki. Dziś role się odwróciły. To Putin, zmuszony sankcjami i izolacją od rynków zachodnich, zabiega o powstanie Siły Syberii 2, aby szybciej przesyłać surowce na wschód. Zmiana ta nie wynika z dobrej woli Moskwy, lecz z brutalnej kalkulacji: Rosja potrzebuje klienta, a Chiny – mając alternatywne źródła dostaw, od Bliskiego Wschodu do Afryki – mogą wybierać.

Między Chinami a Rosją nie ma przyjaźni – jest sojusz interesów, wymuszony geografią i sytuacją geopolityczną. To nie relacja oparta na wspólnych wartościach czy długotrwałym zaufaniu, lecz układ, w którym każda strona stara się maksymalizować własne korzyści. Pekin potrzebuje tanich surowców i stabilnego zaplecza na północy, a Moskwa – pieniędzy i politycznego wsparcia na arenie międzynarodowej. W tej grze Xi Jinping ma przewagę: jego państwo jest silniejsze gospodarczo, technologicznie i demograficznie.

Warto dodać, że sam Xi wychowywany był w atmosferze antyrosyjskiego sentymentu, ukształtowanego jeszcze w epoce głębokich napięć chińsko-sowieckich w latach 60. i 70. XX w. Te doświadczenia historyczne sprawiają, że chińskie elity doskonale wiedzą, jak rozgrywać Moskwę i jak nie dopuścić do zbyt dużej zależności od Kremla. Pekin traktuje Rosję instrumentalnie: jako użytecznego, lecz ograniczonego partnera, którego trzeba kontrolować, by nie stał się ciężarem.

Z polskiej perspektywy widać tu ważną lekcję: bezpieczeństwo naszej wschodniej granicy nie zależy wyłącznie od relacji z Waszyngtonem czy NATO, ale w dużej mierze od tego, jak układają się stosunki między Pekinem a Moskwą. Jeśli Chiny uznają, że stabilność regionu leży w ich interesie, to mogą skuteczniej powstrzymywać agresję rosyjską niż niejedna rezolucja ONZ. Dlatego pytanie: „Waszyngton czy Pekin?" nie jest abstrakcyjną rozgrywką – to kwestia realnego wyboru kierunku polskiej dyplomacji.

Pekin bacznie obserwuje. Karol Nawrocki jeszcze nie wykonał żadnego znaczącego ruchu wobec Chin i nie określił swojego stosunku do Państwa Środka. W kuluarach mówi się jednak, że ambasador Chin w Warszawie już intensywnie pracuje nad otwieraniem pierwszych kanałów komunikacji z jego otoczeniem.

Nie łudziłbym się jednak, że Nawrocki będzie dobrze poinformowany w sprawach chińskich. Problemem pozostaje także to, że państwowe ośrodki analityczne, takie jak PISM czy OSW – mimo posiadania kompetentnych ekspertów – są mocno przesiąknięte ideologią demoliberalną. To nie sprzyja obiektywnemu obrazowi Xi Jinpinga i Chin, a dla nowego prezydenta może oznaczać utrudniony start w relacjach z jedną z najważniejszych potęg współczesnego świata.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

O DAWNYCH KONTAKTACH POLAKÓW Z CHINAMI W TEKŚCIE „MISJONARZE I SETNIK KOZACKI" – STR. 56

eprasa.pl dce19a88a3

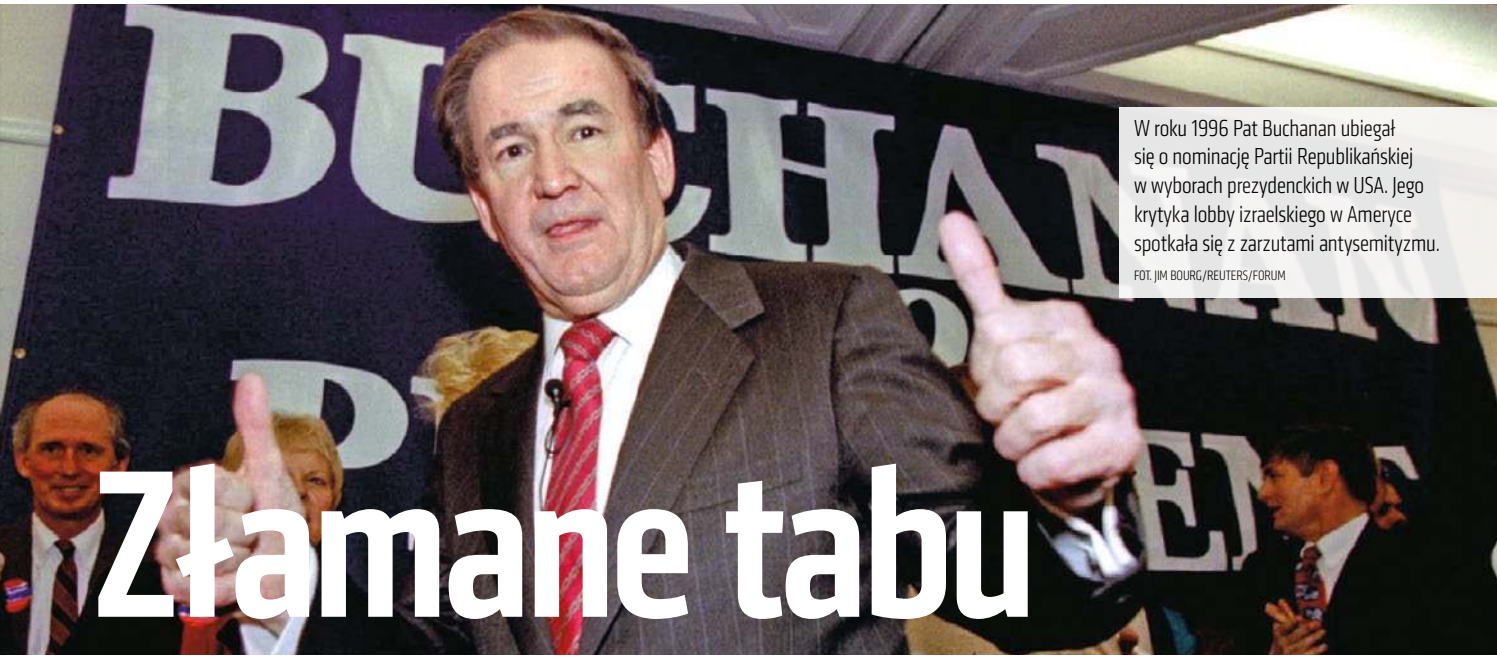

W roku 1996 Pat Buchanan ubiegał się o nominację Partii Republikańskiej w wyborach prezydenckich w USA. Jego krytyka lobby izraelskiego w Ameryce spotkała się z zarzutami antysemityzmu.

FOT. JIM BOURG/REUTERS/FORUM

Złamane tabu

Michał Krupa

Stosunki amerykańsko-izraelskie zaczynają się zmieniać, i to za sprawą polityków Partii Republikańskiej, którzy nie szczędzą słów krytyki „największej demokracji na Bliskim Wschodzie". Sojusz, który kiedyś wydawał się nienaruszalny, stał się dziś polem sporów

Przez dziesięciolecia Izrael cieszył się niemal bezwarunkowym poparciem ze strony konserwatystów w Stanach Zjednoczonych. Wsparcie dla państwa żydowskiego było niegdyś dogmatem Partii Republikańskiej, wzmacnianym przez geopolitykę zimnowojenną, ewangelikalny zapał i ponadpartyjny konsensus. Krytyka Izraela – albo potężnego lobby z nim związanego – groziła politycznym wykluczeniem. Pat Buchanan, konserwatywny komentator, były doradca prezydentów Richarda Nixona i Ronalda Reagana, który zresztą sam ubiegał się o fotel gospodarza Białego Domu, boleśnie przekonał się o tym w latach 90., gdy jego krytyka lobby izraelskiego w USA spotkała się z zarzutami antysemityzmu i odsunęła go od głównego nurtu debaty o polityce zagranicznej.

Jednak polityczne wiatry zaczynają się zmieniać. Od krótkiej, lecz znaczącej „dwunastodniowej wojny" między Izraelem a Iranem bieżącego lata pęknięcia w obrębie amerykańskiej prawicy stają się coraz bardziej widoczne. Konserwatywni politycy, którzy niegdyś byli niezawodnymi zwolennikami Izraela, zaczęli stawiać ostre, a czasem wręcz druzgocące pytania o relacje USA – Izrael. Równolegle badania opinii publicznej sugerują, że zmieniają się także nastroje społeczne Amerykanów w stosunku do „jedynej demokracji na Bliskim Wschodzie".

LOBBY JUŻ NIE TAKIE JAK DAWNIEJ

Donald Trump, który powszechnie jest uważany za najbardziej proizraelskiego prezydenta w historii Stanów Zjednoczonych, niedawno w rozmowie z portalem Daily Caller stwierdził, że dawniej dominujący wpływ Izraela w Waszyngtonie znacząco osłabł. „Izrael miał najsilniejsze lobby w Kongresie spośród wszystkiego i wszystkich, spośród każdej firmy, korporacji czy stanu, jakie kiedykolwiek widziałem. Dziś to lobby nie jest już tak silne. To zdumiewające" – powiedział. Dodał również, że klimat polityczny się zmienił: „Był czas, gdy nie można było źle mówić […], jeśli chciałeś być politykiem, nie mogłeś źle mówić [o Izraelu]".

Bezpośrednie przyznanie przez Trumpa w tym samym wywiadzie, że Izrael nie ma już „całkowitej kontroli nad Kongresem", byłoby niewyobrażalne w ustach czołowego republikańskiego lidera jeszcze jedno pokolenie temu.

Kongresmenka Marjorie Taylor Greene z Georgii posunęła się jeszcze dalej. Określiła działania Izraela w Gazie mianem „ludobójstwa" i wezwała do ograniczenia setek milionów dolarów pomocy wojskowej USA dla – jak to określa – „świeckiego, uzbrojonego w broń nuklearną Izraela".

„Najprawdziwsze i najprostsze do powiedzenia jest to, że 7 października w Izraelu był dniem straszliwym i wszyscy zakładnicy muszą wrócić do domów – powiedziała tego lata – ale tak samo jest z ludobójstwem, kryzysem humanitarnym i głodem w Gazie".

Słowa, które kiedyś byłyby uznane za skrajne, dziś znajdują posłuch wśród części elektoratu republikańskiego, zwłaszcza młodszych wyborców sceptycznych wobec zagranicznych zaangażowań USA. Greene w ostatnich miesiącach wysunęła się na czołowe miejsca, wraz z kongresmenem Thomasem Massiem z Kentucky, wśród republikańskich krytyków poczynań Izraela, wzywając nawet do obowiązkowego zarejestrowania najsilniejszego podmiotu szerokiego lobby izraelskiego w Waszyngtonie, tj. AIPAC (American Israel Public Affairs Committee) jako zagranicznego agenta, zgodnie

eprasa.pl dce19a88a3

z ustawą FARA, która wymaga od osób lub podmiotów działających w USA na rzecz zagranicznych mocodawców ujawniania swoich powiązań, podejmowanych działań oraz ich finansowania.

Tucker Carlson, były dziennikarz FOX News i obecnie najbardziej wpływowy konserwatywny komentator telewizyjny, wielokrotnie stawiał pytania o rolę izraelskiego lobby. W jednym z programów zapytał senatora Teda Cruza wprost: „Czy cele AIPAC są kształtowane przez cele rządu izraelskiego? Jeśli powiesz, że nie, to obaj wiemy, że to nieprawda". Sugestia Carlsona – że AIPAC de facto działa jako kanał wpływów zagranicznych – spotkała się z oskarżeniem o antysemityzm ze strony Cruza.

Od czasu wywiadu z kongresmenem Thomasem Massiem na swoim podcaście jego stanowisko stało się jednak jeszcze ostrzejsze. Massie stwierdził, że każdy członek Kongresu ma przypisanego „kuratora" z AIPAC, co zdawało się potwierdzać podejrzenia Carlsona. Od tego momentu Carlson coraz bardziej otwarcie krytykuje politykę Izraela w Gazie, jego stosunek do chrześcijan w Ziemi Świętej i wpływy na amerykańską politykę zagraniczną. Wspomniał nawet o możliwych zakulisowych formach wpływu poprzez postacie takie jak Jeffrey Epstein.

Być może najbardziej druzgocąca krytyka padła z ust Steve'a Bannona, byłego stratega Trumpa i ideologicznego guru ruchu MAGA. Bannon jeszcze niedawno określał się jako chrześcijański syjonista, dziś jednak mówi zupełnie inaczej. W swoim programie „War Room" stwierdził niedawno o Izraelu:

„To protektorat. To nie jest sojusznik. Nigdy nie walczyli z nami ramię w ramię nigdzie, rozumiecie? Wciągają nas w kłopoty, jak w Iranie, gdzie próbowali dokonać zmiany reżimu i kłamali na ten temat".

Szczególnie ostro zaatakował premiera Beniamina Netanjahu: „Netanjahu i jego rząd nie tylko niszczą Państwo Izrael, zamieniając je w żydowski Pakistan, lecz także szkodzą społeczności żydowskiej na całym świecie i obracają świat przeciwko niej. Kropka. Każdy, kto broni Netanjahu, szkodzi Izraelowi i Żydom na całym świecie. Kropka".

Bannon podkreślił, że prawdziwy sojusznik nie wciąga USA w konflikty bez konsultacji: „Sojusznik – jeśli jesteś sojusznikiem – to przychodzisz i uzgadniasz to z człowiekiem. Tak właśnie robi sojusznik. Przychodzisz i uzgadniasz to z człowiekiem. Człowiekiem z 1600 Pennsylvania Avenue". I wystosował ostrzeżenie wobec amerykańskiej opinii publicznej: „Robicie z waszych problemów nasze problemy, a ludzie w tym kraju nie chcą waszych problemów. Te czasy się skończyły. Ludzie tego nie chcą. To wasz problem, a wy wywołujecie jeszcze większe. My mamy już dość własnych problemów".

WSTRZĄS PO ZABÓJSTWIE CHARLIEGO KIRKA

Pęknięcia jeszcze się pogłębiły po niedawnym zabójstwie Charliego Kirka, konserwatywnego aktywisty i założyciela Turning Point USA. Kirk krótko przed śmiercią wygłaszał nietypowo szczere komentarze o Izraelu, możliwych powiązaniach Epsteina z Mosadem oraz o roli amerykańskich Żydów finansujących progresywne inicjatywy. Jego śmierć wstrząsnęła ruchem MAGA, a w Izraelu wywołała nerwowe reakcje.

„The Times of Israel" opublikował znamienny komentarz, który – jakby zapominając o ostatnich słowach Kirka – próbował przedstawić go jako lojalnego przyjaciela: „Jeśli MAGA naprawdę chce uczcić swoje korzenie – Waszyngtona budującego sojusze, Lincolna szukającego jedności, Reagana stojącego twardo po stronie wolności za granicą – to musi pamiętać o tym, co Kirk powtarzał: porzucenie Izraela nie jest siłą, lecz zdradą. A zdrada nigdy nie uczyniła Ameryki wielką".

Tekst ten uwypuklił rosnący w Izraelu niepokój: dawni niezawodni sojusznicy z amerykańskiej prawicy stają się sceptyczni, a nawet wrogo nastawieni.

Zmiana polityczna nie odbywa się w próżni. Badania pokazują, że amerykańska opinia publiczna coraz krytyczniej ocenia działania Izraela i jego rolę w polityce USA.

Sondaż Gallupa z lipca 2025 r. wykazał, że jedynie 32 proc. Amerykanów popiera działania militarne Izraela w Gazie. To najniższy wynik w historii pomiarów Gallupa. Prawie 60 proc. badanych wyraziło dezaprobatę, co pokazuje, że izraelskie działania nadwerężają sympatię nawet poza tradycyjnymi podziałami partyjnymi.

Z kolei badanie Pew Research Center z kwietnia 2025 r. pokazało, że 53 proc. Amerykanów ma raczej negatywne lub zdecydowanie negatywne zdanie o Izraelu, co oznacza wzrost o 11 punktów procentowych w porównaniu z 2022 r. Najbardziej wyraźna zmiana zaszła wśród młodszych republikanów: ci poniżej 50. roku życia są dziś niemal równomiernie podzieleni między opinie pozytywne i negatywne, co sygnalizuje erozję dawnego konsensusu proizraelskiego w partii.

To, co kiedyś wywoływało oburzenie, dziś stało się częścią głównego nurtu konserwatystów. Oskarżenie Greene o „ludobójstwo", coraz bardziej wroga postawa Carlsona, słowa Trumpa o słabnącym lobby izraelskim, przedstawienie Izraela przez Bannona jako „protektoratu" oraz sprawa Kirka – wszystko to pokazuje, że tabu wokół krytyki Izraela powoli zanika.

Na zmianę wpływają różne czynniki: zmęczenie wojnami po dekadach zaangażowania USA na Bliskim Wschodzie, rosnący nacjonalizm ruchu America First niechętny zagranicznym interwencjom, moralny sprzeciw wobec cierpienia cywilów w Gazie oraz pojawienie się polityków populistycznych, mniej zależnych od tradycyjnych darczyńców.

Establishment konserwatywny wciąż obejmuje wielu lojalnych obrońców Izraela, zwłaszcza w Kongresie i wśród liderów ewangelikalnych. Jednak polityczna cena sprzeciwu nie jest już tak wysoka jak dawniej. Jeszcze jedno pokolenie temu Pat Buchanan został napiętnowany za znacznie łagodniejsze wypowiedzi. Dziś czołowe postaci ruchu republikańskiego mówią podobne rzeczy niemal bez konsekwencji.

Czy mamy do czynienia z trwałą zmianą czy tylko z chwilowym zawirowaniem – nie wiadomo. Izrael nadal cieszy się silnym ponadpartyjnym wsparciem w Kongresie, a współpraca wojskowa pozostaje głęboka. Jednak sojusz, który kiedyś wydawał się nienaruszalny, stał się dziś polem sporów.

Tabu zostało złamane. Amerykańska prawica nie maszeruje już w jednym szeregu z Izraelem, a ta zmiana może na lata przeobrazić debatę o polityce zagranicznej USA na tyle, że Kapitol – jak kiedyś powiedział Buchanan – przestanie być „terytorium okupowanym przez Izrael".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dce19a88a3

Demonstracja ruchu azowskiego w Kijowie, 14 października 2014 r. Na sztandarach widnieje jego emblemat – Wolfsangel, który używany jest przez neonazistów FOT. GENYA SAVILOV/AFP/EAST NEWS

Neonaziści czy prowokatorzy?

Filip Memches

Pułk „Azow" jest częścią większej całości, w ramach której działają też różne grupy polityczne kojarzone z ukraińskim nacjonalizmem. Zaskoczeniem może być więc to, że w tych kręgach pojawiła się koncepcja zjednoczonej Europy

Konstanty Gebert był przez 33 lata publicystą „Gazety Wyborczej". W roku 2022 doszło do jego rozstania z tym medium. Powodem okazała się kwestia oceny działalności Pułku „Azow". Gebert w swoim tekście chciał wobec tej ukraińskiej jednostki wojskowej, która dzielnie broniła wtedy przed Rosjanami Mariupola, użyć przymiotnika „neonazistowski". Natomiast redakcja „Wyborczej" się na to nie zgodziła i zaproponowała, żeby określić Pułk „Azow" jako „skrajnie prawicowy". Gebert jednak zaoponował i uznał to za niedopuszczalną ingerencję w jego tekst.

Opisana wyżej sytuacja pokazuje problem, jaki środowiska lewicowe i liberalne na Zachodzie (do którego Polska bądź co bądź należy) mają z ukraińskim nacjonalizmem. Z jednej strony biją one bowiem na alarm, że w świecie do głosu doszły rozmaite nacjonalizmy (a jak wiadomo, z progresywnego punktu widzenia, od wychwalania Adolfa Hitlera dzieli je tylko jeden krok), z drugiej zaś – nie mogą lekceważyć tego, że czynnikiem, który silnie motywuje Ukraińców do stawiania czoła Rosjanom, jest poczucie swojej odrębnej tożsamości narodowej manifestujące się właśnie jako nacjonalizm.

Świadomość tej sprzeczności daje o sobie znać w książce kanadyjskiego dziennikarza śledczego Michaela Colborne'a zatytułowanej „Z pożarów wojny. Ukraiński Ruch Azow i globalna skrajna prawica 2014–2021". Pozycja ta ukazała się po polsku w roku 2025, ale jej oryginał trafił do rąk anglojęzycznych czytelników trzy lata wcześniej. Książka Colborne'a zawiera mnóstwo cennej i ciekawej faktografii. W tym sensie pozostaje aktualna, choć jednocześnie jest tendencyjna. Jej autor jawi się bowiem jako zawodowy „antyfaszysta", który tropi brunatne demony po prawej stronie politycznego spektrum całego świata (choć zdaje sobie sprawę z tego, że „antyfaszyzm" stanowi także propagandowe narzędzie Władimira Putina przeciw Ukrainie). Zresztą nie przypadkiem „Z pożarów wojny" ukazało się nakładem Instytutu Narutowicza. Instytucja ta powołana została przez rząd Donalda Tuska dokładnie do tych samych zadań, które w swojej książce wypełnia Colborne. Tyle że IN ma to robić przede wszystkim na polskim podwórku.

WYKROCZYĆ POZA DZIEDZICTWO BANDERY

Pułk „Azow" jest częścią większej całości, którą stanowi szeroki ruch polityczny wywodzący się z kręgów ukraińskich nacjonalistów. Uaktywnili się oni w latach 90., gdy po rozpadzie Związku Sowieckiego ukonstytuowało się niepodległe państwo ukraińskie. Ludzie ci próbowali uzyskać znaczący wpływ na ukraińską politykę. Nawiązywali też kontakty ze „skrajną prawicą" z całej Europy – m.in. z francuskim Frontem Narodowym (który dziś nosi nazwę Zjednoczenie Narodowe). Jest to o tyle warte uwagi, że pod adresem owej „skrajnej prawicy" rzucane są oskarżenia o sympatie prorosyjskie.

Generalnie ukraiński nacjonalizm postrzegany jest jako zjawisko rodem z zachodniej części Ukrainy – tej zamieszkiwanej przez ludność ukraińskojęzyczną, którą cechują emancypacyjne dążenia względem Rosji. To tam w pierwszej połowie XX w. narodziły się idee przekładane na praktykę przez takich ludzi jak Stepan Bandera czy Roman Szuchewycz. Choć te ikoniczne postaci ukraińskiego nacjonalizmu są przez wielu swoich rodaków postrzegane jako bohaterowie oporu antysowieckiego, to w Polsce patrzy się na nie zgoła inaczej – poprzez pryzmat masowych zbrodni dokonanych na Polakach przez ukraińskie organizacje nacjonalistyczne podczas drugiej wojny światowej. Tymczasem tożsamość ideowa ruchu azowskiego – o czym będzie mowa dalej – wykracza poza to, co stanowi dziedzictwo Bandery i Szuchewycza. A warto odnotować, że do ruchu tego przylgnęli również rosyjskojęzyczni mieszkańcy wschodnich regionów Ukrainy oraz… nawet przybysze z Rosji.

Dzieje Pułku „Azow" zaczynają się od Batalionu „Azow". Ta ochotnicza jednostka wojskowa – utworzona w roku 2014 w Mariupolu (mieście położonym nad Morzem Azowskim, stąd taka, a nie inna nazwa) – odegrała istotną rolę w walkach, które

eprasa.pl dce19a88a3

wybuchły we wschodniej części Ukrainy po wydarzeniach na kijowskim Majdanie na przełomie lat 2013 i 2014. Kiedy obalono prezydenturę Wiktora Janukowycza (pretekstem była jego rezygnacja z ubiegania się Ukrainy o wejście do Unii Europejskiej) i ustanowiono w Kijowie nową – nastawioną na integrację z Zachodem – władzę, Ukraińcy musieli stawić czoła zbrojnej, prorosyjskiej rebelii separatystycznej w Donbasie. Tyle że wojsko ukraińskie było w rozsypce. I wtedy w walki z separatystami zaangażował się Batalion „Azow". Na jego czele stanął aktywista nacjonalistyczny z Charkowa (wówczas – co ważne – miasta rosyjskojęzycznego), Andrij Biłecki. Wyszedł on z więzienia na mocy amnestii dla więźniów odsiadujących wyroki za działalność polityczną w okresie prezydentury Janukowycza. Patronem Batalionu „Azow" był zaś nowy minister spraw wewnętrznych Arsen Awakow, którego Biłecki znał z Charkowa. Jednostkę niebawem włączono w struktury Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a następnie została ona przekształcona w pułk Gwardii Narodowej.

Michael Colborne, opisując to, czym jest ruch azowski, oprócz samego Pułku „Azow" wymienia także partię Korpus Narodowy oraz bojówkę Drużyny Narodowe. Jeśli chodzi o KN, to formacji tej nie udało się odnieść sukcesów na ukraińskiej scenie politycznej.

Na ruchu azowskim ciążą rozmaite zarzuty. Te najlżejsze dotyczą jego związków z ukraińskimi oligarchami. Tak już jest, że na Ukrainie działalność polityczna jest finansowana z pieniędzy krezusów, którzy w ten sposób trzymają tamtejsze życie publiczne w garści. Z tym się wiążą mechanizmy korupcyjne.

Gorsze są inne zarzuty – choćby ten, że żołnierze Pułku „Azow" dopuszczali się zbrodni wojennych. To zaś koresponduje z kolejnym zarzutem – że ruch azowski przyciągnął ludzi z kryminalną przeszłością. Wśród nich są wzmiankowani już wyżej przybysze z Rosji i to – jak czytamy w książce Colborne'a – o neonazistowskich poglądach. Tak więc można powiedzieć, że wspomniany na wstępie niniejszego tekstu spór między Konstantym Gebertem a „Gazetą Wyborczą" nie wziął się znikąd. Tym sposobem dochodzimy do pytań o tożsamość ideową ruchu azowskiego. Jej teoretyczne podstawy sformułowała filozof, sekretarz generalna Korpusu Narodowego do spraw międzynarodowych, Ołena Semeniaka.

Ruch azowski odrzuca zachodni model demokracji liberalnej. Przeciwstawia mu porządek oparty na hierarchii społecznej. Mamy tu do czynienia z mitologią polityczną czerpiącą z rozmaitych koncepcji importowanych z Zachodu (formułowanych choćby w okresie międzywojennym w ramach niemieckiej konserwatywnej rewolucji czy po drugiej wojnie światowej przez francuską Nową Prawicę), choć dostosowanych do warunków ukraińskich. Z mitologii tej wyłania się wizja Ukrainy jako przedmurza cywilizacji indoeuropejskiej z jej pogańskimi korzeniami, będącego ostatnią nadzieją „białej rasy", bo Stary Kontynent, trapiony licznymi bolączkami – takimi, jak elgiebetyzm czy imigracjonizm – chyli się ku upadkowi. Ta narracja całkowicie przeczy kremlowskiej propagandzie, wedle której Rosja to wierne tradycyjnym wartościom mocarstwo prowadzące krucjatę przeciw państwu kolonizowanemu przez progresistów z wewnątrz i z zagranicy. Na gruncie mitologii politycznej ruchu azowskiego rosyjscy najeźdźcy jawią się jako azjatyccy barbarzyńcy, a ich ataki odpierają współcześni europejscy rycerze, czyli żołnierze Pułku „Azow".

MICHAEL COLBORNE „Z POŻARÓW WOJNY. UKRAIŃSKI RUCH AZOW I GLOBALNA SKRAJNA PRAWICA 2014–2021" INSTYTUT NARUTOWICZA, WARSZAWA 2025

BRUNATNE SUBKULTURY

W tym kontekście zastanawiające jest to, czego w tym ruchu szukają Rosjanie, choćby i o poglądach wkomponowujących się w jego tożsamość ideową. Czyżby zasadniczy podział polityczny, kreślony przez takich ludzi jak Ołena Semeniaka, nie przebiegał według kryteriów etnicznych? Znamienne, że Semeniace przyświeca koncepcja Międzymorza – ta sama – jak twierdzi Colborne – nad którą niegdyś głowił się Józef Piłsudski. Obecnie chodzi o projekt budowy konfederacji złożonej z krajów rozmieszczonych między Bałtykiem, Morzem Czarnym i Adriatykiem z wiodącą rolą Ukrainy. Semeniaka jednak dorzuca do tego jeszcze coś: postuluje odrzucenie starego – jej zdaniem wąskiego – nacjonalizmu (takiego, któremu hołdują czciciele Bandery i Szuchewycza) na rzecz koncepcji zjednoczonej Europy złożonej z regionów, a nie państw narodowych. Tyle że ten nowy byt nie byłby sztucznym tworem biurokratów wdrażających lewicowe mrzonki, lecz wyrastającą z indoeuropejskiego dziedzictwa kulturowego wspólnotą wojowniczych białych ludów, stawiających czoła zarówno rosyjskiej dziczy, jak i amerykańskiemu kapitalizmowi.

I taki przekaz okazał się atrakcyjny dla ludzi o neonazistowskich poglądach (w tym i dla tych przybyłych z Rosji). Nic dziwnego więc w tym, że znaleźli się oni w orbicie ruchu azowskiego. Tyle że to nie są osoby uprawiające poważną politykę. Chodzi raczej o ich uczestnictwo w brunatnych subkulturach. W takich bowiem kategoriach należy traktować działalność wymienionych przez Colborne'a grup: Wotanjugend, NordStorm, Centuria.

Obecność neonazistów w ruchu azowskim jednak go istotnie obciąża. Dlatego jego kierownictwo się oficjalnie od neonazizmu odcina. I deklaruje, że generalnie odrzuca stosowanie przemocy w polityce, stawiając na taktykę, którą wymyślił w międzywojniu włoski filozof marksistowski Antonio Gramsci. Zawiera się ona w ukutej przez Rudiego Dutschkego – aktywistę niemieckiej radykalnej lewicy, uczestnika studenckiej rewolty lat 60. na Zachodzie – frazie „długi marsz przez instytucje" (zamiast krwawej rewolucji – hegemonia kulturowa). Poza tym wiadomo, że w Rosji tylko czekają na argumenty o konieczności denazyfikacji Ukrainy, więc szczerzy i zarazem kierujący się poczuciem odpowiedzialności patrioci ukraińscy nie powinni ich Kremlowi dostarczać. Choć rzecz jasna zawsze można na to odrzec, że to bez znaczenia, bo Putin znajdzie pretekst do bombardowań Ukrainy i bez tych argumentów. W grę też wchodzi coś, co w książce Colborne'a określone jest jako „dwumowa": kierownictwo ruchu azowskiego odżegnuje się od wychwalania Hitlera na pokaz, w komunikacji ze światem, natomiast potajemnie je aprobuje.

Tak czy inaczej, neonaziści w ruchu azowskim psują wizerunek Ukrainy. Ale może robią oni to dlatego, że są po prostu prokremlowskimi prowokatorami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dce19a88a3

Paweł Chmielewski

Leon XIV przedstawił swój program. Można podsumować go krótko: unikać problemów za wszelką cenę. To teoretycznie postęp względem poprzedniego pontyfikatu, ale nie musi wcale skończyć się dobrze

Papież Leon XIV nie wykluczył przepisania Katechizmu. Więcej nawet, wskazał na konkretny warunek wstępny dla zaistnienia zmiany nauczania FOT. MASSIMO PERCOSSI/EPA/PAP

Kondycja Kościoła: stabilnie zachwiana

Papież Robert Prevost udzielił wywiadu amerykańskiej dziennikarce Elise Ann Allen. Rozmowa, bardzo obszerna i wielowątkowa, odbiła się na świecie szerokim echem. Dominują jednak jej powierzchowne odczytania. Chciałbym przedstawić czytelnikowi nieco głębszą analizę – mniej optymistyczną niż powszechny ton w prasie konserwatywnej.

Wielu publicystów podkreśla z zadowoleniem, że papież Leon XIV okazał się niechętny zmianie nauczania Kościoła katolickiego, zwłaszcza w sprawie seksualności. Kontekstem jego wypowiedzi były oczekiwania środowisk LGBTQ. Leon powiedział np.: „Myślę, że nauczanie Kościoła pozostanie takie, jakie jest". Stwierdził też: „Uważam, że wysoce nieprawdopodobna jest zmiana nauki Kościoła na temat seksualności, z pewnością w bliskiej przyszłości". Wydawałoby się: są powody do radości, progresiści nie mają już na co liczyć – ludzie tacy, jak luksemburski kard. Jean-Claude Hollerich, otwarcie lobbujący za zmianą w Katechizmie Kościoła katolickiego w obszarze homoseksualizmu, zostali z niczym. Niestety, nic bardziej mylnego.

OTWARCIE NA ZMIANY

Po pierwsze, Leon XIV swoje wypowiedzi na ten temat osadził w kontekście wewnątrzkościelnej polaryzacji. Wyraźnie wskazywał, że nie ma zamiaru w ogóle ruszać tematu LGBTQ, bo cokolwiek się tutaj zrobi, wywołuje to zawsze ostre i bardzo sprzeczne reakcje. Ojciec Święty zasygnalizował zatem, że jego niechęć do zmiany nauczania wynika po prostu z chęci unikania konfliktu, a nie z wierności wobec Tradycji Kościoła. Po drugie, bardzo wyraźnie wskazał, że choć obecnie nie chce niczego zmieniać, to w przyszłości może być inaczej. Leon nigdzie nie odwołał się do niezmienności nauki. Stwierdził tylko, że „jego zdaniem" taka zmiana jest w najbliższych latach nieprawdopodobna. Co później? Nie wykluczył wcale przepisania Katechizmu. Więcej nawet, wskazał na konkretny warunek wstępny dla zaistnienia zmiany nauczania. „Myślę, że musimy zmienić postawy, zanim w ogóle pomyślimy o zmianie tego, co mówi Kościół na jakiś temat" – stwierdził.

Jego słowa przypominają mi deklarację, którą złożył kilka lat temu wspomniany już kard. Hollerich, pytany przez media o dopuszczenie kobiet do święceń kapłańskich. Ogłosił wtedy, że trzeba w tej sprawie bardzo uważać, bo w wielu regionach świata wszelkie zmiany nauczania wywołują opór. Dlatego progresiści nie mogą zbyt szybko przeć do przodu, bo inaczej konserwatyści uznaliby, że reformy są wynikiem ich nieuczciwej presji. „Kiedy sięga się zbyt wysoko, niewiele można osiągnąć. Trzeba być ostrożnym, iść do przodu krok po kroku i w ten sposób można zajść daleko" – powiedział.

Dokładnie w tym duchu wypowiedział się Leon XIV. Zmiana nauczania na temat LGBTQ jest według niego teoretycznie możliwa i niewykluczone, że w przyszłości rzeczywiście nastąpi. Dziś temat jest po prostu zbyt konfliktogenny, dlatego

eprasa.pl dce19a88a3

trzeba go zostawić na boku, skupiając się na pracy u podstaw, czyli na budowaniu wielkiej otwartości ludzi Kościoła względem osób „nienormatywnych" seksualnie.

Temu ostatniemu wątkowi papież poświęcił naprawdę dużo uwagi. Przywołał słowa Franciszka o Kościele, który jest „dla każdego". Mówił też, że chrześcijanie muszą się nauczyć akceptacji i szacunku dla gejów, lesbijek, bi- oraz transseksaulistów. „To nie oznacza, że ci ludzie [scil. LGBTQ] są złymi osobami, ale moim zdaniem jest ważne zrozumieć, jak akceptować innych, którzy są odmienni od nas, jak akceptować ludzi, którzy dokonują w swoim życiu wyborów i jak ich szanować" – oznajmił.

To oznacza pełną kontynuację linii Franciszka, w której granice między dobrem a złem nie zawsze są wyznaczane przez doktrynę, będąc często definiowane przez zasady inkluzywności i tolerancjonizmu. Leon XIV może nie zmieniać nauczania, ale po prawdzie – w ogóle nie musi. Wielu księży już dziś błogosławi i całkowicie akceptuje związki tej samej płci. Odrzucenie zmiany nauki przy jednoczesnej afirmacji istniejącej już dziś różnorodności poglądów oznacza: chaos będzie szerzyć się dalej.

Dziwi też, dlaczego Leon dopuszcza w ogóle jakąś zmianę nauki w przyszłości, choćby teoretycznie. Jeszcze ponad 100 lat temu papieże bardzo ostro krytykowali tzw. ewolucjonizm dogmatyczny, czyli przekonanie, zgodnie z którym dogmaty podlegają nieustannej zmianie, a to, co jest prawdą chrześcijańską w jednym czasie, może już nią nie być w innym. Pius X określał go np. mianem „prawie najważniejszego rozdziału" potępionej przez siebie teorii modernistów.

Leon XIV nie mówił w cytowanym wywiadzie o dogmatach, jednak doktryna moralna Kościoła nie jest bynajmniej rzeczą błahą. Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, ojcowie i doktorzy Kościoła, sobory, papieże, wybitni teologowie – przez tysiące lat wszyscy mówili na temat relacji homoseksualnych jednym głosem. Leon zdaje się to podważać, sugerując, że przeszłość mogła się mylić. Nawet jeżeli nie dogmatyczny, to byłby to jednak ewolucjonizm doktrynalny – pogląd równie błędny. Zakłada, że nauczanie Kościoła może zmieniać się tak, jak gatunki w teorii Darwina – po czasie kumuluje się tyle przekształceń, że ryba zmienia się w małpę, czyli w coś kompletnie odrębnego.

W historii katolickiej doktryny nigdy tak nie było. Nauczanie się rozwija i dopełnia. Kościół porównuje to zwykle do drzewa – może stać się większe i piękniejsze, ale dąb zawsze będzie dębem, nie zmieni się nigdy w sosnę ani nie zacznie rodzić jabłek zamiast żołędzi. Słowa Leona są bardzo niepokojące, tym bardziej że z racji na wyrażoną tu ogólną zasadę mogą dotyczyć dosłownie wszystkiego – ewolucjonizm doktrynalny nie obejmuje przecież tylko spraw seksualnych, ale całą gamę nauki Kościoła. W wywiadzie znalazło to zresztą swój wyraz. Pytany o kwestię dopuszczenia kobiet do diakonatu wyraził się wprawdzie dość sceptycznie, ale podsumował swój wywód następująco: „W tym momencie nie mam intencji zmieniania nauki Kościoła na ten temat". To właśnie już nawet nie ewolucjonizm, ale wręcz teoretyczny rewolucjonizm doktrynalny.

POSTĘPUJĄCA DECENTRALIZACJA

Ojciec Święty mówił też na temat dobrze znany czytelnikom „Do Rzeczy", czyli decentralizacji doktrynalnej i moralnej Kościoła. To proces rozpoczęty przez Franciszka już w 2013 r. Papież Bergoglio chciał, żeby krajowe konferencje episkopatów zyskały „pewien autentyczny autorytet doktrynalny" – innymi słowy, żeby mogły same decydować o tym, jak w szczegółach aplikować różne ogólne zasady nauki Kościoła. Franciszek wdrażał to w życie, pozwalając na bardzo różnorodne podejście do takich kwestii jak rozwody, relacje z protestantyzmem czy dialog międzyreligijny, o problemie homoseksualizmu już nawet nie wspominając. Niemal wszyscy katolicy o nastawieniu bardziej konserwatywnym przestrzegali przed decentralizacją, widząc w niej narzędzie zniszczenia jedności wiary w Kościele. Franciszek nigdy nie ugiął się przed krytyką: ostatni dokument wspierający ten model rozwoju katolicyzmu wydał jeszcze w listopadzie 2024 r.

Najważniejszą „maszyną" realizowania projektu decentralizacji stał się Synod o synodalności. W trakcie dyskusji synodalnych pojawił się pomysł, by całkowicie przebudować funkcjonowanie episkopatów, tak aby ich nowe kompetencje zapisać wyraźnie w prawie kanonicznym. Papież Leon mówił o tej koncepcji dość dwuznacznie. Z jednej strony wyrażał się ostrożnie o tak dużym upodmiotowieniu episkopatów, sugerując, że oznaczałoby to naruszenie struktury władzy Kościoła opartej na rządach konkretnego biskupa – a to struktura Kościołowi nadana przez Jezusa Chrystusa. Z drugiej jednak strony podkreślał, że episkopaty rzeczywiście odgrywają dziś nową rolę. Wyraził w związku z tym chęć kontynuacji dyskusji zainicjowanej przez Franciszka, tak żeby zobiektywizować wzmocnienie tych gremiów.

SENNY PONTYFIKAT?

W wywiadzie było też wiele elementów pozytywnych. Leon XIV zapewniał o wyjątkowości rodziny złożonej z ojca, matki i dzieci. Krytycznie wyraził się o progresywnych biskupach europejskich, którzy wprowadzają homoseksualne quasi-małżeństwa; wyraził zrozumienie dla wrażliwości Kościoła na Globalnym Południu niezainteresowanego ekscesami moralnymi właściwymi dla Zachodu. To wszystko może uspokajać, ale… wyłącznie na poziomie taktycznym. Papież wydaje się rezygnować z przeprowadzania rewolucji w Kościele – jednak nie dlatego, by uważał ją za niewłaściwą co do istoty, a jedynie za trudną w realizacji w obecnych warunkach, kiedy tyle jest napięć i sporów.

W omawianym wywiadzie Ojciec Święty dał wyraz tego, o czym mówił już z balkonu bazyliki św. Piotra w dniu swojego wyboru, a co – jak pisałem w „Do Rzeczy" – od razu uderzyło mnie perspektywą dość zawężoną do „tu i teraz": Kościół potrzebuje spokoju i pojednania, więc lepiej zostawić burzliwe tematy nietkniętymi, niezależnie od kwestii prawdy i błędu. Jeżeli papież będzie się dalej konsekwentnie trzymał tej linii, to otrzymamy w efekcie długi, dość senny pontyfikat, w którym fundamentalne problemy doktrynalne będą cały czas nabrzmiewać, gotowe do ostrego wybuchu w każdej chwili.

To ulubiona taktyka wielu polityków: może i wszystko się chwieje, ale na razie jeszcze jakoś działamy. Nie wiem, czy Kościół naprawdę potrzebuje tego rodzaju „uspokojenia" sytuacji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl dce19a88a3

Dlaczego Pius XI potępił Action Française

Adam Wielomski

Po pierwszej wojnie światowej doszło do uzurpacji władzy przez papieża. Następca św. Piotra jest nieomylny w kwestiach wiary i moralności. Natomiast nie przyznano mu prawa do kierowania działaniami politycznymi państw, władców i stronnictw katolickich

Kierowana przez Charlesa Maurrasa Action Française we Francji przełomu wieków XIX i XX była odpowiednikiem endecji Romana Dmowskiego na ziemiach polskich. Z tą różnicą, że endecja bywała największą partią polityczną i w II RP kilkakrotnie współrządziła, gdy Action Française na zawsze pozostała tylko wpływowym środowiskiem opiniotwórczym. I oto 26 grudnia 1926 r. eksplodowała prawdziwa bomba: światło dzienne ujrzał dekret Świętego Oficjum potępiający czasopismo „L'Action Française" i siedem książek jego redaktora naczelnego – Maurrasa.

Prawie od stulecia trwa dysputa nad pytaniem dlaczego. Czy Kościół nie lubi nacjonalizmu? Czy już wtedy „Ren wpadał do Tybru" i wpływy niemieckie decydowały o geopolityce Watykanu? Czy też był to jeden z pierwszych przejawów liberalizmu w polityce papieskiej?

FAKTY

W 1926 r. grupa młodzieży napisała do kard. Pierre'a-Paulina Andrieu list z pytaniem: Czy katolik może być członkiem Action Française? Młodzi ludzie mieli wątpliwości, gdyż Charles Maurras nie ukrywał faktu, że popierając Kościół jako siłę cywilizacyjną i esencję francuskości, osobiście jest agnostykiem. 27 sierpnia 1926 r. kardynał na łamach diecezjalnego „L'Aquitane" odpisał, że katolicy nie mogą być członkami tej organizacji, a jej działaczy określił mianem „katolików z wyrachowania". 5 września stanowisko to poparł papież Pius XI listem opublikowanym w katolickim piśmie „La Croix". 26 grudnia 1926 r.

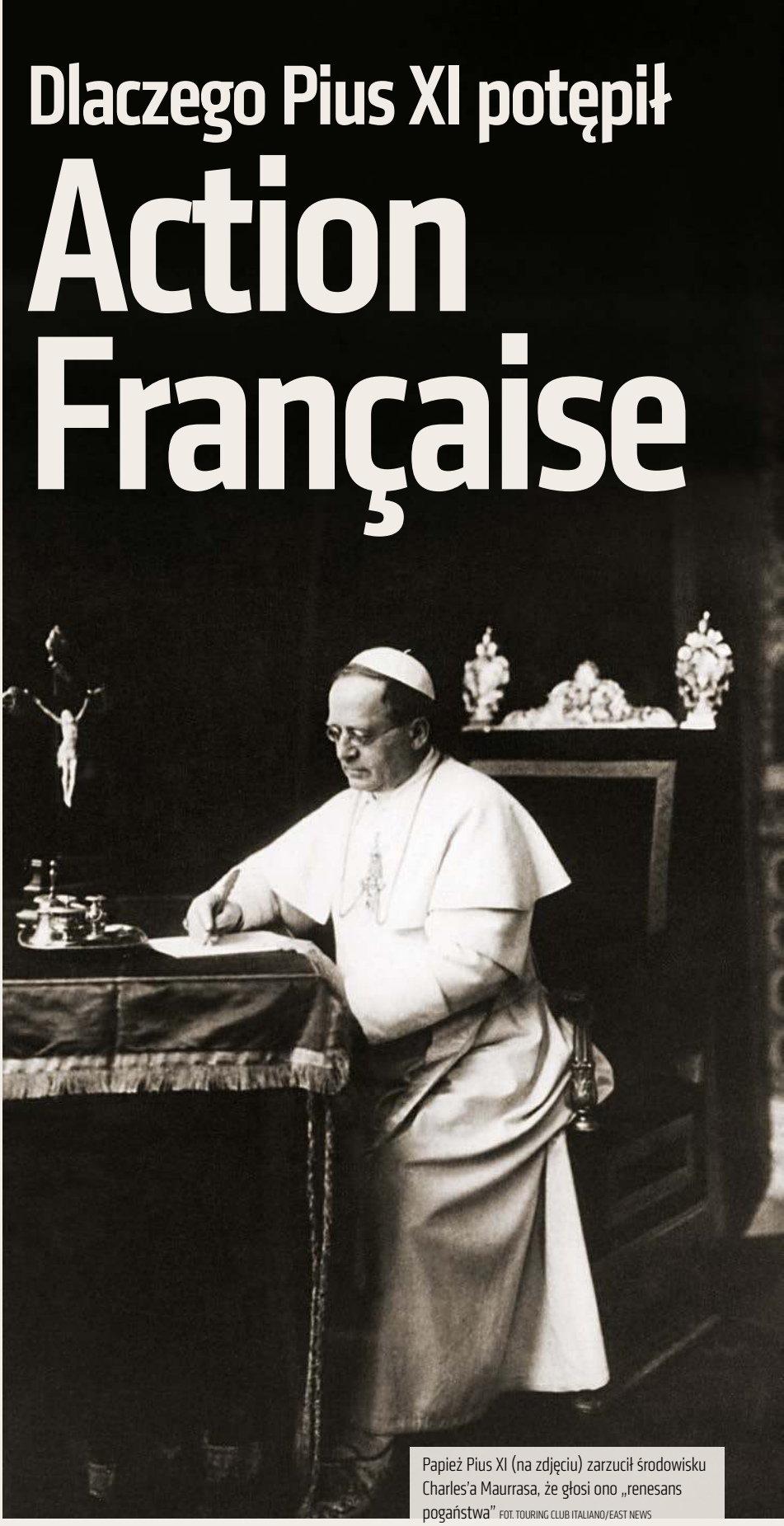

Papież Pius XI (na zdjęciu) zarzucił środowisku Charles'a Maurrasa, że głosi ono „renesans pogaństwa" FOT. TOURING CLUB ITALIANO/EAST NEWS

eprasa.pl dce19a88a3

wydany został wspomniany wyżej dekret Świętego Oficjum. Na wszystkich członków organizacji i czytelników dziennika zostały nałożone drakońskie sankcje, z których za najważniejszą należy uznać zakaz udzielania im sakramentów.

List kard. Andrieu zawiera zarzut, że Action Française jest organizacją polityczną, zajmującą się także „innymi problemami zaliczającymi się do Magisterium Kościoła", w tym stworzeniem kompleksowego „systemu religijnego, moralnego, społecznego", sprzecznego z nauką Chrystusa. Kardynał zarzucił pismu, że miało głosić scjentystyczną formułę „zakazujemy Bogu wstępu do laboratoriów". W liście Piusa XI czytamy, że środowisko Maurrasa tworzy „nowy system religijny, moralny i społeczny, np. w kwestii pojęcia Boga, Wcielenia, Kościoła i generalnie dogmatu i moralności katolickiej, szczególnie w dziedzinie polityki, która logicznie jest podporządkowana moralności". Głosi „renesans pogaństwa".

Działaniami Watykanu kierowała pontyfikalna chęć pokazania stanowczości wobec francuskiego episkopatu, który sympatyzował z rodzimymi nacjonalistami

Nawet wrogowie Action Française pisali, że motywy potępienia były ogólnikowe i nie do obrony. Dyskusja, którą opisujemy, wynikła z nieudolnego uzasadnienia decyzji Rzymu. Część zarzutów ewidentnie mijała się z prawdą lub opierała się na nieistniejących cytatach, których przez 100 lat badaczom nie udało się znaleźć (cytat o „laboratoriach"). Gorzej – nawet wypisane tytuły potępionych przez Rzym książek Maurrasa zawierały błędy, co kazało spytać, czy potępiający te prace rzeczywiście mieli je przed sobą w momencie pisania dekretu. Wszystkie poszukiwane przez badaczy idee i cytaty udało się w końcu odnaleźć, tyle że nie w pismach oryginalnych, lecz we wrogich Action Française broszurach belgijskiego chadeka Fernanda Passelecqa. Tam też znajduje się zmyślony pseudocytat o „laboratoriach".

Już 100 lat temu nikt nie miał wątpliwości, że sprawa musiała mieć przyczyny inne, niż oficjalnie podano. Przez wiele dziesięcioleci mieliśmy na ten temat tylko dokumenty oficjalne Kościoła, przypuszczenia Maurrasa i jego środowiska oraz domniemania ówczesnych katolików. Na początku XX w. przebadano pod tym kątem archiwa francuskiego MSZ, a dopiero niedawno otwarte decyzją Benedykta XVI archiwa watykańskie. W efekcie wyłoniło się kilka interpretacji zdarzeń.

NIECHLUJSTWO?

Wielu katolików z lat 20. ubiegłego wieku uważało, że Action Française można było postawić wiele zarzutów, a być może nawet to środowisko potępić. Niestety, gdy po trwającej 25 lat polemice pośród samych katolików Rzym w końcu zdecydował się zająć sprawą, przygotowano uzasadnienie oparte na publicystyce Passelecqa, od którego przepisano nie tylko wyssane z palca zarzuty, lecz także zmyślone przezeń cytaty. Jakie zatem mogły być rzeczywiste sprawy sporne? Jacques Prévotat wskazuje na trzy pola sporu: pierwsze – głoszony przez nacjonalistów prymat polityki nad moralnością, wyrażany w formule „najpierw polityka" (fr. politique d'abord); drugie – spór o polityczną władzę papieża, czyli o problem tego, czy ma on prawo kierować politycznym zaangażowaniem francuskich katolików; trzecie – spór o to, czy w polityce katolicy mogą współdziałać z nacjonalistami. Te trzy kwestie Maurras, zdaniem Prévotata, rozstrzygnąłby następująco: po pierwsze – polityka stoi ponad moralnością, a jej celem jest racja stanu, której część stanowi rekatolicyzacja Francji; po drugie – papież to nieomylny autorytet religijny i moralny, ale nie polityczny (stanowisko gallikańskie); po trzecie – skoro polityka nie jest projekcją prawd wiary i zasad moralności, to katolicy mogą popierać nacjonalistów, nawet jeśli część tego środowiska to agnostycy. Zdaniem Prévotata strona papieska, wierna pojęciom ultramontańskim, te trzy kwestie rozstrzygała odwrotnie. Mielibyśmy tu klasyczny konflikt ultramontanizmu z gallikanizmem, broniącym odrębności francuskiej polityki od interesów rzymskich. Na tenże aspekt wskazywał w swoich dwóch rozprawach Jacques Maritain, domagając się od Maurrasa, aby jego środowisko wykonywało polecenia Rzymu w kwestiach polityki. Tyle że Pius XI stanowczo odrzucił tezę, aby był to konflikt o podległość katolickich stronnictw politycznych Rzymowi, i książki Maritaina niezwykle mocno go zirytowały! W tej sytuacji Maritain i jego środowisko przestali wypowiadać się w tej sprawie, przyznając, że nic a nic nie rozumieją.

KAPITULANCKA POLITYKA?

Środowisko Action Française i historycy piszący w jego tradycji wskazują na trzy powody papieskiego potępienia: pierwszy – Pius XI propagował politykę pacyfistyczną i uważał, że francuski nacjonalizm, o silnym ostrzu antyniemieckim, polityce tej szkodzi. Rzym z nadzieją przyjął w 1925 r. traktat z Locarno, który Action Française hałaśliwie potępiała jako otwarcie drogi dla niemieckiego rewizjonizmu na wschodzie (przeciw Polsce i Czechosłowacji); drugi – koncyliacyjna polityka papieża wobec antyklerykalnej III Republiki, mająca na celu dokonania przyłączenia (fr. ralliement) katolików do laickiego państwa, które nacjonaliści odrzucali, głosząc konieczność restauracji monarchii; trzeci – chęć skierowania aktywności katolików z pracy politycznej ku pracy społecznej w Akcji Katolickiej. Przypuszczano, że Rzym był naciskany przez premiera Aristide'a Brianda, grożącego Kościołowi nawrotem do antyklerykalnej polityki w razie braku odcięcia się od Action Française. Nacjonaliści uważali, że nagrodą za pontyfikalne potępienie nacjonalizmu było nawiązanie stosunków dyplomatycznych Paryża z Watykanem, które nastąpiło zaraz później. Podkreślano, że na czele komisji umieszczającej dzieła Maurrasa na Indeksie ksiąg zakazanych stał Hermann-Joseph Esser, który już w czasie pierwszej wojny światowej namawiał Benedyka XV do głośnego potępienia francuskich nacjonalistów jako siły przeciwnej zawarciu pokoju w okresie niemieckiej przewagi na froncie.

LIBERALIZM KATOLICKI?

Badacze wywodzący się z kręgów tradycjonalistycznych zwracają uwagę, że Pius XI był politykiem chwiejnym i oportu-

eprasa.pl dce19a88a3

Siedziba Action Française otoczona przez policję podczas aresztowania pisarza i dziennikarza Leona Daudeta za słowne ataki na premiera Francji Leona Bluma, Paryż, 1927 r. FOT. ULLSTEIN BILD/FORUM

nistycznym, który odciął się od powstania katolickich Cristeros w Meksyku, od nacjonalistów we Francji, i zawarł pakty laterańskie z Benitem Mussolinim. Słowem – za wszelką cenę szukał kompromisu z władzą. Była to powtórka polityki Leona XIII, który próbował zmusić katolików francuskich do wyrzeczenia się postulatów monarchistycznych i akceptacji republiki. Zwracano uwagę, że jego tradycjonalistyczny poprzednik –Pius X – acz zdawał sobie sprawę z agnostycyzmu Maurrasa i jego otoczenia, odrzucał pomysły potępienia tego środowiska, widząc w nim najważniejszego sojusznika przeciwko wolnomularskiej III Republice. O ile Pius X potępił lewicowych katolików z ruchu Sillon, o tyle oportunistyczny Pius XI potępił Action Française. Czyli Action Française została potępiona nie za agnostycyzm, lecz – przeciwnie do oficjalnych zarzutów – za popieranie integryzmu pośród francuskich katolików. Potępienie było refleksem przemiany doktryny politycznej Kościoła i jego wycofywania się od krytyki liberalizmu. W istocie stanowiło to przedsmak zmian, które w latach 60. zaszły na Soborze Watykańskim II. Z tej perspektywy Maurrasa wizja sojuszu tronu i ołtarza budziła zakłopotanie. Skupieni wokół Action Française tradycjonaliści stali się dla papiestwa kłopotliwym balastem, znakiem, że nie wszyscy katolicy popierają nowe myślenie. Niewiara Maurrasa okazała się dogodnym pretekstem.

PO OTWARCIU ARCHIWÓW

Możliwość kwerendy w archiwach francuskiego MSZ i w archiwach watykańskich była przełomem. Najważniejsze są w tej kwestii prace kanadyjskiego badacza Philippe'a Prévosta. Badacz ten sformułował pogląd, że przyczyny potępienia były polityczne i dlatego przed uchyleniem przez Piusa XII w 1939 r. sankcji na Action Française, nałożonych przez swojego poprzednika, nacjonaliści nie zostali zmuszeni do przyznania się do doktrynalnych błędów, a jedynie do przeproszenia za emocjonalne wypowiedzi wobec zmarłego papieża.

Prévost dowodzi, że Pius XI propagował politykę akceptacji III Republiki i stworzenia partii chadeckiej na czele z Noëlem Édouardem de Castelnau. W planach tych przeszkadzała mu Action Française. Dlatego została potępiona. Nie był to spisek Rzymu i premiera Brianda, lecz własna inicjatywa Piusa XI. Duże znaczenie miała także pontyfikalna chęć pokazania stanowczości wobec francuskiego episkopatu, który polityce tej sprzeciwiał się i sympatyzował z nacjonalistami. Niestety, konstytucje Soboru Watykańskiego I, opisujące zakres papieskiego prymatu, nie nakazywały katolikom posłuszeństwa politycznego i dlatego motyw ten nie mógł zostać podany. Stąd wymyślone na kolanie powody doktrynalne. Drugim powodem – i tutaj Maurras i jego środowisko mieli rację – była proniemiecka polityka Piusa XI. Wymuszanie na Niemczech reparacji i okupacja Ruhry budziły w nim niechęć. Pius XI jako agresywne państwo postrzegał Francję, a na czele tej polityki widział wpływową medialnie L'Action Française. Postawa ta wynikała z przekonania o zachwianiu równowagi europejskiej na korzyść Francji, co mogłoby się stać zarzewiem nowych wojen. Papież chciał stworzyć pokój oparty na sojuszu Francji, Włoch i Niemiec, rządzonych przez chrześcijańskie demokracje. Polityka zapoczątkowana w Locarno była po jego myśli, a pokazowy proces Action Française i ostentacyjne poparcie nuncjusza we Francji dla pacyfisty Brianda to widome manifestacje tej właśnie linii. Dopiero zabójstwo katolickiego kanclerza Austrii Engelberta Dolfussa przez austriackich nazistów uwidoczniło Watykanowi skalę zagrożenia niemieckiego. Stało się to dopiero w 1934 r., czyli osiem lat po potępieniu nacjonalistów. Pius XI nie umiał się przyznać do błędu i dlatego nie zdjął sankcji, acz wymienił z Maurrasem kilka listów i nakazał tolerowanie udzielania członkom tej organizacji sakramentów mimo oficjalnego zakazu.

WNIOSEK WŁASNY

W moim przekonaniu potępienie Action Française było skutkiem uzurpacji władzy przez Piusa XI, podobnym do tego, co przydarzyło się w stosunkach z francuskimi katolikami Leonowi XIII kilkadziesiąt lat wcześniej. Papież jest nieomylny w kwestiach wiary i moralności oraz posiada pełny prymat w Kościele. Jest absolutnym dysponentem „miecza duchowego". Sobór Watykański I w 1870 r. nie przyznał mu jednak prawa do kierowania działaniami politycznymi „miecza doczesnego", czyli państw, władców i stronnictw katolickich. Była to formuła słuszna nie tylko dlatego, że nauka Kościoła głosi, że państwo jest bytem „samowystarczalnym", lecz także ze względów praktycznych.

Nie wyobrażam sobie dobrego kierowania polityką katolickiej Francji, Polski czy Ekwadoru z odległego Rzymu. Polityka musi być dziełem polityków narodowych, a nie powstawać po drugiej stronie Alp. Poza tym Kościół uznaje trzy prawowite formy rządów, czyli monarchię, arystokrację i demokrację, a zatem papież nie ma prawa przymuszać katolików do uznania tylko jednej z nich. Nad myśleniem Piusa XI zaciążyła stara teokratyczna tradycja Innocentego III, dla której w świecie współczesnym nie było już akceptacji.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dce19a88a3

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Scalenia

Polskie podziemie w latach 1939–1945 było bardzo zróżnicowane. I choć wielokierunkowa i wieloletnia propaganda nastawiona była na lansowanie wersji, że była tylko jedna organizacja „oficjalna": SZP-ZWZ-AK, a wokół były tylko małe, marginalne struktury, to prawda jest zupełnie inna. Co to znaczy, że podziemie (wojskowe i polityczne) dzieliło się na oficjalne i całą resztę? Czyżby ta reszta była gorsza, mniej wartościowa? W podziemiu od samego początku, gdy organizacje powstawały jak grzyby po deszczu, zachodziły procesy scaleniowe. Organizacje mniejsze szukały ośrodków większych, o podobnym profilu ideowym, aby do nich dołączyć. Znamy aż cztery procesy scaleniowe. Warto je zatem przypomnieć.

Pierwszy z nich to skupianie różnych organizacji niepodległościowych w ramach ZWZ-AK. Tym organizacjom (nawet wojskowym), które nie uległy naciskom, odmawiano miana „wojska" czy w ogóle „legalności". Procesy scaleniowe w ramach ZWZ-AK trwały przez cały czas ich istnienia (aż do oficjalnego rozwiązania AK 19 stycznia 1945 r.), w terenie natomiast, gdzie wszelkie rozkazy dochodziły z opóźnieniem, trwały również po tej dacie, o czym świadczą zachowane meldunki struktur lokalnych.

Drugi proces z tego zakresu dotyczył powstania Organizacji Wojskowej, która od lata 1941 r. występowała już jako Narodowa Organizacja Wojskowa (NOW). Do momentu scalenia z AK (latem 1942 r.) jednoczyła pod swą komendą pomniejsze grupy i organizacje narodowe, powstające i działające dotychczas samodzielnie.

Proces trzeci zapoczątkowany został powstaniem NSZ latem 1942 r., po rozłamie w NOW. W meldunkach AK jest mowa, że NSZ w całości lub w części podporządkowały sobie aż 18 organizacji konspiracyjnych. W istocie było ich jeszcze więcej, gdy wliczymy w to samodzielne organizacje lokalne (o różnej liczebności).

Najmniej znany i pomijany jest proces czwarty – konsolidacja ośrodków konspiracyjnych, usiłujących zachować niezależność od sił wyżej wymienionych. Miało to miejsce m.in. w organizacji Miecz i Pług, która – w wyniku imponująco udanego scalania – przyjęła nazwę Zjednoczone Organizacje Ruchu „Miecz i Pług". Brak jest dokładnych danych dotyczących jej liczebności, ale z zachowanych meldunków z lata 1944 r. wynika, że w samej Warszawie była to bardzo silna struktura. MiP miał rozbudowany wywiad, w tym ofensywny, sięgający poza granice II RP i ściśle współpracujący z AK, bardzo liczną prasę konspiracyjną oraz dysponował przedwojenną kadrą oficerską, w tym wyższą. 10 lipca 1944 r. MiP wszedł w skład NSZ-AK, stając się ich integralną częścią. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Król bigamista

Kazimierz Wielki już za życia pierwszej żony, Litwinki Aldony, uchodził za wyjątkowego kobieciarza. Natomiast po jej śmierci w różnych miastach swojego państwa zorganizował prywatne haremy i „nic sobie nie robił ze zbawiennych upomnień i rad biskupów i panów". Musiał jednak mieć następcę tronu, dlatego mając już ponad 40 lat, poślubił 29 września 1341 r. w Poznaniu Adelajdę Heską, która tego dnia została też koronowana.

Siedemnastoletnia małżonka mocno rozczarowała władcę. Długosz stwierdził, że „była piękniejsza przymiotami charakteru niż urody", co jednoznacznie określało jej aparycję. Król miał jednak nadzieję, że nieefektowna żona urodzi mu syna, ale poniósł na tym polu klęskę, gdyż Adelajda okazała się nie tylko koszmarnie brzydka, lecz także bezpłodna. Sytuacja stała się dramatyczna, król ożenił się wyłącznie z powodów dynastycznych, a nawet posag dostał w śladowych ilościach…

Rozczarowany monarcha powrócił do dawnych przyzwyczajeń. Wprawdzie Adelajda „zniewagi znosiła z rzadką cierpliwością", ale sam fakt, że była legalną żoną, doprowadzał króla do stanu furii. Nie miał następcy tronu, na nim kończyła się królewska linia dynastii Piastów, a ta niemiecka dziewczyna odmawiała zgody na unieważnienie małżeństwa!

Kazimierz nie był jednak człowiekiem pokroju króla Przemysława II i nie mordował bezpłodnych żon. Adelajda została usunięta z dworu królewskiego i zamieszkała w Żarnowcu nad Pilicą. Teoretycznie nie brakowało jej niczego, ponieważ warunki internowania miała wyjątkowo dobre. Zapewne Kazimierz miał nadzieję, że żonie wreszcie znudzi się odosobnienie, tym bardziej że w zamian za zgodę na unieważnienie małżeństwa otrzymałaby stosowne zadośćuczynienie finansowe. Niestety, Niemka do swoich wad dorzuciła jeszcze zajadły upór. Miała spędzić w Żarnowcu 15 lat, ale nie zrezygnowała ze swoich praw. Za porzuconą żoną ujął się nawet arcybiskup gnieźnieński, Jarosław Bogoria ze Skotnik. Uchodził wprawdzie za bliskiego współpracownika króla, jednak piastowana godność zobowiązywała go do interwencji. Za jego wstawiennictwem papież Klemens VI polecił władcy Polski, by „oddalił od siebie wszystkie niewolnice" i „łoża małżeńskiego wszeteczeństwem nie kaził". Kazimierz to zignorował, a co gorsza, za życia Adelajdy żenił się jeszcze dwukrotnie. Popełnił bigamię do kwadratu, gdyż w pewnej chwili miał trzy legalne małżonki. Nawet jednak w ten sposób nie doczekał się następcy tronu i po jego śmierci na Wawelu zasiadła dynastia Andegawenów, potomkowie siostry Kazimierza, Elżbiety. ©℗

eprasa.pl dce19a88a3

Yongli, ostatni cesarz z dynastii Ming, wspierał katolickich misjonarzy i pozwolił nadać synowi chrześcijańskie imię Konstanty FOT. NATIONAL PALACE MUSEUM, TAIPEI

Michał Boym, jezuicki misjonarz z Polski, działał na dworze cesarza Yongli FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Misjonarze i setnik kozacki

Andrzej Solecki

Dzięki uczestnictwu w papieskim poselstwie wrocławianin Benedykt Polak przebył ok. 19 tys. km i wszedł do panteonu pionierskich badaczy Azji

Wizyta szefa chińskiej dyplomacji Wang Yi, który niedawno spotkał się zarówno z prezydentem Karolem Nawrockim, jak i wicepremierem, ministrem spraw zagranicznych, Radosławem Sikorskim, stawia na porządku dziennym sprawę relacji polsko-chińskich. W czasach, gdy – jak pisał Stanisław Wyspiański – „Chińczyki trzymają się mocno" i, jak donosił w marcu bieżącego roku „East Asia Forum Quarterly", nawet Japonia dąży do poprawy wzajemnych stosunków z Państwem Środka, zauważyć można brak zdecydowanej, opartej na polskich interesach polityki w stosunku do Chin. Chodzi o taką politykę, jaką potrafi wobec nich prowadzić Viktor Orbán. Może dlatego warto przywołać wspomnienia z czasów przedrozbiorowych, gdy Polacy przodowali w badaniu i ewangelizacji Chin oraz nawiązywaniu kontaktów z tym odległym krajem. Były to czasy, kiedy zbrojne zastępy mongolskich władców Chin sięgały do Legnicy i kiedy Polak wytyczał granice swojego państwa nad Amurem.

FRANCISZKAŃSKA PODRÓŻ DO MORDORU

Polscy miłośnicy Johna R.R. Tolkiena zafascynowani światem Śródziemia dostrzegli już dawno analogię odsieczy Minas Tirith z odsieczą wiedeńską. Istnieje jednak również polska analogia dalekiej podróży Froda Bagginsa. Była to dwuipółletnia wyprawa, która nie miała jednak na celu dotarcia do Tolkienowskiego Mordoru, lecz do kraju Tartarów. Tak w średniowieczu nazywano Mongołów, przeinaczając nazwę Tatarów i odwołując się do nazwy mitycznej krainy Tartar. Zmiana ta miała na celu podkreślenie diabolicznego charakteru zagrożenia płynącego z dalekiej Azji. Tolkien, głęboko wierzący katolik, językoznawca, zafascynowany średniowieczem, który rozpoczął swoje studia w Oksfordzie od łaciny i greki, zetknął się zapewne z relacją z poselskiej misji Jana de Piano Carpiniego, zatytułowaną „Historia Mongolorum", oraz relacją „De itinere Fratrum Minorum ad Tartaros", napisaną w Kolonii w roku 1247 przez jego towarzysza, wrocławianina Benedykta Polaka.

Poselstwo wysłane przez papieża Innocentego IV do ludu utożsamianego z najgłębszymi czeluściami piekła i z apokaliptycznymi zastępami Goga i Magoga miało charakter wywiadowczo-dyplomatyczny. Odwagę i kontrowersyjność tego posunięcia można ocenić, pamiętając o okrucieństwach mongolskich najeźdźców, których dopuszczali się na Rusi i w Polsce. O przenikaniu się świata tolkienowskiego z historią i współczesnością świadczy obecnie powszechne na Ukrainie określanie rosyjskich najeźdźców mianem „orków".

Wysłanie papieskiego poselstwa zaledwie cztery lata po krwawej bitwie na Legnickim Polu miało na celu rozpoznanie sił i strategii, a także ewentualne pozyskanie Mongołów do wspólnej walki z muzułmańskim zagrożeniem Ziemi Świętej. Mongołowie panowali już wówczas nad północnymi Chinami wraz z Pekinem. Wprawdzie stolicą państwa do roku 1266 pozostawało Karakorum, ale wpływ kultury i administracji chińskiej na mongolskich najeźdźców był ogromny.

Dzięki uczestnictwu w papieskim poselstwie wrocławianin Benedykt Polak przebył ok. 19 tys. km i wszedł do panteonu pionierskich badaczy Azji. Stał się autorem najstarszych europejskich opisów Azji Środkowej. Opisy te są bardziej wiarygodne i ponad 20 lat wcześniejsze od relacji Marca Polo, w której brak wielu istotnych spostrzeżeń. W świetle jego osiągnięć aż się prosi, aby uczynić go patronem Uniwersytetu Wrocławskiego.

Imperium mongolskie, wbrew opinii średniowiecznego mainstreamu, posiadało swoje jasne strony. Zaprowadzone prawa i zorganizowana administracja były zapewnione przez Pax Mongolica i funkcjonowanie Jedwabnego Szlaku na rozległych terenach stepowych od Chin do terenów dzisiejszej Ukrainy. Towarzyszyły temu tolerancja religijna, obecność licznych przedstawicieli chrześcijaństwa nestoriańskiego i udana asymilacja chińskiej kultury. Asymilacja ta poszła tak daleko, że po rozpadzie imperium mongolskiego powstało chińskie państwo mongolskiej dynastii Yuan założonej przez Kubilaj-chana, wnuka Dżyngis-chana. Do tego dziedzictwa nawiązał papież Franciszek podczas swojej wizyty w Mongolii

eprasa.pl dce19a88a3

w dniach 31 sierpnia–4 września 2023 r. Papież jezuita, który przybrał imię na cześć św. Franciszka z Asyżu, znakomicie wpisywał się w historię stosunków Europy z Dalekim Wschodem. Jan de Piano Carpini był franciszkaninem, bliskim towarzyszem świętego z Asyżu, a zasługi jezuitów w poznaniu i chrystianizacji Chin są nie do przecenienia.

CHIŃSKIE CESARSTWO KATOLICKIE KONSTANTYNA

Kolejnym Polakiem zasłużonym w poznaniu Dalekiego Wschodu był jezuita, lwowianin Michał Boym, który działał na dworze ostatniego cesarza z ostatniej rdzennie chińskiej dynastii Ming i który chciał doprowadzić do powstania katolickiego cesarstwa chińskiego. Boym musiał pokonać wiele przeciwności, zanim został jezuickim misjonarzem w Chinach. W roku 1631, gdy miał 30 lat, wstąpił do zakonu jezuitów w Krakowie, ale 10 lat pochłonęły mu przygotowanie się do wyjazdu na misje do Chin i starania o uzyskanie błogosławieństwa papieża Urbana VIII. W zaakceptowaniu jego kandydatury pomogła mu znajomość medycyny, którą wyniósł z domu rodzinnego. W owych czasach syn medyka, nawet zamożnego, nie mógł się równać ze swoim nieco starszym kolegą, Janem Mikołajem Smoguleckim, synem starosty bydgoskiego, posłem na sejm i deputatem do Trybunału Koronnego, który do zakonu jezuitów wstąpił pięć lat później, a do Chin wypłynął zaledwie rok po Boymie. Lwowianin pod koniec roku 1643 wraz z kilkunastoma towarzyszami wypłynął z Lizbony w drogę na Daleki Wschód. Była to wówczas niebezpieczna podróż, w czasie której umierało ok. 50 proc. podróżnych. Równie niebezpieczny był kraj docelowy – Chiny pogrążone w wojnie domowej. Rdzennie chińska dynastia Ming, która niegdyś w roku 1368 zrzuciła dominację dynastii mongolskiej, kontrolowała już tylko południowe Chiny. Była ona stopniowo od roku 1618 wypierana przez kolejnych, mandżurskich najeźdźców tworzących nową dynastię Qing, która miała przetrwać do roku 1912 – końca cesarstwa Chin. Smogulecki prowadził swoją działalność na terenach opanowanych przez tę nową dynastię. Boym pierwsze dwa lata swojej misji poświęcił na studiowanie języka chińskiego i wykłady w kolegium jezuickim w Makau, które było pierwszą portugalską kolonią na wybrzeżu Chin. Po opanowaniu języka prowadził działalność misyjną na położonej opodal wyspie Hajnan, pozostającej wówczas pod władzą dynastii Ming. Wyspę tę opuścił po zajęciu jej przez dynastię mandżurską i udał się do Tonkinu (obecnie północna część Wietnamu). W roku 1648 wykonał opis i tłumaczenie słynnej Steli z Xi'an, dokumentującej obecność misjonarzy chrześcijańskich w Chinach już w VII w.

W roku 1649 znalazł się na dworze Yongli, ostatniego cesarza z dynastii Ming, który wspierał katolickich misjonarzy i pozwolił nadać nowo narodzonemu synowi chrześcijańskie imię Konstanty z nadzieją, że powtórzy on sukces swojego rzymskiego imiennika i zbuduje wielkie wschodnie chrześcijańskie cesarstwo. Nie jest przypadkiem, że oficjalna żona jego ojca przybrała imię chrzestne Helena – takie, jakie nosiła matka Konstantyna Wielkiego. Yongli liczył na pomoc chrześcijańskiego Zachodu i wysłał Boyma jako posła z listami do papieża Innocentego X, generała jezuitów, władz Wenecji i króla Portugalii. List do papieża sygnowany przez członków rodziny cesarskiej jasno potwierdzał ogromne zaufanie pokładane w przybyszu z Polski:

„Tylko jezuita ks. Michael Boym zna interesy naszego imperium. Wysyłamy go jako naszego legata na Wielki Zachód, aby przekazał nasze przemówienie Ojcu Świętemu i wyjaśnił nasze pragnienia szczegółowo. Mamy nadzieję, że w czasach pokoju będziemy mogli wysłać chińskich ambasadorów, którzy zaniosą nasze poddanie się do ołtarza św. Piotra i Pawła".

Portugalczycy uznali już jednak sprawę dynastii Ming za straconą i usiłowali powstrzymać Boyma w swojej kolonii Goa w Indiach, gdzie dotarł chińskim statkiem w roku 1651. Ten jednak wymknął się Portugalczykom i lądem dotarł do wybrzeży Morza Czarnego, by następnie drogą morską przeprawić się do Wenecji. Jego misja spotkała się z niechętnym przyjęciem zarówno w Wenecji, jak i na dworze papieskim. Dopiero po trzech latach nowy papież Aleksander VII wsparł jego starania o pomoc zbrojną ze strony Portugalii, ale na obietnicach się skończyło. Boym wyruszył z powrotem do Chin. Dotarł tym razem wprawdzie do Indii drogą morską, ale wobec oporu lokalnych Portugalczyków, którzy woleli współpracę ze zwyciężającą dynastią mandżurską, dalej wyruszył pieszo. Dotarł do południowych Chin, gdzie zmarł 22 sierpnia 1659 r. Trzy lata później zdradzony Yongli został wraz z całym dworem zamordowany.

W czasie gdy Boym bezskutecznie kołatał w Europie o pomoc dla ostatniego cesarza z dynastii Ming, Smogulecki uzyskał pozwolenie od pierwszego cesarza z nowej dynastii Qing na ewangelizację Mandżurii i podróżując po opanowanych przez nową dynastię częściach Chin, zmarł w roku 1656.

Ogromny jest dorobek kartograficzny Michała Boyma. Opracował w rękopisie atlas „Magna Carta". Było to opracowanie geograficzno-ekonomiczne, zawierające m.in. informacje o kopalniach złota, srebra i ołowiu. Prawidłowo zaznaczył Półwysep Koreański, który dotychczas był uważany za wyspę. Opisał i zilustrował florę Chin w opracowaniu „Flora Sinensis", a w dziele „Medicus Sinicus" przyswoił Europejczykom osiągniecia medycyny chińskiej. Pozostał we wdzięcznej pamięci Chińczyków jako poseł ostatniego rdzennie chińskiego cesarza do dalekich krajów Zachodu.

POLSKO-CHIŃSKA GRANICA NA AMURZE

Trzy lata po śmierci ostatniego cesarza z dynastii Ming na północnej granicy nad Amurem Chin powstało „polskie" państwo Jaxa, założone przez Nicefora Jaxę-Czernichowskiego. Ten pochodzący z Wołynia jeniec wojenny Rosjan z roku 1632, następnie uwolniony przez nich został setnikiem kozackim na Syberii. W roku 1665 zamordował rosyjskiego wojewodę ilimskiego Ławrentija Obuchowa w odwet za zgwałcenie córki (żony?). Uciekł na czele 84 Kozaków na chińskie pogranicze i założył na miejscu zniszczonego przez Chińczyków rosyjskiego fortu Ałbazin własne państwo. Prowadził korespondencję dyplomatyczną z dworem chińskim w języku polskim. W roku 1672 pojednał się z carem, który najpierw skazał go na śmierć, a trzy dni później ułaskawił i mianował wicewojewodą ałbazińskim.

Po śmierci Czernichowskiego Rosja zmuszona była w roku 1685 oddać cały region nadamurski wraz z resztkami państwa Jaxa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest geologiem, doktorem habilitowanym nauk o Ziemi, profesorem Uniwersytetu Wrocławskiego.

eprasa.pl dce19a88a3

Wietnamski wokalista Duc Phuc świętuje zwycięstwo w konkursie Interwizji 2025

FOT. VALERY SHARIFULIN/ZUMA PRESS/FORUM

Moskwa stolicą muzyki

Maciej Pieczyński

Putin znów udowodnił, że chyba tylko Europa izoluje Rosję. Interwizja, czyli konserwatywna alternatywa dla europejskiego konkursu piosenki, wypadła dość siermiężnie, ale jednak zgromadziła wykonawców z całego świata niezachodniego. Dla Azji i Globalnego Południa Moskwa jest prawdziwą stolicą muzyki

Kuba, Kirgistan, Chiny, Egipt, Kenia, Kazachstan, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Brazylia, Tadżykistan, Katar, Madagaskar, Arabia Saudyjska, Kolumbia, Etiopia, Wenezuela, Republika Południowej Afryki, Wietnam, Białoruś, Uzbekistan i Indie – tak wygląda niemal pełna lista uczestników Interwizji. Nie zabrakło samego gospodarza, czyli Rosji. Jedynym przedstawicielem Europy była Serbia. Co ciekawe, w konkursie wzięły udział również Stany Zjednoczone, tyle że połowicznie. Pod flagą amerykańską miała zaśpiewać australijska wokalistka Vassy, jednak jej występ został odwołany – jak ogłosili organizatorzy – „z powodu bezprecedensowych nacisków politycznych ze strony rządu Australii". Podając tę informację podczas konkursu, prowadzący dodali przy tym, że USA nadal są reprezentowane, tyle że przez swojego jurora. Zwycięzca wyłaniany był właśnie przez jury złożone z przedstawicieli wszystkich krajów uczestników. Inaczej niż w Eurowizji publiczność nie miała prawa głosu.

Nie była to pierwsza edycja Interwizji. Już w czasach sowieckich władze na Kremlu próbowały stworzyć alternatywę dla Eurowizji. Wtedy konkurs piosenki miał jednoczyć kraje „demokracji ludowej" (i odbywał się m.in. w Pradze czy w Sopocie), dziś grupą docelową są państwa BRICS, Szanghajskiej Organizacji Współpracy, Wspólnoty Niepodległych Państw (czyli de facto postsowieckich i prorosyjskich zarazem), Bliskiego Wschodu, Azji Środkowej i Ameryki Łacińskiej. Słowem: Moskwa znów, jak

eprasa.pl dce19a88a3

za Leonida Breżniewa, jednoczy wokół siebie kraje niezachodnie, tym razem te z Globalnego Południa i Azji. Jednoczy nie tylko politycznie czy gospodarczo, lecz także kulturowo, inwestując w ten sposób w pogłębioną integrację.

NARZĘDZIE W WALCE Z ZACHODEM

Po raz pierwszy pomysł reaktywacji sowieckiej Interwizji rzucił Władimir Putin w 2009 r. Wtedy w Moskwie odbywał się finał Eurowizji. Rok wcześniej, z anglojęzyczną piosenką „Believe", konkurs wygrał gwiazdor rosyjskiego popu Dima Biłan. Temat wskrzeszenia konkurencji dla europejskiego festiwalu przestał być chwytliwym hasłem, stał się natomiast palącą potrzebą po tym, jak wskutek inwazji na Ukrainę Rosja została wykluczona z Eurowizji. Interwizja nie miała być zwykłym konkursem piosenki, tylko bardzo ważnym przedsięwzięciem propagandowo-politycznym. Organizacją prestiżowo potraktowanego wydarzenia zajął się sam Siergiej Kirijenko, pierwszy wiceszef administracji prezydenta, jeden z najważniejszych współpracowników Putina.

Na początku września władca Kremla wprost przyznał, że Interwizja jest narzędziem w ideologicznej walce z Zachodem. „Celem tego wielkiego projektu jest promocja ogólnoludzkich, kulturowych i duchowych wartości. Na arenie międzynarodowej te tradycyjne wartości odchodzą na drugi plan. Trzeba przywrócić [im ich znaczenie]" – przekonywał Putin. I rzeczywiście, Interwizja miała stać się taką „Eurowizją minus lewicowo-liberalna ideologia Zachodu". Najpopularniejszy konkurs piosenki od wielu lat wpisuje się w ramy tęczowej poprawności politycznej. Orientacja seksualna uczestników często staje się ważniejsza niż ich narodowa tożsamość. Szczególnie że ta ostatnia jest skutecznie zacierana. W 2024 r. na 25 finalistów Eurowizji aż 11 (w tym Wielka Brytania i Irlandia, które można odliczyć, więc w sumie dziewięciu) śpiewało po angielsku. W tym roku było o wiele lepiej (sześciu anglojęzycznych wykonawców). Wielu uczestników swoje występy i sceniczne wizerunki wpisuje w ramy ideologii LGBT+. Dekadę temu szokowała Conchita Wurst, dziś byłaby jedną z wielu w galerii eurowizyjnych osobliwości.

Pod tymi względami Interwizja miała być przeciwieństwem Eurowizji. O tym, jaki był estetyczno-ideowy pomysł na ten konkurs, dobitnie świadczy narracja prowadzących. Niemal po każdym występie niczym mantrę powtarzali, jakie to było wspaniałe połączenie tradycji i nowoczesności. „To pokazuje, jak rozmawiać z całym światem w języku muzyki, zachowując jednocześnie swoje korzenie" – tak brzmiał jeden z tego typu komentarzy. Trzeba przyznać, że było w tym sporo racji. W całości po angielsku śpiewali jedynie reprezentanci RPA. Po rosyjsku jedynie Shaman (Rosja) i Nastia Krawczenko (Białoruś), częściowo też Nomad (Kirgistan) i Faruk Chasanow (Tadżykistan). Język rosyjski to lingua franca na obszarze postsowieckim, ale już w pozostałych częściach świata niezachodniego jest raczej mało znany, a już na pewno nie ma takiego statusu jak angielski w Europie. W większości zatem artyści śpiewali w swoich językach narodowych. Często jednak przypominało to raczej cepelię niż rzeczywiście unowocześniony elektroniczny folk-pop czy, modną na Zachodzie, muzykę świata (world music). Tak czy inaczej, było więcej rodzimej kultury krajów-uczestników niż na Eurowizji. W większości utworów pop mieszał się z folkiem. Artyści często występowali też w tradycyjnych strojach. Zena Emad z Arabii Saudyjskiej i Dana Al-Mir z Kataru na scenie pojawiły się w hidżabach, otoczone muzykami w charakterystycznych białych, arabskich szatach (tzw. dżalabijach). W występach tych artystek kultura Bliskiego Wschodu była nie tylko widoczna, lecz także też słyszalna. Twórczość Zeny Emad to arabski pop z elementami tradycyjnego ludowego tańca halidżi, jazzu i soft rocka. Śpiewająca w podobnym stylu Dana Al Meer występowała na otwarciu i zakończeniu mistrzostw świata w piłce nożnej w 2022 r. w jej ojczystym Katarze. Indie reprezentował Rauchan Malik – wokalista, kompozytor i producent, którego twórczość łączy ludowe motywy z elementami rocka i popu. „Jego piosenki to historia Kaszmiru, opowiedziana we współczesnym języku muzyki" – taką rekomendację artysty przeczytamy na oficjalnej stronie Interwizji. Malik zaśpiewał utwór pt. „Miłość". Prowadzący dopytywał, kto jest adresatem tytułowego uczucia. W tej krótkiej rozmowie widać było znaczącą różnicę ideologiczną między Interwizją a Eurowizją. „Chodziło o miłość do kogo: do ojczyzny, ukochanej kobiety, do córki czy do matki?" – tak dokładnie brzmiało pytanie, skierowane do mężczyzny. Wokalista nie zawiódł prowadzącego i w odpowiedzi nie rozwodził się na temat nietradycyjnych orientacji, do czego by zapewne doszło w analogicznej sytuacji na Eurowizji: „Nie chodzi o miłość między kobietą i mężczyzną. Zadedykowałem swoją piosenkę moim rodzicom", a w ustach tłumaczki, po rosyjsku (Malik mówił po angielsku), pierwsze zdanie brzmiało (być może nieprzypadkowo) jeszcze bardziej konserwatywnie: „Zazwyczaj jak się mówi o miłości, to między kobietą i mężczyzną".

KŁOPOTLIWY WIETNAMCZYK

O ile pod względem ideologicznym Interwizja miała być zaprzeczeniem Eurowizji, o tyle pod względem technicznym organizatorzy wyraźnie starali się naśladować zachodni konkurs piosenki. Scena i widownia iskrzyły się wszelkimi możliwymi efektami świetlnymi. Każdy uczestnik był zapowiadany przez pojawienie się awatara – gigantycznego hologramu, stworzonego za pomocą rozszerzonej rzeczywistości i prezentującego postać ubiorem i wyglądem nawiązującą do kultury danego kraju. Graficznie wyglądało to dość topornie, ale zarazem monumentalnie – robiło wrażenie. Czyli Rosja w pigułce. Za to same występy artystów z reguły nie były tak spektakularne i akrobatyczne, a ich choreografia nie była tak rozbudowana i efektowna, jak to często bywa na scenie eurowizyjnej. Do tego doszły kompromitujące wpadki i niedociągnięcia techniczne. Zgromadzeni tłumnie w Live Arenie widzowie, rzekomo reprezentujący kraje-uczestników, według rozpowszechnianej w mediach społecznościowych wersji byli w swej masie sowicie opłacanymi studentami jednej z rosyjskich uczelni, a nie turystami z zagranicy. Trzymanie widzów w napięciu kompletnie organizatorom nie wyszło. Często najpierw na ekranie pojawiała się tabela wyników, a dopiero po chwili były one odczytywane przez prowadzących. Dramaturgii zabrakło. W pewnym momencie reprezentujący

eprasa.pl dce19a88a3

Rosję w jury kompozytor Igor Matwijenko wstał ze swojego miejsca i zaapelował, by dokładnie policzyć głosy, bo komputer może się pomylić. To jeszcze bardziej spotęgowało chaos organizacyjny. Podczas ogłaszania wyników wszyscy uczestnicy przebywali na scenie. Nikt nie wręczył nagrody zwycięzcy. Prowadzący na odległość, ze swojego komentatorskiego stanowiska, poprosił artystę, aby… sam sobie wziął puchar, stojący na pulpicie na środku sceny.

A konkurs wygrał przedstawiciel Wietnamu, Duc Phuc, z piosenką „Phu Dong Then Vuong". I było to zwycięstwo zasłużone, bo od strony artystycznej występ ten najbardziej zbliżył się do eurowizyjnych standardów. Był dynamiczny, energiczny, wizualnie spektakularny, łączył elementy elektroniki, popu, rapu i folku, a wokaliście nie można odmówić talentu. Igor Matwijenko, zapewne szczerze, zachwycał się idealną syntezą tradycji i nowoczesności w wykonaniu Wietnamczyka. Stwierdził też, że „światowa muzyka popowa znalazła się w ślepym zaułku", dlatego przyszłość należy do unowocześnionego folkloru. Takiego, jaki rzeczywiście próbuje promować Interwizja (choć czasem bliżej jej do cepelii niż do nowoczesności).

O zwycięzcy konkursu mówi się jednak najwięcej nie w kontekście czysto artystycznym. W jednym ze swoich najpopularniejszych teledysków Duc Phuc bardzo czule ściska się z innym mężczyzną. Fabuła jest jednoznaczna. Najpierw wokalista i jego przyjaciel spotykają się na romantycznej kolacji w restauracji, potem razem tańczą, a na końcu obejmują się tak, jakby mieli się zaraz pocałować. Piosenka nosi tytuł „Więcej niż miłość". Najprawdopodobniej więc rzekomo konserwatywną wersję Eurowizji wygrał zadeklarowany gej, który nie tylko nie wstydzi się swojej orientacji, lecz także wręcz ją propaguje poprzez muzykę. Prokremlowskie media na ten temat albo milczą, albo – jak portal prawosławno-monarchistycznej telewizji Tsargrad – próbują pokrętnie tłumaczyć swoim odbiorcom, że po pierwsze informacje o rzekomym homoseksualizmie Duc Phuca rozpowszechniają „rusofobiczne media" (a te, jak wiadomo, są niewiarygodne), po drugie liberalne CNN w tej sprawie milczy, a przecież, gdyby to była prawda, na pewno amerykański gigant by o tym z radością poinformował, po trzecie zaś – nie ma jakoby jednoznacznych dowodów, potwierdzających te skandalicznie brzmiące pogłoski. Tak czy inaczej, niezależnie od tego, czy wietnamski artysta jest homoseksualistą czy tylko sprawia takie wrażenie na użytek swojej twórczości, trudno o bardziej spektakularną wpadkę wizerunkowo-ideologiczną niż jego zwycięstwo w „konserwatywnej" Interwizji.

Najprawdopodobniej rzekomo konserwatywną wersję Eurowizji wygrał zadeklarowany gej

Jednocześnie ta afera pokazuje również, że wyniki konkursu nie były ustawione wcześniej. To zresztą logiczne – Rosji nie zależało na tym, aby dopieścić tego czy innego gościa, tylko na tym, aby pokazać, że jednoczy wokół siebie wiele różnych krajów, stając się alternatywną wobec Zachodu stolicą popkultury. I to akurat, niezależnie od „tęczowej" wpadki, jej się udało.

MYŚLENIE IMPERIALNE

Organizatorzy symbolicznie wyróżnili jednak dwóch najważniejszych z politycznego punktu widzenia uczestników Interwizji. Przedstawiciele Chin i Indii współprowadzili całe wydarzenie. Prowadzących było czterech, w tym dwoje Rosjan: aktor i muzyk Aleksiej Worobiow i jego żona (etniczna Tatarka), śpiewaczka operowa Aida Garifullina. Oboje mówili po rosyjsku. Pozostałą dwójkę tworzyli chiński showman i dziennikarz telewizyjny Meng Lei (mówił po chińsku) oraz indyjska aktorka i modelka Stefy Patel (mówiła po angielsku). Obok tradycyjnych wartości w warstwie ideowej dominowały hasła o dialogu kultur i przyjaźni narodów, przypominające dawną sowiecką propagandę, ale też wpisujące się w myślenie o świecie elit kremlowskich, które nie jest, wbrew pozorom, nacjonalistyczne, tylko raczej imperialne – bo imperium z założenia jest wielonarodowe. W takim duchu utrzymane były wypowiedzi obecnego na sali Siergieja Ławrowa i (łączącego się zdalnie) samego Putina. Co istotne, podczas całej Interwizji nie padło ani jedno słowo nawiązujące do wojny. Opozycyjny bloger Maksim Kac trafnie określił konkurs „ucztą podczas dżumy". Celem (zrealizowanym!) Interwizji w polityce zagranicznej było demonstracyjne przełamanie izolacji kulturowej i pogłębienie integracji ze światem niezachodnim. W polityce wewnętrznej chodziło zaś o to, by dać Rosjanom igrzyska, które pozwolą, choć na chwilę, zapomnieć o toczącym się konflikcie. I to też pewnie w dużym stopniu się udało.

Konkurs był okazją nie tylko do udowodnienia, że Moskwa jest stolicą światowej kultury, lecz także do zaprezentowania światu, cancelowanej po inwazji na Ukrainę, kultury rosyjskiej. Ogłoszenie wyników poprzedzone było spektakularnym występem pod hasłem „Złote pieśni Rosji". W chóralnych i folkowych aranżacjach wybrzmiały takie hity jak „Podmoskownyje wieczierа", „Kalinka" czy „Koń" ulubionego zespołu Putina, czyli Lube. Wystąpiły też wielkie gwiazdy współczesnej muzyki: Klava Koka (pop), Pielagieja (kozacki folk); Tatiana Kurtukowa zaśpiewała wielki hit „Matuszka" (przaśna mieszanka popu i folku z patriotycznym tekstem o „świętej Rusi", ale bez kontekstu wojennego), a łączący elektroniczną muzykę z tradycyjnymi brzmieniami Wielkiego Stepu baszkirski zespół Ay Yola – równie popularny przebój „Homay" (po baszkirsku, co znów pokazuje otwartość Rosji na multi-kulti zarówno u innych, jak i u siebie).

Rosja miała też swojego reprezentanta w samym konkursie. Był nim Shaman, bodaj najbardziej promowany przez władze (z uwagi na patriotyczne teksty i militarystyczny wizerunek blondyna w skórze i z opaską w barwach narodowych na ramieniu) gwiazdor rodzimego popu. Jednak po swoim występie zaapelował do jurorów, aby na niego nie głosowali. A to dlatego że nie wypada, aby gospodarz wygrał konkurs. Powołał się przy tym na „tradycyjną rosyjską gościnność". I dodał, że jego kraj „i tak już wygrał", skutecznie organizując tak poważne przedsięwzięcie. W tym wypadku trudno gwieździe rosyjskiej muzyki nie przyznać racji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dce19a88a3

FOT. ADOBE STOCK

SPADŁ I PRZEŻYŁ

W Dżodhpurze (Indie) mężczyzna spadł z wysokości dziewięciu metrów i przeżył. 49-latek oparł się o balustradę balkonu i stracił równowagę. W wyniku wypadku doznał dotkliwych obrażeń, w tym złamania nogi. Szczęśliwie upadek częściowo zamortyzował zaparkowany pod balkonem skuter, który uchronił mężczyznę przed poważniejszym urazem głowy. Nagranie z monitoringu wywołało komentarze na temat niebezpiecznej infrastruktury w gęsto zaludnionych obszarach Dżohdpuru.

OSZUST ROMANTYK

Emerytka z Japonii dała się nabrać na prośbę fałszywego astronauty. W mediach społecznościowych poznała mężczyznę, który oznajmił jej, że okrążając statkiem kosmicznym Ziemię, utknął w przestworzach i może mu zabraknąć tlenu. Oszust poinformował 80-latkę, że uratować go mogą tylko pieniądze – konkretnie równowartość prawie 7 tys. dol. – przelane na jego konto. Śledczy skonstatowali, że między obojgiem została nawiązana „relacja romantyczna".

PODRÓŻ W PODWOZIU

Indyjskie służby zatrzymały 13-letniego Afgańczyka, który błąkał się na płycie lotniska w Delhi. Jak się okazało, chłopiec przybył do stolicy Indii z Kabulu samolotem, ukrywając się w komorze podwozia maszyny. W komentarzach pojawiły się opinie, że ta metoda przemieszczania się to najczęstszy sposób powietrznych podróży na gapę, ale jest ona zarazem bardzo niebezpieczna. Podczas chowania się podwozia pasażer może być zmiażdżony.

DZWONIĄCY ŚLIMAK

Kilku mieszkańców bloku mieszkalnego w Schwabach niedaleko Norymbergi zaniepokoił powtarzający się w nocy dźwięk dzwonków do drzwi. Byli oni przekonani, że są to sztubackie żarty młodych ludzi, którzy dzwonili i od razu uciekali. Kamera przy domofonie nikogo nie pokazywała. Wezwano więc policję, która znalazła winowajcę. Ale nie był to człowiek, lecz… ślimak. Pełzał on po panelu domofonu, uruchamiając dzwonki do drzwi.

ZABRAKŁO MAJONEZU

W Los Palacios y Villafranca koło Sewilli klient restauracji wpadł w gniew, gdy się okazało, że zabrakło w niej majonezu marki Hellmann's. Mężczyzna zagroził podpaleniem lokalu, ale produktu naprawdę nie było. Podpalił więc restaurację. Na szczęście nikomu nic się nie stało. Straty lokalu zostały wycenione na 7–9 tys. euro. Właściciel marki Hellmann's zaoferował restauracji ich pokrycie, obiecując zarazem, że jego majonezu w niej już nie zabraknie.

©℗ ***Filip Memches***

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Rządy śmieciarzy

Wyobrażają sobie państwo usługodawcę, który nie dość, że wciąż podnosi opłaty, to nakłada na państwa coraz więcej obowiązków? Tak właśnie jest z systemem segregacji odpadów. Początkowo śmieci trzeba było dzielić na trzy frakcje, aby firmom, które zarabiają na przetwarzaniu odpadów, było łatwiej. Od 1 stycznia 2025 r. zgodnie z przepisami do kosza nie wolno już wyrzucić dziurawej skarpetki czy zniszczonego buta. Odzież, obuwie, koce czy pościel trzeba będzie grzecznie gromadzić i zawozić do Punktu Selektywnej Zbiórki Odpadów Komunalnych (PSZOK). Ja do najbliższego PSZOK mam 11 km w jedną stronę. Chętnie poznałbym geniusza, który mi wytłumaczy, jak jadąc z odzieżą 22 km, chronię środowisko…

Rząd pomyślał też o karach. Grzywna za niewłaściwe wyrzucanie tekstyliów wynosi do 5 tys. zł. Na buntowników czyhają fotopułapki straży miejskiej. Wykroczenia krnąbrnych obywateli są nagrywane i fotografowane, a twarze sprawców i numery rejestracyjne ich pojazdów doskonale widoczne. To przecież ważniejsze niż rozboje!

To nie koniec. Od 1 października rusza zaś system kaucyjny. Rząd tak to sprytnie wymyślił, że w obiegu będą jednocześnie butelki objęte system kaucyjnym i takie, których zwracać do sklepów nie można. Poza tym butelki/puszki bez kaucji będą musiały być zgniecione przed wyrzuceniem, ale te z kaucją nie będą mogły być zgniecione, bo kaucji nikt nie odda. Co zyskamy? Podwyżkę opłat za śmieci! Część przychodów z recyklingu wróci bowiem do operatorów systemu, a nie do samorządów... ©℗

eprasa.pl dce19a88a3

Teresa Stylińska

Sprawa Petera Mandelsona, odwołanego niedawno brytyjskiego ambasadora w Waszyngtonie, przyjaciela Jeffreya Epsteina, ma wiele aspektów niewygodnych i niebezpiecznych nie tyle dla niego, ile dla Keira Starmera i jego rządu

Peter Mandelson poniósł konsekwencje, ma 71 lat, w polityce nie ma już na co liczyć, w biznesie być może także

FOT. CARL COURT/REUTERS/FORUM

Niestosowne związki Petera Mandelsona

Kto wie, czy losu Petera Mandelsona, brytyjskiego ambasadora w Waszyngtonie, nie przypieczętowała pewna fotografia. Mandelson w atmosferze skandalu został odwołany ze stanowiska, ponosząc bolesne konsekwencje swej wieloletniej przyjaźni z Jeffreyem Epsteinem, amerykańskim finansistą i multimilionerem, skazanym za pedofilię. Rozmiary zażyłości obu panów pokazuje ich korespondencja e-mailowa, obraz jednak na ogół przemawia dobitniej. A szlafrok to nie jest strój, w jakim poważnego polityka – a takim Mandelson, szara eminencja brytyjskiej Partii Pracy, jest bez wątpienia – chciałaby oglądać szeroka publiczność.

Zdjęcie zostało zrobione w 2002 r. na należącej do Epsteina karaibskiej wyspie Little Saint James, gdzie stale gościł swych wpływowych przyjaciół. Mandelson w krótkim białym szlafroku siedzi na werandzie, Epstein naprzeciw niego, obaj rozradowani i na luzie. Fotografia musiała utrwalić jakąś miłą chwilę, skoro znalazła się w 238-stronicowym albumie, zbiorowym prezencie, który Epstein otrzymał od przyjaciół rok później, z okazji swych 50. urodzin. Mandelson opatrzył fotkę dopiskiem: „Gdziekolwiek by się znalazł, jest moim najlepszym kumplem".

Żeby nie było wątpliwości: nikt nie podejrzewa, że obu panów mogło łączyć coś więcej niż przyjaźń, z ewentualną domieszką interesów. Epstein gustował w bardzo młodych dziewczętach, Mandelson natomiast jest homoseksualistą, czego dziś już nie ukrywa, choć dawniej się z tym nie zdradzał. Odmienna orientacja okazała się zresztą poręcznym narzędziem, gdy musiał wyjaśniać, dlaczego nie widział, by w posiadłościach Epsteina działo się coś złego. „Może niczego nie dostrzegałem, bo jestem gejem?" – snuł rozważania w wywiadach, których udzielał ostatnio, próbując ratować swe stanowisko i zarazem reputację.

Czy tylko jego zmiecie skandal? Premier Keir Starmer nie widzi powodu, by miał podać się do dymisji. Pytanie jednak, co jeszcze zostanie ujawnione i czy on sam nie znajdzie się pod ścianą.

JAK WIELKIM JESTEŚ CZŁOWIEKIEM...

Sprawa Mandelsona ma wiele aspektów, niewygodnych i niebezpiecznych nie tyle dla niego samego – poniósł konsekwencje, ma 71 lat, w polityce nie ma już na co liczyć, w biznesie być może także – ile dla Starmera i jego rządu. Po pierwsze: czas. Mandelson został odwołany tuż przed wizytą Donalda Trumpa, której w Londynie nadano rangę wizyty państwowej i wspaniałą oprawę. Rząd Starmera ma nadzieję, że zadowolony Trump wykaże zrozumienie dla brytyjskich oczekiwań, poczynając od ceł. Mandelson, utrzymujący bardzo dobre stosunki z Trumpem, mógł tu być bardzo przydatny.

Po drugie: o wadze sprawy świadczy zwołanie – na wniosek opozycji – nadzwyczajnego posiedzenia Izby Gmin, które odbyło się 16 września, dosłownie kilka godzin przed przylotem Trumpa. Ambasador w USA to najważniejsze stanowisko w brytyjskiej dyplomacji i Mandelson nie krył, że objęcie go uważa za ukoronowanie swej długiej i owocnej kariery. Osiągnął niemało: był kilkakrotnie ministrem, był komisarzem europejskim i – może najważniejsze – strategiem, który wraz z Tonym Blairem kompletnie odmienił Partię Pracy, przestawiając ją z torów lewicowych na centrowe.

Nie chodzi o samą tylko znajomość czy przyjaźń. Gdy w 2008 r. Epstein został skazany na 18 miesięcy więzienia za seksualne wykorzystanie nieletniej, Mandelson potraktował wyrok jak wielką niesprawiedliwość wyrządzoną osobie niewinnej. Widać to z treści e-maili, które opublikował Bloomberg. „Czuję się bezradny i wściekły" – pisze Mandelson, gdy Epstein ma stawić się w więzieniu. Musisz – dodaje – „pokazać światu, jak wielkim jesteś człowiekiem i jak bardzo

eprasa.pl dce19a88a3

silnym". I radzi, by starał się o przedterminowe zwolnienie.

Pytań jest więcej. Jaką rolę w nominacji dla Mandelsona odegrał premier Starmer? Co wiedział i od kiedy? Dlaczego, gdy znano już treść e-maili i zawartość urodzinowego albumu, uparcie Mandelsona bronił? Jeszcze w środę 10 września, podczas cotygodniowej godziny pytań w Izbie Gmin, podkreślał, że ma do niego pełne zaufanie. Kilkanaście godzin później, w czwartek rano, odwołał go z funkcji w trybie natychmiastowym. Foreign Office, obarczone przez premiera niewdzięcznym zadaniem złożenia wyjaśnień, w lakonicznym komunikacie oznajmiło, iż „treść e-maili pokazuje, że stosunki Petera Mandelsona z Jeffreyem Epsteinem w sposób istotny odbiegały od tego, co wiedziano, gdy otrzymał on nominację".

MACIE NA TYM PUNKCIE OBSESJĘ!

Jeffrey Epstein nie żyje od sześciu lat. Aresztowany wiosną 2019 r. pod zarzutem stręczycielstwa i osadzony w nowojorskim więzieniu powiesił się w celi jeszcze przed procesem. Taka jest wersja oficjalna – choć wielu wątpi, czy faktycznie było to samobójstwo. Był bogatym światowcem, który majątek zrobił w sektorze bankowym, dzięki m.in. pośrednictwu i doradzaniu w transakcjach, właścicielem dwóch wysp i luksusowych rezydencji w Palm Beach, Nowym Jorku i wielu innych miejscach.

Tym, co sprawia, że mimo upływu czasu Epstein jest ciągle w centrum uwagi, są w równej mierze jego występki, jak ludzie. Lista jego znajomych może przyprawić o zawrót głowy. Najpotężniejsi politycy, członkowie rodzin panujących, na czele z brytyjskim księciem Andrzejem, gwiazdy filmu i rozrywki, najlepsi prawnicy Ameryki... Epstein mówił otwarcie, że stara się gromadzić wokół siebie ludzi wpływowych. Oferując im hojną pomoc, np. na kampanię wyborczą, zyskiwał niekłamaną wdzięczność.

Peter Mandelson to zupełnie inna historia. Bez wątpienia zawsze miał ambicje, możliwości i wpływy. Jest laburzystą z przekonania i z pochodzenia. Jego dziadek, Herbert Morrison, w 1945 r. został ministrem w rządzie Clementa Attlee, a później zastąpił go w roli lidera Partii Pracy. Za swe zasługi otrzymał tytuł szlachecki i jako baron Morrison of Lambeth zasiadał w Izbie Lordów. Mandelson

Premier Keir Starmer nie widzi powodu, by miał podać się do dymisji. Pytanie jednak, co jeszcze zostanie ujawnione i czy on sam nie znajdzie się pod ścianą

również otrzymał tytuł lordowski. Ale – jak powiedział BBC jeden z jego przyjaciół – ma też ewidentny problem: bardzo lubi high life, życie na wysokiej stopie, nie ma jednak dość środków, by takie prowadzić.

To może tłumaczyć charakter skandali, w które się wplątuje. Gdy był ministrem biznesu w rządzie Tony'ego Blaira, zaciągnął u partyjnego kolegi, Geoffreya Robinsona, nieoprocentowaną pożyczkę na zakup mieszkania w dobrej dzielnicy Londynu. Problem nie tylko w tym, że nie zgłosił jej władzom skarbowym. Na jaw wyszło, że firma Robinsona podlegała kontroli ze strony ministerstwa, którym Mandelson kierował. Stracił wówczas stanowisko po raz pierwszy, choć nie ostatni.

Peter Mandelson nie przeczy, że z Epsteinem był blisko, ale – zapewne po to, by ratować stanowisko – zaczął przedstawiać się jako ofiara własnej naiwności. – Żałuję, że go poznałem i że nasza znajomość trwała tak długo – mówił w jednym z wywiadów, dodając, że dał się zwieść zapewnieniom prawników Epsteina. Czasu się jednak nie cofnie i jedyne, co dziś może zrobić, to gorąco współczuć jego ofiarom.

Czy można wierzyć w szczerość tych wynurzeń? Zapewne, gdyby nie drobne „ale": Mandelsonowi szybko przypomniano, że całkiem niedawno, gdy przez dziennik „Financial Times" został zapytany o swe kontakty z Epsteinem, odparł z irytacją: – Macie na tym punkcie obsesję. Odpier…cie się ode mnie!

CZY PREMIER DA SOBIE RADĘ?

– Gdy lord Mandelson miał otrzymać nominację, zignorowano wszelkie znaki ostrzegawcze – powiedziała w Izbie Gmin podczas debaty nadzwyczajnej Emily Thornberry, przewodnicząca parlamentarnej komisji spraw zagranicznych. Jak ujawniła, Foreign Office w ogóle nie zajmowało się badaniem przeszłości kandydata, choć procedura taka jest przestrzegana nawet przy nominacjach na mniej znaczące stanowiska. – Wystarczy, że ktoś urodził się w Belfaście, by z miejsca stał się przedmiotem wzmożonego zainteresowania – mówiła pani Thornberry. – Dlaczego zatem nie zajęto się należycie więzami Mandelsona z człowiekiem winnym przestępstw o charakterze pedofilskim?

Emily Thornberry nie reprezentuje opozycji. Jest deputowaną Partii Pracy, krytyka z jej ust ma zatem swoją wymowę. W jej wypowiedzi ukryta jest sugestia czytelna dla zorientowanych: za wyborem Mandelsona i jego nominacją stoi Downing Street. Decyzję w tej sprawie forsował – czy wręcz narzucił Starmerowi – Morgan McSweeney, szef urzędu premiera. Forsował ją zaś nie przypadkiem: z Mandelsonem jest blisko związany, bo pierwsze kroki w polityce stawiał u jego boku.

Jeżeli sugestie przybiorą formę konkretnych zarzutów, to Wielką Brytanię może czekać prawdziwe polityczne trzęsienie ziemi. Niektórzy mówią wprost: będzie to koniec Keira Starmera. Jeżeli McSweeney, który – jak się uważa – ma przemożny wpływ na poczynania szefa rządu, zostanie zmuszony do odejścia, to Starmer, bez oparcia w sprawnym współpracowniku, nie da sobie rady.

Choć przed rokiem Partia Pracy w wielkim stylu wygrała wybory, to bilans 14 miesięcy jej rządów przedstawia się źle. Nie udało się ani zapanować nad supernewralgiczną kwestią imigracji, ani też poprawić sytuacji NHS, publicznej służby zdrowia. Skandale polityczne stały się niemal codziennością. Ze stanowiskiem wicepremiera pożegnała się właśnie wicepremier Angela Rayner. Na jaw wyszło, że zastosowała sztuczki prawne, by zaoszczędzić 40 tys. funtów na podatku należnym przy zakupie drugiego domu. A Reform UK, partia Nigela Farage'a, niemal z dnia na dzień zyskuje na popularności.

– Gdybym wiedział to wszystko, co wiem teraz, nigdy nie mianowałbym Mandelsona ambasadorem – tak premier Starmer ocenił swe własne działania. I to być może najbardziej pocieszająca konstatacja w obliczu tego, co może go wkrótce czekać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dce19a88a3

Więcej prądu z węgla albo blackout

Mirosław Panek

Polskie Sieci Energetyczne i Ministerstwo Energii ogłosiły na początku września br. projekt „pakietu antyblackoutowego". Zawiera on pożyteczne propozycje, nie spełnia jednak zawartej w swojej nazwie obietnicy, gdyż w ogóle nie zajmuje się zapewnieniem wystarczającej mocy stabilnych źródeł, najprostszej ochrony przed blackoutem w czasach OZE

Dekarbonizacja, czyli rezygnacja ze spalania węgla i węglowodorów, ma na celu walkę z ociepleniem klimatu. Winien tego ocieplenia ma być dwutlenek węgla emitowany do atmosfery wskutek gospodarczej aktywności człowieka. Unia Europejska uchwaliła i wprowadza w życie Zielony Ład, którego celem jest zupełne wyeliminowanie emisji CO_2 do roku 2050. Wszystko ma być elektryczne, a energia elektryczna ma pochodzić z odnawialnych źródeł energii (OZE), czyli fotowoltaiki, wiatraków i elektrowni wodnych. Przejściowo wolno będzie korzystać z gazu ziemnego, w nadziei na zastąpienie go wodorem; akceptowana jest też energetyka jądrowa. W ciągu 25 lat wszystkie elektrownie i ciepłownie węglowe mają być wyłączone, a samochody spalinowe – zastąpione elektrycznymi.

Czy ten śmiały plan uratuje nam klimat? Odpowiedź jest prosta i oczywista: nie uratuje i nie będzie miał na klimat żadnego wpływu. Ten wniosek powinien być zrozumiały nawet dla najbardziej zagorzałych zwolenników teorii o negatywnym wpływie CO_2, bo wynika nie z klimatologii, a z arytmetyki.

Na kraje UE przypada 6,5 proc. światowej emisji CO_2. Jeśli doliczyć państwa spoza UE, tak jak ona gotowe się dekarbonizować (np. Kanada, Australia, Wielka Brytania), to przypadnie na nie ok. 10 proc. całkowitej emisji. Ale Chiny i Indie intensywnie budują nowe

eprasa.pl dce19a88a3

FOT. ADOBE STOCK

elektrownie węglowe, a kraje rozwijające się i biedne też nie mają powodu, by rezygnować ze wzrostu gospodarczego napędzanego tradycyjnymi nośnikami energii. Ubytek 10 proc. emisji z UE i jej naśladowców zostanie z nawiązką skompensowany przez przyrost emisji CO_2 z innych krajów, jeśli przez te 25 lat emisje z nich będą rosły choćby o pół procenta rocznie (a rosną znacznie szybciej).

Po co więc kosztowny wysiłek dekarbonizacji, jeśli z góry wiadomo, że będzie nieskuteczny dla sprawy klimatu? To dobre pytanie, ale tu zajmijmy się wpływem Zielonego Ładu na polską energetykę, bo to w tym sektorze najwyraźniej widoczne są jego ekonomiczne konsekwencje.

NOWYCH ELEKTROWNI SIĘ NIE BUDUJE, STARE SIĘ ROZPADAJĄ

Wiatraki i panele fotowoltaiczne miały być początkowo tanim uzupełnieniem istniejącego systemu energetycznego, w Polsce opartego na węglu. Wizja, by wykorzystać czystą i darmową energię wiatru i słońca, zamiast wydobywać głęboko spod ziemi brudny węgiel i dymić z kominów, spalając go, jest pociągająca i kiedyś zostanie spełniona. Niestety, szalone tempo, w jakim UE nam ją narzuca, prowadzi do narastających problemów. W efekcie dziś w Polsce mamy dwa rywalizujące ze sobą systemy energetyczne. OZE zależą od pogody i pory dnia i roku, podczas gdy stanowiące podstawę naszego systemu elektrownie węglowe przystosowane są do pracy ciągłej. Gdy świeci i wieje, energii generowanej przez OZE jest zbyt wiele i trzeba odłączać jej źródła, redukując jednocześnie pracę elektrowni węglowych. Za to jesienią i zimą zdarza się, że fotowoltaika i wiatraki w ogóle nie produkują prądu przez okresy, które mogą trwać i kilka dni, a wtedy wszystko opiera się na węglu. Raz elektrownie węglowe są niepotrzebne, a kiedy indziej – niezbędne. A przez większość czasu żaden ze sposobów wytwarzania prądu nie działa z pełną wydajnością, co podnosi koszty i prowadzi do wysokich cen energii.

Tak w skrócie wygląda stan obecny, jednak dla zrozumienia dramatyzmu sytuacji polskiej energetyki koniecznych jest kilka uzupełnień. Energetyka węglowa, skazana przez UE na zamknięcie, już dawno wypadła z cyklu odnawiania mocy wytwórczych. Nowych elektrowni się nie buduje, a stare rozpadają się ze starości, są stopniowo wyłączane i wiele z nich nie nadaje się już do remontu. Mocy węglowych w obecnym stanie ubywa i będzie ubywało coraz szybciej, przez co ryzyko ograniczeń w dostawach energii elektrycznej w jesienno-zimowych szczytach popytu będzie rosło.

Pamiętać trzeba, że w tym samym czasie, gdy będzie ubywało nam stabilnych mocy w elektrowniach węglowych, popyt na energię elektryczną będzie rósł. Będzie przybywało samochodów elektrycznych do ładowania, pompy ciepła będą pobierały dużo prądu w chłodne wieczory i noce, a nie zapominajmy też o prądożernej sztucznej inteligencji. Czym zapełnić tę niebezpieczną lukę?

Elektrownie jądrowe to oczywisty wybór. Niestety, wskutek wieloletnich opóźnień w podejmowaniu decyzji budowa pierwszej z nich dopiero się rozpoczyna i będzie trwała długo. Oficjalne plany

eprasa.pl dce19a88a3

mówią o uruchomieniu pierwszej EJ w roku 2036. Projekty jądrowe są trudne w realizacji i notorycznie się opóźniają, poza tym do zastąpienia wyłączanych węglowych jedna elektrownia jądrowa nie wystarczy. Trzeba ich kilka, tak więc zapełnienia luki należy się realnie spodziewać dopiero w latach 40., czyli za 20 lat, a może i później. UE ma zielone światło dla OZE i bardzo wyśrubowane wymagania dla energetyki jądrowej, a ich spełnienie może być dla nas niezwykle trudne, o czym dowiemy się dopiero za jakiś czas. Duże EJ to jedno, ale od kilkunastu lat nadzieję budzą SMR-y, czyli małe, modułowe elektrownie jądrowe, łatwiejsze w budowie i obsłudze. Niestety, mają jedną poważną wadę – nikt ich jeszcze nie produkuje. Licencjonowanie ich budowy też potrwa i nie należy się spodziewać, że pojawią się dużo wcześniej niż klasyczna EJ. Paliwo do polskich EJ oczywiście będziemy musieli importować, bo uranu nie wydobywamy.

NIEROZWIĄZYWALNY DYLEMAT

Zastąpić węgiel może też gaz ziemny. Elektrownie gazowe są elastyczne w eksploatacji, a gaz jest przez UE łaskawie tolerowany i określany jako paliwo przejściowe (do czasu zastąpienia wszystkiego przez OZE poza energetyką jądrową, która traktowana jest jak zło konieczne). Mamy już kilka elektrowni gazowych, budowa kolejnych jest w trakcie lub w planach. I znowu: do zastąpienia elektrowni węglowych trzeba zbudować dużo siłowni gazowych. Powstanie wtedy nierozwiązywalny dylemat. Gdyby elektrownie te miały działać tylko jako uzupełnienie OZE, to wtedy – gdy OZE wytwarzają mniej prądu, niż potrzeba – trudno będzie pokryć koszty ich budowy, bo w sumie będą działały tylko przez część czasu i dostarczały do sieci o wiele mniej prądu, niż mogłyby, pracując ciągle. Z kolei ich praca ciągła oznaczałaby znaczny wzrost importu gazu przez Polskę, z całym wynikającym stąd ryzykiem. Uzależnienie od importu surowca strategicznego jest zawsze niebezpieczne. Poza tym import ten dotrze do Polski tylko w trzech punktach: rurociągiem Baltic Pipe oraz przez gazoporty w Świnoujściu i pływający w Gdańsku (w budowie), co znacznie zwiększa ryzyko przerwania dostaw.

Powinniśmy zdecydowanie rozwijać energetykę konwencjonalną i iść dwa kroki dalej. Pierwszy z nich to budowa nowych elektrowni węglowych

Z oczywistych powodów geologicznych nie zbudujemy nowych elektrowni wodnych ani – będących w istocie magazynami energii – dużych elektrowni szczytowo-pompowych. Pewne nadzieje wiązane są z budową bateryjnych magazynów energii. Mogłyby one ładować się energią wytwarzaną przez OZE, gdy jest jej nadmiar, i oddawać prąd do sieci, gdy go brakuje. Niestety, istniejące technologie nie pozwalają przechowywać prądu od lata do zimy, co byłoby najlepszym rozwiązaniem. Ich pojemność także jest niewielka, bo gdy oddają prąd z pełną mocą, to trwa to nie dłużej niż cztery godziny.

Można w najtrudniejszych momentach wspomagać się importem energii elektrycznej, jednak nie można importu traktować jako sposobu na wypełnienie dużych i trwałych braków mocy w systemie.

NIE ZA WSZYSTKO MOŻNA OBCIĄŻYĆ PUTINA

Polskie Sieci Elektroenergetyczne (PSE) w opublikowanym w grudniu 2024 r. „Planie rozwoju sieci przesyłowej 2025–2034" szacują, że po uwzględnieniu obecnych prognoz popytu na energię elektryczną oraz znanych dziś planów uruchamiania jednych jej źródeł (bez EJ), a zamykania innych w naszym systemie zabraknie w roku 2030 – 4,8 GW, w 2035 – 11,6 GW, a w 2040 – 18 GW mocy dyspozycyjnych. Czy to dużo? Tak, bo obecna moc dyspozycyjna elektrowni węglowych to ok. 30 GW, w roku 2024 dały one 63 proc. wytworzonego w Polsce prądu, natomiast nasza pierwsza EJ ma osiągnąć 3,75 GW mocy dopiero w roku 2040. Te braki mocy w systemie oznaczają, że już od przyszłego roku grozić nam będą przymusowe ograniczenia w poborze prądu (ze sławnym 20. stopniem zasilania włącznie), a być może i blackout. Długości tych okresów niedoboru mocy podawane są w godzinach rocznie. Jeśli nie zostaną podjęte dodatkowe działania, to już w roku 2026 prądu będzie brakowało przez 3 proc. roku (tyle samo w 2030), w 2035 – przez 20 proc. roku i w 2040 przez 32 proc. Te 3 proc. roku wyglądają niegroźnie, ale przy brakach trwających po kilka godzin na dobę może to oznaczać problemy z zasilaniem w ciągu całego miesiąca. Braki przez jedną piątą lub jedną trzecią roku są po prostu dramatyczne. Retoryczne jest wtedy pytanie: Kto będzie chciał inwestować w kraju o takim deficycie energii?

Do tej pory nie wspominałem o kosztach wymuszanej przez UE transformacji energetycznej. Z jednej strony, OZE przedstawiane są jako tanie źródła darmowej energii słońca i wiatru, z drugiej zaś – ceny energii rosną i nie wszystkim można obciążać Władimira Putina. Ceny rosną przede wszystkim dlatego, że musimy utrzymywać dwa konkurujące ze sobą systemy energetyczne, a żaden z nich nie może działać w pełni swoich możliwości, bo z prądem, na który nie ma chwilowego popytu, po prostu nic nie można zrobić i trzeba wyłączać jego źródła. Mimo znacznych już zainstalowanych mocy OZE trzeba dopłacać do elektrowni węglowych, by były gotowe zapełnić luki po niedziałających w zimowe, bezwietrzne noce wiatrakach i fotowoltaice. Z kolei w letnie, słoneczne weekendy same OZE wyłączają się nawzajem i trzeba ich właścicielom wypłacać rekompensaty za nieodebrany prąd. Poza tym rozproszenie źródeł OZE wymusza kosztowną przebudowę sieci elektroenergetycznej.

W sumie trudno powiedzieć, co jest tańsze, a co droższe. Elektrownie węglowe z jednej strony muszą płacić kary za emisję CO_2 (system ETS), z drugiej – uczestniczą w rynku mocy, gdzie płaci się im za gotowość zwiększenia dostaw prądu na wezwanie. OZE dostają subsydia w różnych formach i ceny gwarantowane za wytwarzany prąd. Konsumenci dostają rekompensaty i ceny maksymalne. Cały system jest od strony finansowej przesterowany i niejasny. Mamy megawatogodziny i miliony złotych, ale nie mamy przejrzystego rynku energii elektrycznej.

eprasa.pl dce19a88a3

Co gorsza, bardzo wiele decyzji wymaga aprobaty z Brukseli. Musimy prosić o zgody na harmonogram zamykania elektrowni węglowych, na finansowanie budowy elektrowni jądrowej, na istnienie rynku mocy (a raczej rynków mocy, bo niedługo elektrownie gazowe potrzebować będą własnego systemu dopłat).

Co zatem powinniśmy zrobić w obecnej sytuacji, by uniknąć braków energii i jej wysokich cen? Przede wszystkim powinniśmy się uwolnić od myślenia o Zielonym Ładzie jako o nieodwołanej konieczności. Jest on sprzeczny z arytmetyką i toksyczny dla naszej gospodarki. W USA następuje właśnie odwrót od dekarbonizacji, za jakiś czas dotrze on i do Europy, bo niskie ceny energii są kluczem do powodzenia gospodarki. Ile to jeszcze potrwa? Trudno powiedzieć, wiemy, że utopie potrafią utrzymywać się długo, zbyt długo.

Wyobraźmy sobie, że Polska jest krajem suwerennym w energetyce i mamy swobodę działania. Jakie decyzje należałoby podjąć, by zredukować ryzyko zapaści energetycznej?

Oczywiście należałoby zrezygnować z systemu ETS, z dopłat do samochodów elektrycznych, ze zmuszania podmiotów i samorządów do kupowania pojazdów elektrycznych i wodorowych oraz ogólnie ze stymulowania dodatkowego popytu na energię elektryczną.

Należałoby też zdecydowanie spowolnić budowę i podłączanie nowych instalacji OZE, gdyż jest ich już za dużo jak na obecne możliwości naszych sieci przesyłowych i dystrybucyjnych. Przede wszystkim należy zrezygnować z budowy morskich farm wiatrowych, które nie dość, że same są drogie, to wymuszają jeszcze kosztowne inwestycje w nowe linie przesyłowe.

Budowa pierwszej i kolejnych elektrowni jądrowych powinna być kontynuowana. Jeśli w tym czasie pojawią się działające SMR-y, to tym lepiej. Zastąpienie elektrowni węglowych jądrowymi będzie możliwe nie wcześniej niż w latach 40.

Elektrownie gazowe także powinny być budowane, jednak powinny temu towarzyszyć intensywnie poszukiwanie i eksploatacja złóż gazu ziemnego, w tym łupkowego, na terenie Polski, by zredukować ryzyko związane z importem gazu.

Magazyny energii też trochę pomogą, ale kluczem do naszego bezpieczeństwa energetycznego jest podejście do węgla. Z jednej strony jeszcze długo nie będziemy się mogli bez niego obyć, z drugiej – opinie o nim są negatywne. Jedni myślą o emitowanym przy jego spalaniu CO_2, inni o stałym dopłacaniu do górnictwa i wysokich kosztach wydobycia na Śląsku.

Z punktu widzenia unikania uzależnienia od importu surowców energetycznych rodzimy węgiel jest bezkonkurencyjny. Aby nie zwiększać ryzyka związanego z importowanym gazem, powinniśmy maksymalnie wydłużyć pracę istniejących elektrowni węglowych oraz zatrzymać likwidację Bełchatowa, udostępniając mu złoże w Złoczewie.

Powinniśmy jednak zdecydowanie rozwijać energetykę konwencjonalną i iść dwa kroki dalej. Pierwszy z nich to budowa nowych elektrowni węglowych, o wiele łatwiejsza od budowy EJ. Drugi to budowa nowych kopalń węgla kamiennego w Lubelskim Zagłębiu Węglowym. Przedtem należałoby ostatecznie wyjaśnić przyszłość wydobycia węgla na Śląsku. Być może uda się wybrać kilka kopalń o lepszych warunkach geologicznych i niższych kosztach wydobycia, jednak cała reszta powinna zostać zamknięta. Przedłużanie kosztownej agonii śląskich kopalń nie powinno dłużej rzutować na ogólne przekonanie o niezwykle wysokich kosztach wydobycia węgla w Polsce. Koszty likwidacji powinny zostać poniesione osobno, otwierając drogę do powstania nowego górnictwa o strukturze i kosztach nieobciążonych historią nieudanych reform.

TRWAŁY ELEMENT SYSTEMU

Wiemy, że koszty wydobycia głębinowego nawet z płytszych niż na Śląsku i bezmetanowych złóż w LZW i tak będą wyższe niż w kopalniach odkrywkowych na świecie. Nie należy z tego wyciągać wniosku, że import węgla byłby lepszy od jego wydobycia w kraju, gdyż w takich rachunkach brakuje pozycji kosztu ryzyka zawsze związanego z importem i pozycji korzyści wynikających ze strategicznego bezpieczeństwa posiadania własnych surowców.

Również po uruchomieniu siłowni jądrowych elektrownie węglowe powinny pozostać trwałym elementem naszego systemu, gdyż tylko one zapewnią nam niezależność od importu gazu i paliwa jądrowego.

OZE nigdy nie zapełnią grożącej nam już wkrótce luki mocy. Magazynów energii o odpowiednich parametrach może jeszcze długo nie być. Na stały import energii nie można liczyć. Elektrownie jądrowe o wystarczającej łącznej mocy zobaczymy może za 20 lat, gazowe uzależnią nas od importu gazu, chyba że zaczniemy go wydobywać na terenie kraju o wiele więcej. A nowe kopalnie i nowe elektrownie węglowe możemy zbudować szybciej i taniej niż jądrowe.

Bez choćby tymczasowej rehabilitacji węgla kamiennego uniknięcie ograniczeń w dostawach prądu może nie być możliwe. W węglu jest nadzieja.

Blackout, który 28 kwietnia br. wydarzył się w Hiszpanii i Portugalii, podsuwa kolejny argument za utrzymaniem energetyki węglowej. Wirujące, ciężkie turbiny klasycznych elektrowni są w razie nagłej utraty mocy wytwórczych automatycznymi stabilizatorami systemu energetycznego. Ich inercja daje operatorom sieci czas na reakcję pozwalającą uniknąć załamania się całego systemu. Jeśli elektrownie węglowe miałyby być zastąpione przez gazowe, pracujące tylko wtedy, gdy będzie brakowało mocy z OZE, to ich turbiny nie będą wypełniały stabilizującej roli przez większość czasu. A wtedy mogłaby się u nas powtórzyć taka sama sytuacja, która zdarzyła się w Hiszpanii.

OZE nigdy nie zapełnią grożącej nam już wkrótce luki mocy

PSE i Ministerstwo Energii ogłosiły na początku września projekt „pakietu antyblackoutowego". Zawiera on pożyteczne propozycje, nie spełnia jednak zawartej w swojej nazwie obietnicy, gdyż w ogóle nie zajmuje się zapewnieniem wystarczającej mocy stabilnych źródeł, najprostszej ochrony przed blackoutem w czasach OZE.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest ekspertem Instytutu Sobieskiego.

eprasa.pl dce19a88a3

Zadyszka botów

Jacek Przybylski

Chociaż na rozwój sztucznej inteligencji wydaje się globalnie ponad bilion dolarów rocznie, a pierwszy bot ma już tekę ministra, to nie wszyscy cieszą się z wdrożenia AI. Ludzie już masowo tracą pracę, choć naukowcy ostrzegają, że w bardzo wielu firmach zastąpienie ludzi botami nie przyniosło oczekiwanych zysków

FOT. ADOBE STOCK

Czy sztuczna inteligencja (AI) zmieni rynek pracy? Czy zastąpi nie tylko tłumaczy i nauczycieli języków obcych, lecz także prawników, lekarzy, menedżerów i ministrów? Te pytania nie dotyczą już przyszłości. Automatyzacja na ogromną skalę przyspiesza z roku na rok na całym świecie, w tym również w Polsce. I chociaż przez lata wielu szefów uspokajało, że nie trzeba się bać AI, bo ona jedynie usprawni i ułatwi wykonywanie pracy, to dziś wielu menedżerów mówi szczerze: sztuczna inteligencja zagraża „ludzkim" miejscom pracy. Widać wyraźnie, że między bajki można włożyć zapewnienia, iż automatyzacja nie musi oznaczać zwolnień, a jedynie przesunięcie wszystkich do bardziej kreatywnych zadań.

Autorzy opublikowanego w połowie 2025 r. raportu „Generatywna sztuczna inteligencja a polski rynek pracy" szacują, że w Polsce zagrożona jest niemal jedna trzecia wszystkich stanowisk, czyli ponad 5 mln etatów. Według NASK najbardziej narażeni są pracownicy takich sektorów jak technologie teleinformatyczne (ICT), finanse czy usługi profesjonalne. To nie są przelewki. Aż 48 proc. kobiet w grupie wiekowej od 15 do 24 lat pracuje bowiem w zawodach, które mogą być zautomatyzowane (w przypadku mężczyzn wskaźnik ten wynosi 23 proc.). Rok temu eksperci Polskiego Instytutu Ekonomicznego (PIE) byli nieco bardziej optymistyczni. W raporcie „AI na polskim rynku pracy" prognozowali bowiem, że w 20 grupach zawodów najbardziej narażonych na zastąpienie pracowników przez AI pracuje 3,68 mln Polaków, w tym 2,16 mln Polek.

WIRTUALNI KONKURENCI

W Albanii w połowie września obecnego roku premier Edi Rama poinformował, że mianował pierwszą na świecie panią minister wygenerowaną przez sztuczną inteligencję. Będąca odporną na korupcję Diella – jej awatar przedstawia młodą kobietę ubraną w tradycyjny strój – ma zajmować się zamówieniami publicznymi. To właśnie ona ma podejmować decyzje w przetargach. Diella ma już pewne doświadczenie w administracji. Wcześniej pracowała jako wirtualna asystentka na platformie e-Albania. Mimo zawodowego doświadczenia (udział w obsłudze ponad miliona wniosków) formalnie nie może jednak objąć urzędu, bo zgodnie z konstytucją musi być pełnoletnia. Według zapewnień władz w Tiranie ma jednak rzeczywiście usprawnić rozstrzyganie przetargów i zapewnić, aby kraj ten stał się wreszcie „w stu procentach wolny od korupcji".

Polacy nie gęsi. Również mamy swojego „wirtualnego człowieka" od przetargów. TenderPro to platforma AI stworzona z myślą o automatyzacji obsługi zamówień publicznych przez dr Annę Budzanowską, byłą wiceminister nauki z ponad 20-letnim doświadczeniem w obsłudze przetargów. Bot TenderPro

eprasa.pl dce19a88a3

ma jasno określony cel: powstał, aby tworzyć oferty szybciej, taniej i skuteczniej, zwiększając w ten sposób szanse poszczególnych firm na wygrywanie w przetargach.

Pod wpływem AI rynek ma przejść największą transformację od wielu dekad. Promotorzy tak modnej dziś sztucznej inteligencji obiecują menedżerom i akcjonariuszom przede wszystkim znaczące zwiększenie wydajności przedsiębiorstw i obniżenie kosztów. I rzeczywiście. Przykładów firm, którym AI pozwoliła zaoszczędzić fortunę, jest już wiele. Amerykański gigant Microsoft Corp. pochwalił się w tym roku, że sukces we wdrożeniu sztucznej inteligencji pozwolił spółce zwolnić już kilkanaście tysięcy osób. Jak podał w lipcu 2025 r. Bloomberg News, tylko dzięki integracji sztucznej inteligencji w operacjach centrów obsługi telefonicznej Microsoft miał zaoszczędzić aż 500 mln dol. Oprócz tego Microsoft wykorzystuje sztuczną inteligencję do programowania – AI napisała ponad jedną trzecią kodu w nowych produktach spółki, co znacząco przyspieszyło wprowadzenie ich na rynek, a jednocześnie sprawiło, że tegoroczne zwolnienia dotyczyły głównie inżynierów oprogramowania (oprócz nich także członków zespołów pracujących nad rozwojem LinkedIn czy Xbox).

Według analityków banku Goldman Sachs w USA innowacje związane ze sztuczną inteligencją mogą doprowadzić do zwolnienia 6–7 proc. pracowników. Na możliwy „efekt AI" w Polsce zwracają również uwagę w najnowszym raporcie eksperci firm Grant Thornton i Element. Z dokumentu wynika, że na portalach rekrutacyjnych w sierpniu było o 13 proc. mniej ofert pracy niż w tym samym miesiącu roku 2024. Nie wiadomo, w jakim stopniu do mniejszej liczby ofert przyczyniła się rzeczywiście sztuczna inteligencja. Można jednak zauważyć, że z rynku pracy znikają oferty na stanowiska stażowe i juniorskie. Sztuczna inteligencja z pewnością sprawia, że maleje popyt na młodych programistów. – O tym, kto lepiej się sprawdza w realizacji danego zadania – człowiek czy AI – już niedługo będzie decydował koszt zużywanej energii. Wybór zostanie zredukowany do prostej alternatywy – co jest bardziej opłacalne. Jeszcze białko czy już krzem? – powiedział Adam Rudowski, twórca firmy Veracomp, cytowany przez magazyn „Forbes", zauważając, że przez sztuczną inteligencję w Krakowie „pracę traci masa ludzi, ale w kolejnych miesiącach będzie jeszcze gorzej".

Dzięki nowym narzędziom menedżerowie likwidują jednak nie tylko kolejne działy programistów, lecz także redaktorów serwisów internetowych czy korektorów w redakcjach (od tradycyjnej korekty w dużym stopniu odeszły już „Gazeta Wyborcza" i „Rzeczpospolita", w których wykorzystuje się obecnie programy oparte na AI). Rewolucja może także zagrozić specjalistom od SEO. Zdaniem ekspertów walka o klientów z wyszukiwarki Google przeniosła się do silników AI. Z wrześniowego raportu „Widoczność e-commerce w erze AI" wynika zaś, że AI może odebrać e-sklepom nawet 70 proc. dotychczasowego ruchu na stronach internetowych. Dużo ważniejsze od SEO stanie się więc GEO,

REKLAMA

eprasa.pl dce19a88a3

czyli Generative Engine Optimization – w tym przypadku najważniejsze jest budowanie wiarygodności marki na podstawie zweryfikowanych opinii klientów.

Specjaliści z dziedziny AI nie narzekają na brak zleceń. Miesięczne wynagrodzenia najlepszych z nich sięgają 40 tys. zł. Z raportu „2025 Global AI Jobs Barometer" opracowanego przez PwC wynika zaś, że ci pracownicy, którzy potrafią korzystać ze sztucznej inteligencji, zarabiają średnio o 56 proc. więcej niż ich współpracownicy, którzy takich kompetencji nie mają.

ILUZJA KONTRA RZECZYWISTOŚĆ

Szefowie wielu firm z entuzjazmem rozpoczynają kosztowne pilotaże, których celem jest zastąpienie ludzi (którzy nie potrafią pracować bez przerwy, a do tego chorują i żądają podwyżek) algorytmami sztucznej inteligencji. Pod koniec okresu testowego ci sami menedżerowie muszą jednak przyznać, że sztuczna inteligencja nie zdała praktycznego egzaminu. Szefowie, których firmy na drogich eksperymentach z AI straciły zarówno czas, jak i pieniądze, znów zaczynają cenić… ludzi.

Przesada? Wcale nie. Według badania S&P Global Market Intelligence z 2025 r., obejmującego ponad tysiąc firm z Ameryki Północnej i Europy, aż 42 proc. przedsiębiorstw zrezygnowało w tym roku z wdrożenia większości swoich inicjatyw w zakresie sztucznej inteligencji. To drastyczny wzrost w porównaniu z rokiem 2024, gdy wskaźnik ten wynosił zaledwie 17 proc.

Z opublikowanej w połowie 2025 r. analizy Rand Corporation wynika, że porażką kończy się ponad 80 proc. projektów ze sztuczną inteligencją. W sierpniu 2025 r. światem korporacyjnej sztucznej inteligencji wstrząsnął zaś raport prestiżowej amerykańskiej uczelni Massachusetts Institute of Technology (MIT). Jego autorzy zauważyli, że aż 95 proc. pilotaży wdrażających rozwiązania oparte na generatywnej sztucznej inteligencji (GenAI) nie przynosi istotnego wzrostu zysków firmom, w których zostały zaimplementowane. Duży zysk daje jedynie 5 proc. z nich. Kluczową przyczyną większości tych niepowodzeń jest tzw. luka uczenia. Upraszczając, chodzi o to, że wiele narzędzi takich jak ChatGPT podnosi efektywność pracy indywidualnych użytkowników, ale nie sprawdza się już tak dobrze na poziomie korporacji, ponieważ narzędzia te nie potrafią sprawnie się uczyć na przepływach danych w skali dużego przedsiębiorstwa. Z badania MIT wynika jednocześnie, że największe sukcesy odnoszą start-upy, które koncentrują się na rozwiązaniu jednego, bardzo konkretnego problemu. Autorzy raportu zwrócili także uwagę na to, że największy zwrot z inwestycji w narzędzia związane ze sztuczną inteligencją przynosi automatyzacja procesów biznesowych, umożliwiająca znaczące cięcie kosztów.

Przedsiębiorcy muszą także uważać, aby tnąc koszty, nie doprowadzić do cięcia przychodów. Z opublikowanego we wrześniu 2025 r. badania opinii przeprowadzonego przez brytyjską firmę Ventrica na grupie ponad 2 tys. konsumentów wynika, że zastąpienie wszystkich ludzi w call center przez boty AI może być kosztownym błędem. Badanie pokazało bowiem, że zaledwie 4 proc. pozytywnych doświadczeń w ciągu ostatniego roku zapewnił kontakt ze sztuczną inteligencją, natomiast aż 76 proc. z ludzkimi konsultantami. Ludzie wygrywają też wciąż na polu skuteczności: za skuteczną rozmowę z konsultantem uznało aż 87 proc. ankietowanych, a w przypadku botów skuteczność wynosi 53 proc. Najlepszym dowodem na niechęć klientów do obsługi przez boty jest zaś deklaracja klientów, że są gotowi wydać do 100 funtów więcej na kontakt z marką, która na infolinii zatrudnia dobrych konsultantów, a nie boty.

Niewykluczone, że to właśnie malejący entuzjazm związany ze sztuczną inteligencją sprawił, że kierowana przez Marka Zuckerberga Meta wstrzymała w sierpniu zatrudnianie pracowników do działu AI. W spółce matce popularnego Facebooka rozwiązaniu uległ już też zespół AGI Foundation, którego członkowie byli odpowiedzialni za rozwój tzw. Ogólnej Sztucznej Inteligencji. Celem było stworzenie AI, która byłaby co najmniej tak dobra w wykonywaniu zadań jak ludzie. Wyniki prac zespołu okazały się jednak o wiele gorsze, niż oczekiwano.

Kilka tygodni wcześniej raport zatytułowany „Złudzenie myślenia" („The Illusion of Thinking") opublikował Apple. Autorzy tego dokumentu chłodno podeszli do entuzjastycznych prognoz dotyczących właśnie wizji rozwoju tzw. modeli rozumowania, mających być kolejnym krokiem do stworzenia Ogólnej Sztucznej Inteligencji (AGI). Ogólny wniosek jest prosty: wprawdzie najnowsze modele AI świetnie radzą sobie z kodowaniem, pisaniem wypracowań czy rozwiązaniem zadań o średniej trudności, ale mają wciąż duże problemy z wyciąganiem wniosków i rozwiązywaniem trudnych zadań logicznych (takich jak np. piąty krążek w popularnej grze logicznej Wieża Hanoi). Zdaniem autorów raportu duże modele językowe potrafią symulować proces myślowy, ale teza o „rozumnych" maszynach pozostaje jedynie iluzją. To zaś oznacza, że sztuczna inteligencja nie jest jeszcze w stanie zastąpić ludzi w wykonywaniu zadań wymagających kreatywności, elastyczności i planowania.

Jakby tego było mało, eksperci ostrzegają też przed ryzykiem autodestrukcji modeli AI. Już w ubiegłym roku na łamach prestiżowego czasopisma „Nature" sześcioro naukowców zauważyło, że kolejne modele sztucznej inteligencji ulegają awarii podczas trenowania na danych generowanych przez wcześniejsze wersje tych samych modeli. Skutek: większe ryzyko, że najnowsze modele będą coraz bardziej oderwane od oryginalnych danych, „zapomną" o rzadkich i nietypowych informacjach, przez co zaczną błędnie interpretować rzeczywistość i stopniowo zatracać zdolność do wiernego odwzorowania prawidłowych danych.

Mimo gigantycznych inwestycji w sztuczną inteligencję inwestorzy mogą więc nagle stanąć przed barierą w rozwoju, której AI nie będzie w stanie na razie pokonać. Wówczas z hukiem pęknie giełdowa bańka z szalonymi wycenami spółek z sektora sztucznej inteligencji.

Mimo obserwowanej właśnie zadyszki botów technologie związane z AI zapewne nadal będą się rozwijać. Dobrze więc, że Polacy aktywnie biorą udział w tym wyścigu, że duże inwestycje związane ze sztuczną inteligencją pojawiają się także nad Wisłą i że mamy już polską rodzinę otwartych modeli językowych. Teraz czas, aby na polu AI powtórzyć sukces BLIK.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dce19a88a3

KSIĘGARNIA DO RZECZY

ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY

KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl dce19a88a3

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Prezydent nas obroni?

Bardzo się cieszę z twardej obietnicy Karola Nawrockiego – obietnicy złożonej, zanim został prezydentem – że nie podpisze żadnej ustawy podnoszącej podatki. To świetna wiadomość dla wszystkich Polaków – tym bardziej że polski fiskalizm jest już jednym z najbardziej dotkliwych dla obywateli, jeśli nie po prostu najbardziej dotkliwym w UE. I niedawno prezydent Nawrocki dał praktyczny dowód trzymania się tej swojej przedwyborczej obietnicy o braku zgody na podwyżki podatków – wetując ustawę o kolejnej podwyżce akcyzy na wyroby alkoholowe, po kilku wcześniejszych.

Polska najpewniej właśnie przekracza pod względem wydatków publicznych horrendalny poziom 50 proc. PKB. W każdym razie w żadnym innym kraju UE skok wydatków publicznych w ciągu ostatnich dwóch lat nie był tak wysoki jak w Polsce. W 2019 sięgały one u nas 41,4 proc. PKB, w 2024 r. – 49,4 proc., a w 2026 r. sięgną najpewniej aż 50,6 proc. PKB! W 2024 r. wydatki publiczne w Polsce w relacji do PKB po raz pierwszy w historii były wyższe niż średnio w UE i wciąż się pną. W 2024 r. wyprzedzało nas pod tym względem już zaledwie siedem, i to znacznie bogatszych od nas państw UE, w tym – minimalnie – Szwecja, którą w 2026 r. w tym niechlubnym rankingu najpewniej wyprzedzimy. I zadłużamy się z tego powodu w coraz szybszym tempie, właśnie przekraczając poziom 60 proc. długu w stosunku do PKB, czyli łamiąc konstytucyjny zakaz. Ale kto by się tym przejmował, prawda? A Komisja Europejska już wieszczy, że w 2035 r. nasz dług finansów publicznych przekroczy poziom 100 proc. PKB.

A zatem – powtarzam – bardzo się cieszę z obietnicy Karola Nawrockiego, że nie pozwoli podnosić podatków, wszelako nie mam wobec tego pojęcia, jak Polska zamierza wykaraskać się z sytuacji, w którą w ostatnich latach wpakowali ją rządzący nią politycy – najpierw ci z PiS, a teraz ci z Platformy? Jak zamierza uniknąć bankructwa, jeśli nie będzie podnosić podatków – bo na to nie zgodzi się prezydent Nawrocki, ani zmniejszać wydatków, np. na rozdęty system zasiłków rodzinnych „800+" i rozdęte wydatki emerytalne w postaci osławionych 13. i 14. emerytur – bo i na to zapewne prezydent Nawrocki nie przystanie? Albowiem – mocno się obawiam – zalecane rządowi przez Karola Nawrockiego uszczelnienie systemu podatkowego nie wystarczy – i to dalece nie wystarczy – by zaradzić gigantycznemu problemowi, który sprowadzili na nasze głowy wszyscy nieodpowiedzialni politycy, na czele z premierami Morawieckim i Tuskiem.

Czy prezydent Nawrocki ma na to jakiś pomysł? Jeśli tak, to warto, żeby się nim podzielił z opinią publiczną. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Trump po nowemu

Donald Trump oznajmił w swoim wystąpieniu przed Zgromadzeniem Ogólnym Organizacji Narodów Zjednoczonych, że zawiódł się na Władimirze Putinie. „Myślałem, że to będzie najprostsze z moich zadań ze względu na moją bardzo dobrą relację z Putinem" – powiedział prezydent USA o swojej największej dyplomatycznej porażce, którą jest bez wątpienia niedoprowadzenie do pokoju między Kijowem a Moskwą.

W żadnym momencie Donald Trump nie realizował polskiego interesu. Realizował interes amerykański, który mógł być w pewnych punktach zbieżny, a w innych sprzeczny z polskim

Jak to Trump – prezydent USA postanowił wykonać woltę i nagle postawił pod ścianą choćby sprzyjające mu Węgry, domagając się, aby m.in. one (ale przecież nie tylko, bo dotyczy to również Niemiec) przestały kupować węglowodory od Rosji. Oznajmił także, że jego zdaniem Ukraina może odzyskać całość swoich zajętych przez Rosję terytoriów – co jest w oczywisty sposób niewykonalne. O co tu chodzi?

Otóż o nic innego niż zwykły Trumpowski modus operandi, polegający na wielokrotnych i błyskawicznych zmianach orientacji, planów, decyzji. Widzimy to przecież od początku kadencji. Dotychczasowe metody wpływania na Rosję nie przyniosły efektu – jako że Moskwa uznaje nie bez racji, że wojnę bardzo powoli, ale jednak wygrywa, przeto nie opłaca jej się godzić na jej zakończenie – trzeba wypróbować zatem inny sposób działania. Jeżeli to nie zadziała, to może nastąpi jakieś kolejne salto.

W Polsce w takich wypadkach brak zwykle refleksji, za to następują spektakularne zmiany frontu. Można założyć, że o ile Trump utrzyma swoją aktualną linię dłużej niż tydzień, o tyle za jakiś czas staniemy się świadkami pochwał pod jego adresem, formułowanych przez polityków obecnego obozu władzy.

Nas tymczasem powinien obowiązywać chłodny realizm. W żadnym momencie Donald Trump nie realizował polskiego interesu. Realizował interes amerykański, który mógł być w pewnych punktach zbieżny, a w innych sprzeczny z polskim. Jedno powinno być jasne: nie jest dla nas korzystne, jeśli swoją nową, asertywną wobec Moskwy politykę USA będą chciały realizować bezpiecznie zza oceanu – polskimi rękami. ©℗

eprasa.pl dce19a88a3

REPUBLIKA

Tomasz Sakiewicz wspólnie z zaproszonymi do studia ekspertami, dziennikarzami i politykami podsumowuje najważniejsze wydarzenia mijającego tygodnia. Zobaczymy także, jakie tematy zdominowały polskie media społecznościowe.

www.radiotvrepublika.pl Telewizja Republika @RepublikaTV RepublikaTV @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl dce19a88a3

Proroctwa Giorgia Armaniego

Joanna Bojańczyk

Jego styl, neutralny i delikatny, podobał się wszystkim. Z bezbłędnym wyczuciem ducha czasu uczył celebrytów oraz zwykłych ludzi, jak się ubierać

Twarz opalona na mahoń, granatowy T-shirt, w bardziej uroczystych sytuacjach zamieniany na marynarkę, a jak trzeba, na smoking, białe sportowe buty. Atletyczna sylwetka, nieskazitelne zęby, siwe włosy, które – jak się okazuje – wcale nie muszą postarzać, a nawet dodają lekkości. Trudno było uwierzyć, że tak wygląda 80-latek. Giorgio Armani lubił się pokazywać, wiedział, jaki wzbudza efekt, jak jest podziwiany. Wydawał się wieczny, jak grecki posąg.

Pracował do końca, a zmarł w wieku 91 lat.

„Nie jestem żadnym kreatorem, tylko skromnym robotnikiem" – mówił kokieteryjnie. Może i szczerze, chociaż niejeden robotnik chciałby mieć cztery rezydencje we Włoszech. Lub chociaż jedną…

Z podobną kokieterią przyznawał, że został projektantem mody przez przypadek. Sytuacja niewyjątkowa – w tej branży dzięki przypadkowi sukces odniósł niejeden z jego znanych kolegów... On sam miał studiować medycynę, ale studia rzucił, bo trzeba było zarabiać na życie.

Po drugiej wojnie światowej Europa przeżywała ciężkie czasy; kto widział „Złodziei rowerów" lub inny film kina włoskiego neorealizmu, wie, jaka była bieda. Rodzina Armanich mieszkała w niedużym mieście Piacenza, senior rodu pracował jako księgowy, matka – Maria Raimondi – zajmowała się domem i trojgiem dzieci: Sergiem, Giorgiem i najmłodszą Rosanną. Na niedzielny obiad podawano tortellini alla piacentina. „Mama była moim wzorem elegancji i dyscypliny" – powie Giorgio wiele lat później.

W pierwszej pracy – dekoratora wystaw w domu towarowym Rinascente – poznali się na jego wyczuciu, a może i talencie. Dwudziestoparolatek szybko awansował jako projektant do biura stylu. Młodym człowiekiem zainteresował się Nino Cerruti, król włoskiej mody męskiej tamtych czasów.

NIEGRZECZNOŚĆ GARNITURU

Właśnie w Rinascente Giorgio spotyka swego przyjaciela i miłość życia – Sergia Galeottiego. We dwójkę, dysponując niewielkim budżetem w dwupokojowym mieszkanku pod Mediolanem, startują z własną marką. W życiu i w biznesie pozostaną razem do roku 1985, kiedy Galeotti umrze na AIDS.

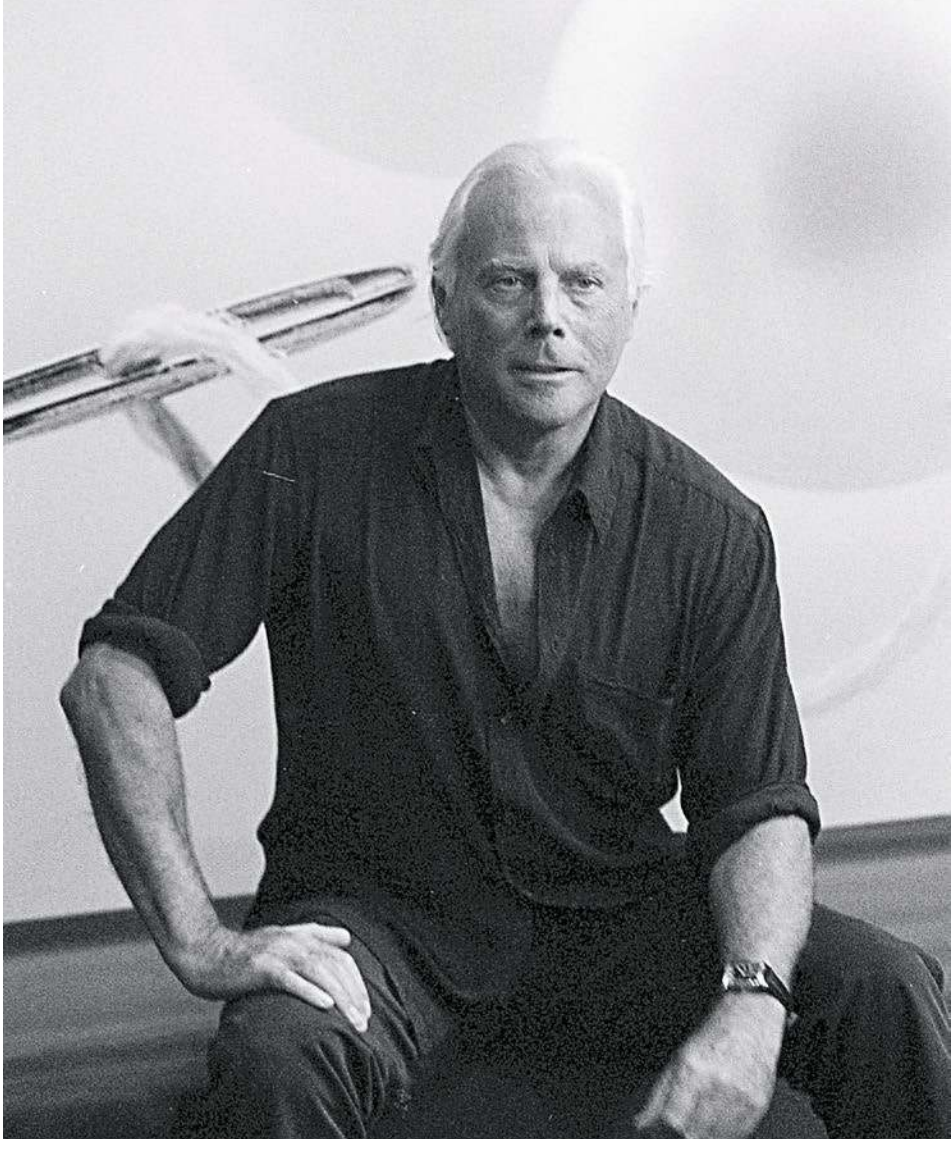

FOT. IPAW/BACKGRID/EAST NEWS

eprasa.pl dce19a88a3

Kolosalne budżety reklamowe gwarantowały, że żaden dziennikarz nie ośmieliłby się skrytykować jego kreacji

Pierwsza kolekcja Armaniego pojawiła się w roku 1975 w niełatwych dla mody czasach. Ruch hipisowski wysadził w powietrze dotychczasowe zasady i wprowadził ubranie męskie w okres dekonstrukcji. Hipisi w hinduskich koszulach, pobrzękując paciorkami, nawoływali do podważania schematów. Aż się prosiło, aby zastąpić czymś nowym pamiętający lata 30. pancerny garnitur z wywatowanymi ramionami, dwurzędową marynarką i szerokimi spodniami. Ale żeby od razu luźną marynarką bez poduszek na ramionach, bez podszewki? Z rękawami wywiniętymi, gdy gorąco... Herezja. Trzeba było się odważyć, żeby z czymś takim wystąpić. Ale chwyciło, bo było lekkie, luźne, pozwalające na swobodę ruchów.

Zachęcony sukcesem rewolucyjne nowości dla mężczyzn Armani wprowadza do ubrania kobiecego.

Wyprzedził swój czas. W latach 80., kiedy Zachód przeżywał boom gospodarczy, giełda stała wysoko, kobiety wspinały się po drabinie stanowisk. Każda chciała być jak filmowa working girl – Julia Roberts. Dziewczyna, która do pracy jeździła metrem i nie przypominała bohaterki „Dynastii" wystrojonej w pancerne marynarki z poduszkami nadające jej wygląd wojownika.

Kolekcje Armaniego, które nadeszły z Włoch do Ameryki, wyrażały ten nastrój. Dominował w nich kolor „greige" – skrót z połączenia: gris i beige, po francusku szary i beżowy. Greige stał się znakiem firmowym mistrza i kluczem do sukcesu. Był neutralny, delikatny, pasował do wszystkiego. Okres popularności celebrytów wkraczał w fazę początkową. Kobiety nie lubiły „power dressing". W tych mundurach czuły się jak tryby maszyny, nie jak kobiety.

GARNITUR RICHARDA GERE'A

Giorgio miał nosa nie tylko do stylu, lecz także do marketingu. To on zapoczątkował ideę rozdawania ubrań sławnym osobom, osobom publicznym. Modelka i aktorka Lauren Hutton wcieliła się w rolę żony senatora w filmie „Amerykański żigolak" (1980), który wyprowadził projekty Armaniego do szerszej publiczności. W tamtych czasach marketing mody nie działał tak jak dziś. Projektanci nie rozdawali ubrań za darmo influencerom. Okres popularności celebrytów wkraczał w fazę początkową. Jednak współpraca z gwiazdami i wtedy była ważna.

Armani włączył się w ten ruch z rozmachem. Gwiazdy zrozumiały, że toalety, w których pojawiają się na rozdaniach nagród, zwiększają ich popularność. Moda stawała się powoli częścią masowej rozrywki, równie ważną dla mężczyzn, jak dla kobiet. Który młody mężczyzna nie marzył wtedy o luźnym garniturze Richarda Gere'a z „Amerykańskiego żigolaka", który urósł do rangi kultowego filmu tamtych czasów?

Armani ubiera Kim Basinger, Roberta De Niro, Stevena Spielberga, Julię Roberts, Michelle Pfeiffer, Jodie Foster. Sam stroni od kamery, postrzegając siebie nie jako aktora w „filmie życia", a raczej jako jego ducha przewodniego. Jak przyznał w „Made in Milan" (1990), 20-minutowym dokumencie o sobie w reżyserii Martina Scorsesego, kino zawsze było jego prawdziwą miłością. „Chciałbym być reżyserem" – powiedział wtedy. „Namiętność wciąż płynie w mojej krwi" – dodał.

KORPORACYJNA SZKÓŁKA STYLU

Symbioza celebrytów i mody jest dziś tak zinstytucjonalizowana, że nikogo nie zaskakuje widok aktorek występujących dla projektantów jako dobrze opłacane firmy. Armani był jednym z pierwszych, którzy tak do tego podeszli. Stworzył nawet w Hollywood korporacyjny przyczółek, który miał wyłapywać i zaspokajać estetyczne gusty i potrzeby ważnych uczestników show-biznesu.

„Byłem jednym z pierwszych projektantów, którzy ubierali gwiazdy na ekranie i poza nim" – powiedział brytyjskiej gazecie „The Telegraph" w 2013 r. I dorzucił: „Nie zawsze miały wyczucie stylu, które pozwalało wiedzieć, co włożyć na daną okazję. Pomagałem im czuć się pewniej i swobodniej".

Ubrana w pudroworóżowy garnitur wieczorowy i satynowe rękawiczki od Armaniego na galę rozdania Oscarów w 1992 r. aktorka Jodie Foster – która do tej pory nie była dla nikogo synonimem mody – zdobyła Oscara i nagle znalazła się na Międzynarodowej Liście Najlepiej Ubranych. Gwyneth Paltrow, Cate Blanchett, Sophia Loren, Julia Roberts, Beyoncé, Lady Gaga, Cindy Crawford i Glenn Close pojawiały się w bogato zdobionych koralikami, haftowanych i dopasowanych do figury strojach wieczorowych. Russell Crowe i George Clooney stroili się w nienaganne smokingi.

„Armani ofiarował gwiazdom filmowym nowoczesny sposób na wygląd" – powiedziała Anna Wintour, długoletnia redaktor naczelna magazynu „Vogue". Bardziej trafnie można powiedzieć, że nadał im staromodny styl, nawiązujący do Złotej Ery Hollywood.

Pod koniec lat 80. moda marketingowa pożera kolejne kawałki rynku, który zachłannie pragnie nowości. Właściciele firm czują, że zwiększyć sprzedaż można, tylko obniżając jakość i uruchamiając maszynerię marketingu. Armani czuje tego bluesa. Na fali sukcesu w roku 1985 uruchamia tańszą linię Emporio Armani. To już nie to, co oryginały, to „tani Armani". Wartość „prawdziwych" kreacji polega na prostym kroju i luksusowych materiałach. Jedwab, kaszmir, wełna, len – w głównej linii nie idzie się na skróty. Emporio to masówka, która mniej zamożnemu klientowi daje iluzję luksusu.

Wtedy, w połowie lat 80., Giorgio jest już sam, Galeotti zmarł. Rozpacz po stracie nie osłabia u niego pragnienia podboju dalszych terytoriów. W roku 1989 otwiera pierwszą restaurację, zaraz potem linię artykułów dla domu, a w 2005 r. atakuje sam szczyt systemu fashion.

Z linią Armani Prive zamierza zdobyć przywództwo w systemie mody najwyższych lotów i najwyższych cen. Konkurować z Karlem Lagerfeldem i Valentinem Caravanim, którzy rządzą rynkiem mody twardą ręką. Później okaże się, że można było zjechać jeszcze niżej. Armani Express to już fast fashion w całej okazałości.

Rodzinna firma Armaniego w 2023 r. osiągnęła przychody w wysokości 2,65 mld dol. Kolosalne budżety reklamowe gwarantowały, że żaden dziennikarz nie ośmieliłby się skrytykować jego kreacji. Niewzruszona pewność siebie okazała się uzasadniona, gdy w ostatnich latach wahadło przechyliło się znowu w stronę stylu lat 80. Armani ponownie okazał się prorokiem stylu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl dce19a88a3

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Zapomniana bitwa pod Wyszecinem

Wyszecino to wieś leżąca na Pomorzu, mniej więcej w połowie drogi między Gdynią a Lęborkiem. W kwietniu 1734 r. stało się miejscem bitwy pomiędzy konfederatami a armią moskiewską. Bitwa przegrana przez nas była przykrym świadectwem upadku jazdy polskiej, który postępował już od początku wieku. Doszło do niej, kiedy regimentarz Jan Tarło dowodzący chorągwiami pospolitego ruszenia chciał połączyć się z Francuzami wspierającymi nieuznawanego przez Rosję króla Stanisława Leszczyńskiego i przebywającymi w pobliżu Pucka. Miał pod swoimi rozkazami ok. 8 tys. jazdy, co stanowiło znaczną siłę. Niestety, tylko na papierze. Tarło, który napotkał pod Tucholą korpus jazdy rosyjskiej gen. Artemija Zagriażskiego, rozpoczął z nim pertraktację, chcąc zyskać na czasie. Niespodziewanie spod Gdańska obleganego przez Moskwę przybył gen. Piotr Lacy z ok. 5 tys. jazdy – Kozaków, konnych grenadierów i dragonów. Zaatakował konfederatów od razu.

RYS. OBA

O bitwie nie zachowało się zbyt wiele przekazów, najlepiej zrekonstruował ją Konstanty Górski w „Historii jazdy polskiej". Otóż Tarło, dowiedziawszy się o następowaniu przeciwnika, zajął pozycje na południe od wsi, zwrócony frontem także ku południu. Stamtąd maszerowali na niego Rosjanie – najpierw Kozacy i trzy kompanie grenadierów konnych, za nimi cztery pułki dragonów konno na lewym skrzydle i dwa pułki spieszone na prawym. Inne dwa konne pułki dragonów pozostawały w odwodzie.

Polacy zaatakowali ponoć pierwsi, ale pomimo, że mieli przewagę liczebną, po dłuższej walce zostali pokonani. Straty przeciwnika były duże i sięgały nawet 1 tys. ludzi. „Pokazuje się stąd – pisał Górski – że Polacy nie stracili jeszcze zupełnie serca, jeśli mieli śmiałość atakować nieprzyjaciela regularnego i ćwiczonego w otwartym polu, i widać, że się bili energicznie i wytrwale, jeśli nieprzyjaciel poniósł tak znaczne straty". Niestety, walki konfederacji, zawiązanych w obronie Stanisława Leszczyńskiego wybranego w poprzednim roku na króla, obnażyły niezwykle niską wartość bojową nie tylko pospolitego ruszenia, lecz także regularnych chorągwi komputowych. Jazda polska, która jeszcze 40 lat wcześniej biła Turków i Tatarów, nie była w stanie złamać regularnych formacji moskiewskich, saskich i austriackich. Interwencja wojskowa, w której brały udział wojska rosyjskie i saskie, obnażyła prawdziwe intencje sąsiadów – Rzeczpospolita straciła niepodległość, a szlachta nie mogła już dowolnie wybierać władcy. Była to zarazem klęska systemu obrony kraju w oparciu o pospolite ruszenie i lokalne konfederacje. Pół roku wcześniej, w listopadzie, dowodzący szlachtą krakowską i sandomierską Jan Tarło został pobity przez armię saską pod Tarnowskimi Górami. Jedynie kilka dni po bitwie pod Wyszecinem udało się piechocie koronnej rozbić pod Miechowem znaczny oddział Sasów. Było to jedyne zwycięstwo w wojnie o sukcesję pokazujące, że w nielicznej armii Rzeczypospolitej jedynie piechota zachowała sprawność bojową.

Niestety, wojska konfederatów poniosły 20 kwietnia kolejną porażkę na Pomorzu – zostały rozbite pod Puckiem i musiały wycofać się pod Chojnice. To zwycięstwo umożliwiło Moskwie dokończenie oblężenia Gdańska, który został zdobyty, mimo że na Westerplatte wylądował w maju korpus francuski liczący 2,5 tys. piechoty. Król Stanisław Leszczyński, który ukrywał się w mieście, uciekł w przebraniu chłopa do Prus. W kraju 5 listopada zawiązano w Dzikowie pod Tarnobrzegiem konfederację generalną w obronie króla. Niestety, oddziały konfederackie walczyły niecały rok. Wkrótce Adam Tarło poniósł bowiem porażkę, chcąc przenieść działania wojenne na teren Saksonii – został rozbity pod Krosnem Odrzańskim. W październiku 1735 r. Francja zawarła pokój z Austrią i wycofała się z popierania sprawy Leszczyńskiego, który abdykował po raz drugi w życiu, 26 stycznia 1736 r., zwalniając poddanych z przysięgi. Już po wygaśnięciu oporu na terytorium Rzeczypospolitej i uznaniu za króla Augusta III Sasa na sejmie pacyfikacyjnym w lipcu armia rosyjska ruszyła na zachód – do walki z Francją. W 1735 r. korpus gen. Piotra Lacy dotarł nad Ren, po raz pierwszy w historii zagrażając krajom Europy. Kiedy nie stało silnej Rzeczypospolitej, Rosjanie coraz śmielej próbowali odgrywać rolę żandarma Europy. ©℗

eprasa.pl dce19a88a3

CUPRA LEON

FOT. JAP

Drapieżnie zarysowany przód z ostrymi liniami osłony chłodnicy, obudowy lusterek z włókna węglowego, matrycowe reflektory LED MATRIX z przodu, tylna listwa z podświetlonym logo marki oraz aluminiowe felgi z miedzianymi akcentami – to cechy Leona po liftingu, który nadał mu prawdziwie sportowy charakter. Zwłaszcza w matowym lakierze ten hatchback hiszpańskiej marki wygląda niczym drapieżny hot hatch, choć w podstawowych wersjach silnikowych pod względem dynamiki Leon już taki supergorący wcale nie jest.

Do wyboru jest wiele jednostek napędowych: od benzynowych z manualną skrzynią biegów za 113,3 tys. zł, poprzez hybrydę mHEV i Plug-In, do dwulitrowych jednostek (benzyna i diesel). W najmocniejszej wersji VZ Leon z silnikiem 2.0 TSI skrywa pod maską moc 300 KM. Testowany wariant miał pod maską silnik o pojemności 1.5 eTSI, a moc 150 KM oraz 250 Nm maksymalnego momentu obrotowego, który wspierany jest przez układ miękkiej hybrydy. Do tego automatyczna, siedmiobiegowa skrzynia DSG. Auto w tej konfiguracji asfaltu może nie zrywa (sprint od zera do pierwszej setki zajmuje mu 8,7 s), ale za to wygląda dynamicznie i kosztuje w promocji… 130,8 tys. zł (do modnego Magnetic Tech trzeba jednak dopłacić jeszcze kilkanaście tys. zł). Prędkość maksymalna wynosi 215 km/h. Wspomniana wersja z 300 konikami to już wydatek 171,5 tys. zł, a Leon VZ z napędem 1.5 e-Hybrid o mocy 272 KM kosztuje 192,1 tys. zł.

Nawet w najsłabszej wersji silnikowej Cupra Leon potrafi dać frajdę z jazdy. Precyzyjny układ kierowniczy, szybka automatyczna skrzynia biegów oraz dość sztywne zawieszenie sprzyjają dynamicznemu pokonywaniu serpentyn. Jeśli ktoś jednak liczy na prawdziwie sportowe emocje, to powinien wybrać wersję z większą liczbą koników pod maską.

A co ze spalaniem? Podczas jazdy w korkach spalanie wynosi ok. 8 l/100 km, na autostradzie 7,8–7,9 l/100 km, a podczas oszczędnej jazdy drogami krajowymi apetyt Leona na paliwo można obniżyć do średnio 5 l/100 km.

Podczas ostatniej metamorfozy tego modelu konstruktorzy znacząco poprawili też wnętrze Leona, który bardzo mocno różni się już od swego starszego brata ze znaczkiem Seata. I nie chodzi tylko o mnogość miedzianych akcentów. Nowy 12,9-calowy ekran systemu multimedialnego działa sprawnie, bez problemu łączy się też bezprzewodowo ze smartfonami Android oraz tymi z systemem iOS. Jakość wykończenia jest na wysokim poziomie. Na szczególną pochwałę zasługują kierownica z przyciskiem do szybkiej zmiany trybów jazdy oraz bardzo wygodne przednie fotele kubełkowe. Pasażerowie z tyłu podróżują mniej komfortowo, ale nie powinni narzekać na brak miejsca na nogi. Dużo gorzej jest z przestrzenią w bagażniczku, który ma tylko 380 l pojemności (po złożeniu tylnej kanapy przestrzeń załadunkowa rośnie do 1301 l – jak na auto mierzące 4398 mm długości tragedii zatem nie ma).

DREAME AQUA 10 ULTRA ROLLER COMPLETE

Bardzo wysoka moc ssania, zaawansowany system inteligentnego mopowania, świetny system nawigacji, higieniczna samoczyszcząca stacja dokująca, minimalistyczny design, protokół Matter oraz brak konieczności niańczenia robota – to największe zalety nowego modelu chińskiej marki Dreame, który ma poważne szanse na tytuł najlepszego robota sprzątającego roku 2025.

Dreame Aqua10 Ultra Roller swoją premierę miał we wrześniu 2025 r. na berlińskich targach IFA. Zaledwie tydzień później trafił już do oferty polskich sklepów. Robot ma 98 mm wysokości, a po wysunięciu kopuły Versalift z laserowym czujnikiem LiDAR i dwoma kamerami z diodą doświetlającą rośnie do 120 mm. Wieżyczkę robot automatycznie chowa, dzięki czemu sprawnie odkurza również pod łóżkiem i różnymi meblami. Potrafi on również przechodzić przez wysokie progi, a także sprawnie czyścić nawet grube dywany (bez ryzyka ich zamoczenia).

Moc ssania wynosi aż 30 000 Pa. Dreame unowocześniło też technologię mycia podłóg. Wałek mopujący pracuje z prędkością 100 obr./min i jest na bieżąco nasączany wodą z detergentem poprzez 12 dysz, oczyszczany w czystej wodzie i wyżymany. Wałek potrafi też wysuwać się na bok robota, aby skutecznie sprzątać blisko krawędzi. Docisk do podłoża wynosi ok. 1,2 kg. Efekt? Naprawdę czysta podłoga.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Plusem jest też prosta obsługa. Robot błyskawicznie i bezbłędnie tworzy mapę mieszkania/piętra domu. W aplikacji można ustawić kalendarz sprzątania konkretnych pomieszczeń oraz wyznaczyć robotowi wirtualne granice. Najfajniejsze w tym modelu jest jednak to, że Dreame Aqua10 Ultra Roller Complete niemal nie wymaga obsługi. Robot automatycznie opróżnia w stacji bazowej kurz, sierść etc. do worka o pojemności 3,2 l. Stacja wyposażona w dwa zbiorniki (na wodę czystą i brudną) czyści również wałek w temperaturze 100 st. C i suszy gorącym powietrzem – taki system według producenta zabija 99,99 proc. bakterii.

Dzięki systemowi AstroVision NVIDIA nawigacja w tym modelu działa niemal perfekcyjnie. Robot sprawnie unika kolizji z meblami, a także skutecznie omija porzucone na podłodze kable od ładowarek, kapcie, zabawki etc.

Wady? Asystent głosowy nie zna jeszcze polskiego i trzeba do niego mówić po angielsku. Robot może się też okazać zbyt wysoki, aby mógł wjechać pod niektóre meble.

Cena: 5599 zł.

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl dce19a88a3

MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Danie z Walencji

Ostatnio odwiedziłyśmy Andaluzję i rozumiemy już, dlaczego tak gremialnie Polacy kupują tam mieszkania, apartamenty i domy. Klimat stworzony jest wprost do wypoczynku. Wspaniałe słońce, piękna przyroda, urokliwe miasteczka i wspaniałe jedzenie. A Hiszpanie potrafią docenić smak i wspólne posiłki przy stole. Są tacy, którzy aby zjeść znakomitego tuńczyka, potrafią jechać kilkadziesiąt kilometrów do położonej wśród bloków restauracji El Campero w przeciętnym skądinąd miasteczku Barbate nieopodal Kadyksu. Stolik w niej trzeba rezerwować z wyprzedzeniem. Tradycje połowu i przetwórstwa ryb sięgają tutaj czasów rzymskich. Jednak ryby najlepiej smakują, gdy są świeże, dlatego nie zaproponujemy wam morskich rarytasów.

Natomiast na chłodniejszy już październik polecamy hiszpańską paellę. To tradycyjne i zarazem jedno z najbardziej ulubionych dań Hiszpanów pochodzi z Walencji. Przygotowuje się je z odpowiedniego rodzaju ryżu arborio i na odpowiedniej płaskiej patelni, która się nazywa paellera. Obowiązkową przyprawą jest szafran, nadaje on potrawie piękny złoty kolor i jest elementem kuchni orientalnej Bliskiego Wschodu. To pamiątka po czasach, gdy na południu Półwyspu Iberyjskiego byli Arabowie.

Propozycji przygotowania paelli jest sporo. Można ją podać z owocami morza, to najbardziej popularna wersja, a także z kurczakiem, królikiem, ostrą kiełbasą czy z samymi warzywami. Danie to jest bardzo sycące i pożywne, niegdyś przygotowywano je dla ciężko pracujących robotników, którzy po prostu musieli się solidnie najeść przed ciężką pracą.

U nas serwowana rzadko zapewne dlatego, że jej przygotowanie wymaga czasu, zaangażowania i cierpliwości. Ale efekt jest niebiański.

My proponujemy prostą paellę z kurczakiem. Pamiętajmy o najważniejszej zasadzie – ryż musi być odpowiedni, krótki lub średnio długi, tak aby dobrze wchłaniał płyn, bo paella to głównie ryż. I uwaga jeszcze ważniejsza – ryż nie może być mieszany, bo wówczas zrobimy włoskie risotto, a nie hiszpańską potrawę.

Paella z kurczakiem

• 2 filety z kurczaka, ok. 500 g • 1 cebula • ½ główki czosnku • 1 puszka pomidorowej pulpy • papryka • 1 opakowanie mrożonego groszku lub 1 puszka kukurydzy • garść natki pietruszki • 1 litr świeżego bulionu drobiowego lub 2 kostki dobrej jakości bulionu ekologicznego • 1,5–2 szklanki ryżu arborio (ok. 300 g) • 1/3 szklanki oliwy z oliwek hiszpańskiej • przyprawy: sól, pieprz, słodka, papryka, szafran lub zamiennie kurkuma, wszystko do smaku (jedynie szafran jest bardzo intensywny, więc dodajmy 1/3 łyżeczki do herbaty)

Cebulę i paprykę kroimy w piórka, kurczaka w drobną kostkę. Rozgrzewamy oliwę, podsmażamy cebulę, czosnek przeciśnięty przez praskę, paprykę, groszek i kukurydzę. Smażymy ok. 10 min. Następnie dodajemy pomidory z puszki, wszystkie suche przyprawy, pokrojonego kurczaka i ryż oraz rozkładamy równomiernie na całej powierzchni patelni. W tym czasie rozpuszczamy kostki rosołowe i powstały bulion dolewamy do patelni w minimum dwóch turach. Gotujemy ok. 20 min, aż do miękkości ryżu. Gotowanie ma być na małym delikatnym ogniu. Smacznego! ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Coś słodkiego

Obok ogłoszeń prawników (jeśli masz wypadek, konflikt z prawem, dług – skontaktuj się z nami!) na amerykańskich drogach zauważyłam anons nowej fali.

„Chcesz się pozbyć obwisłej skóry po schudnięciu?" – zapytuje na przydrożnym billboardzie ogłoszeniodawca i odpowiada: „Zadzwoń do nas".

O problemie otyłości w Stanach Zjednoczonych wiemy już wszystko – choroba rozwiniętego kapitalizmu dotyka tam połowy populacji. Ale ostatnio, gdy pojawiły się cudowne leki Ozempic i Wegovy, pojawiła się również nadzieja na zmianę.

Jednak rozglądając się po amerykańskim pejzażu, można skonstatować, że nie wszyscy zdecydowali się na dietę. Podróżując przez trzy tygodnie po wybrzeżach Wschodnim i Zachodnim, odniosłam wrażenie, że 50 proc. grubasów to ocena zaniżona. Obserwując ulicę, widzisz defilady grubasów. A przecież jest to kraj, który na każdym kroku urzędowo zdaje się dbać o zdrowie swoich obywateli. Wszędzie tabele kaloryczności, porady medyczne w gazetach, wokół zasuwają tabuny biegaczy, a strój do ćwiczeń, tzw. athleisure, czyli krótkie majtki legginsowe i dopasowany do nich stanik, nosi się normalnie na ulicy, tak jak w Europie sukienki czy dżinsy.

Ale jak ma obywatel amerykański nie utyć, skoro całe jedzenie jest tu posłodzone syropem kukurydzianym? Na śniadanie w hotelu dostajesz słodkie pankejki polane syropem klonowym. Do tego jest chleb, czyli maszynowa biała wata pokrojona w kwadratowe plastry, również słodki. Naszym ratunkiem na śniadanie najbardziej przypominające to z Europy był Starbucks, skądinąd też amerykański. Ale przynajmniej tam wszystkiego nie zasładzają.

W Kalifornii mijaliśmy kilometry sadów pomarańczowych, jabłkowych, brzoskwiniowych, lecz nie było ani jednego stoiska, gdzie by można owoce kupić prosto z drzewa.

W okolicach Płońska, przy siódemce na Bydgoszcz, rozkładały się, jak dawno pamiętam, stragany z malinami i truskawkami. W sezonie oczywiście niektórzy sprzedawali owoce prosto z samochodu. Teraz jest tam wszystko rozwalone z powodu budowy nowej drogi i dobrze, jak się nie zabłądzi w plątaninie objazdów. Dalej, na Mazurach, w lasach przy drodze, zawsze można było kupić grzyby. Teraz, w sezonie, też są.

Tamto wszystko przyjdzie i do nas, tylko kwestia kiedy. – Pierwsze jaskółki Mercosur – powiedział pan Bojańczyk, wyjmując z torby z Biedronki stek z wołowiny black angus. Argentyna ante portas. – A kiedy pankejki? – pytam się ja. Nadchodzi to wszystko i do nas. Przyzwyczajajcie się do badziewnego jedzenia. ©℗

eprasa.pl dce19a88a3

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Wyspy próżnej nadziei

Człowiek sobie pojedzie od wielkiego dzwonu na urlop, by odpocząć „od tego wszystkiego", a tu i tak „nowa normalność" dogoni. I to nie dlatego, że dogonią cię jakieś fale radiowe czy internetowe, tylko sam zaczniesz po paru dniach grzebać w ułudzie, że musisz być jakoś poinformowany. Ale to hipokryzja, bo sami sięgamy po tę używkę, wkładając bose stopy zamiast do błękitnego morza to do ścieku wylewającego się z mediów. Tak to jednak jest z nałogami.

Pływałem z kolegami po Chorwacji. Wyzwanie trudne, bo łódka jest jak cela – nawet jak jeden osobnik szwankuje, to nie da się wytrzymać i trzeba zresetować układ albo całkowicie, albo jednoosobowo. Teraz było jednak całkiem dobrze. Ale mnie zafrapował jeden powtarzalny obrazek – jak sobie tak pływaliśmy, widać było tysiące wysp i wysepek, co druga to bezludna, a większość reszty zaludniona pojedynczymi domkami, czasami tylko prostymi, ze zbiornikiem wody deszczowej, panelem słonecznym generującym 12 V i łódeczką jako jedynym kontaktem z cywilizacją. Nazywa się te domki robinsonadami, jakby to była lokalizacja samotnika rozbitka.

Pierwsza myśl była taka (człek już jest w takim wieku), że to atrakcyjna pustelnia, aby uciec od tej wspomnianej „nowej normalności", szczególnie w czasach wojennych. To ogólnoświatowa tęsknota za życiem skromnym, blisko natury, jednak – bezpiecznym. A to luksus w dzisiejszych czasach. Ale tu od razu przyszła myśl trzeźwiąca – te wszystkie „domy ucieczkowe", apartamenty w Hiszpanii, we Włoszech czy w Portugalii będą „w razie W" niedostępne dla Polaków. To jest tylko kupowanie nadziei, że będzie gdzie uciec w razie konfliktu zbrojnego, zabrać swoją rodzinę lub psiecko i umknąć przed zagrożeniem. Niczego takiego nie będzie: jak już się zacznie, to samolot nie wyleci, a wszystkie drogi będą zajęte albo przez wojsko, albo przez masowe ewakuacje.

A może będzie tak jak na Ukrainie, gdy zaraz po wybuchu wojny dało się wypchnąć dzieciaki w wieku poborowym na Zachód, by zostać samemu i powalczyć bez stresów o rodzinę, a właściwie jej genetyczne przetrwanie. Ktoś tam przecież został, jak widać na mapach frontów. Ciekawe, jak będzie u nas, bo na Ukrainie państwo wypuściło część swego potencjału rekrutacyjnego. A czy u nas w ogóle taki istnieje?

Tak więc nie dla nas wyspy Chorwacji, nadmorskie samotnie na przeczekanie, nie dla nas ucieczka na Zachód, gdzie ma być (?) bezpieczniej. I choć, jak widać, istnieje polska ochota, by uciec „w razie W", to nie waleczny duch, ale może zarządzenia władz każą nam zostać, by bronić Najjaśniejszej. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Bezkarność i Tajemnica

Wracam do skandalu opisanego na naszym portalu, czyli do napadu na kapłana podczas Mszy św. w Mieścisku w Wielkopolsce. Pijany, półnagi mężczyzna wtargnął do kościoła pw. św. Michała Archanioła, wykrzykując wulgaryzmy, połamał krzyż, zdemolował ołtarz, zaatakował celebransa, po czym rzucił mikrofonem w kierunku wiernych. Próbował wygonić parafian z kościoła, na szczęście to oni go unieszkodliwili i przekazali w ręce policji.

Która to już brutalna profanacja, o której słyszymy w Polsce? Dwa lata temu opisałem próbę napaści na sprawującego Mszę św. kapłana w kościele bł. Radzyma Gaudentego w Gnieźnie, której sprawcą był transseksualista. Natomiast w 2020 r., po orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego dotyczącego aborcji eugenicznej, 32 demonstrantów przerwało Mszę w poznańskiej katedrze. Takich napadów i zakłóceń Mszy podczas tzw. strajków kobiet w 2020 r. było więcej. Sprawcy zwykle pozostali bezkarni. Wyjątkiem jest proces w związku z napadem na poznańską katedrę, który po pięciu latach, w apelacji, zakończył się uchyleniem wyroku uniewinniającego i zasądzeniem symbolicznych kar (choć nie wiadomo, czy oskarżeni nie wniosą kasacji). Nie będę tu pisał o idących w setki przypadkach niszczenia kościołów, kapliczek, krzyży, o wulgarnych, nienawistnych napisach na elewacjach świątyń. Samych zgłoszonych aktów zakłóceń Mszy św. i uruchomionych postępowań w 2021 r. było 27. Jak liczne były nieodnotowane akty agresji, jak np. ten opisany przeze mnie w Gnieźnie? Zapytałem wtedy księdza proboszcza, czy zamierza zgłosić transseksualnego napastnika do prokuratury, i usłyszałem krótko: Nie! Pewnie banalnie zabrzmi porównanie reakcji mediów, prezydenta, polityków i wszelkiej maści autorytetów na oblanie łatwopalną cieczą elewacji synagogi Nożyków w Warszawie. Tam, jak wiadomo, ucierpiała tylko zewnętrzna ściana, a świat na moment wstrzymał oddech. Tu zaznaczam – w opisanych wyżej przykładach nie chodzi o postępowania w sprawie profanacji miejsca kultu czy niszczenie mienia. Zakłócenie nabożeństwa, przerwanie Mszy św. to napaść na najświętsze tajemnice wiary. Dla nas, wierzących, liturgia, ofiara, Eucharystia stanowią centrum katolickiego kultu. Poczucie bezkarności rodzi rozzuchwalenie.

Ale czy aby my sami, ludzie Kościoła, nie jesteśmy winni, zgadzając się na bylejakość sprawowania kultu bożego? Ponadto skoro biskupi tak łatwo ulegli bezprawiu pandemicznemu, wykazując skandaliczny brak wrażliwości i troski wobec Eucharystii, to czy dziś możemy liczyć, że wrogowie Kościoła będą traktować Mszę św. poważnie? ©℗

eprasa.pl dce19a88a3

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Świeże rozwiązanie

A jednak! Wydaje się, że znaleziono sposób na zakorkowany polski wymiar sprawiedliwości! Stop. Sposób jest dość świeży, bo ma lat 29, jest asesorem o nazwisku Domasat Arkadiusz i zamiast rozpocząć proces sądowy i po kolei przesłuchiwać świadków, wziął i umorzył sprawę przed jej rozpoczęciem. Zuch! Stop. Co prawda, pilotażowo młody ów młodzieniec umorzył sprawę byłego członka Platformy Obywatelskiej Sławomira Nowaka, ale nie wiadomo, czy wkrótce nie obejmie to także spraw członków koalicji rządowej, a tych może być z upływem czasu coraz więcej... Stop. Brawurowe rozwiązanie.

Malkontenci zawracają głowę, że asesor został asesorem na wniosek Krajowej Rady Sądownictwa, której np. Żurek nie uznaje, i wszystkich sędziów, którzy zostali po roku 2018 sędziami na wniosek tejże KRS też nie uznaje, wyzywając ich od neosędziów, więc gdyby trzymać się logiki, to tego orzeczenia umarzającego sprawę przez asesora według Żurka też nie ma. Stop. Uspokajamy: wygląda na to, że Żurek jest na tyle przebiegły, że jak mu orzeczenie odpowiada, to o niuansach jest w stanie zapomnieć.

Ludzie to są tacy podli, tacy zawistni oraz jakże zazdrośni, ech… Stop. Żona Laska, wiceministra infrastruktury i pełnomocnika do spraw budowy CPK, znalazła sobie pracę i zaraz na nią z jakąś krytyką. Stop. Skoro jej mąż jest wiceministrem, to ona przecież nie będzie pracować byle gdzie i postanowiła pracować też na państwowym w randze dyrektora. Stop. Akurat postanowiła porobić trochę w Wojskowych Zakładach Lotniczych nr 1 w Łodzi, które są częścią Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Stop. Napisałem „trochę", bo jak się władza zmieni, to pewnie jej kompetencje gwałtownie się skurczą. Stop. Cieszmy się jednak z panią Anią i jej mężem Laskiem chwilą i w ogóle carpe państwową robotę! Stop.

Sprawy idą w dobrą stronę, ale swoim tempem. Stop. Pan Myrcha i pani Gajewska, będąc w związku małżeńskim poselskim, mają dom pod Warszawą piękny, ale pobierali dwa dodatki mieszkaniowe w wysokości ok. 9 tys. zł, bo chcieli sobie mieszkać w Warszawie, a nie dojeżdżać. Stop. To się spotkało z krytyką kilka miesięcy temu jako takie (proszę wybaczyć) dojenie podatnika przez ludzi przecież niebiednych, bo związanych z Platformą Obywatelską. Stop. Były tu brane pod uwagę kwestie prawne oraz etyczne i opinia publiczna przemawiała, że nie powinni jednak doić, jak mają taki piękny dom, taki piękny. Stop. Okazało się, że krytyka i kontrola społeczna mają sens. Stop. Myrcha z Gajewską biorą teraz już tylko jeden dodatek na mieszkanie w Warszawie. Stop. Żeby tylko na jedzenie im nie zabrakło z tej biedy… ©℗

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Nowy szczupak w stawie

W coraz jaśniejszych barwach rysuje się, zdaniem większości polskich mediów, bezpieczeństwo energetyczne Polski. Zawdzięczać to mamy inwestycji ukraińskiego konsorcjum DTEK, które we współpracy z Amerykanami zbuduje w Trzebini nowoczesne magazyny energii. Ma to być inwestycja strategiczna, która stworzy w naszym kraju „rezerwę energii", pomocną w momentach gwałtownego obciążenia systemu energetycznego. Jak zapowiadają media, podniesie to polską energetykę na nowy, wyższy poziom.

Konsorcjum DTEK należy do najbogatszego ukraińskiego oligarchy, Rinata Achmetowa. Entuzjazmujący się inwestycją w Trzebini dziennikarze z powściągliwością opisują karierę tego człowieka, tytułując go zdawkowo „najbogatszym Ukraińcem". Jedną z pierwszych instytucji, które Achmetow podniósł do światowego poziomu, był ukraiński klub piłkarski Szachtar Donieck. Nie byłoby to zapewne możliwe, gdyby nie pechowa przygoda, która spotkała w 1995 r. poprzedniego prezesa Szachtara, Achata Bragina. Bragin, znany pod pseudonimem Alik Grek, choć rzeźnik z wykształcenia, uważany był za głowę najsilniejszej w Donbasie organizacji przestępczej. Na trybunie stadionu zabiła go bomba, której ofiarami padli też brat prezesa i sześciu towarzyszących im ochroniarzy. Szczęśliwie uniknął zamachu bliski współpracownik Bragina – dzisiejszy stróż bezpieczeństwa polskiej energetyki – Rinat Achmetow. W następnych latach przejął on nie tylko władzę nad klubem, lecz także kontrolę nad licznymi biznesami swojego mentora. Nie wszyscy konkurenci do schedy zdołali przeżyć ten proces.

Zaskakująco krętymi drogami podążały polityczne sympatie ukraińskiego miliardera. Od 2006 r. finansował on powstanie ukraińskiej Partii Regionów, z której ramienia został deputowanym do parlamentu. Były amerykański ambasador na Ukrainie, John Herbst, określał Partię Regionów mianem „bezpiecznej przystani dla rządzących Donieckiem gangsterów i oligarchów". Zdaniem ukraińskich mediów Achmetow stał za karierą Wiktora Janukowycza, którego prezydenturę zakończyła ucieczka do Rosji. Korzystne dla interesów oligarchy, przyjazne stosunki łączyły go nieodmiennie ze wszystkimi rządzącymi Ukrainą prezydentami i partiami.

Dziś jako partnerów w biznesie dobrał sobie Rinat Achmetow inwestorów amerykańskich. Zapewne poradzi sobie i w Polsce – na obłaskawianiu i rozgrywaniu polityków zna się ukraiński miliarder lepiej niż Iga Świątek na tenisie. Czy będzie nam od tego bezpieczniej – przekonamy się w nieodległej przyszłości. ©℗

eprasa.pl dce19a88a3

JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Willa Broniewskiego

Nawet w Związku Sowieckim obdarowywano willami wyłącznie pisarzy najwierniejszych – Gorkiego, Wasilewską – luksus jej willi Barwicha na podmoskiewskim daczowisku zdumiewał wszystkich. „To był prawdziwy cud, w środku głodnego, kartkowego, zaropiałego kraju to była europejska wyspa" – mówił poeta Andrzej Mandalian. W Polsce Ludowej wille „od narodu", w rzeczywistości od komunistycznej władzy, dostawali również nieliczni jej ulubieńcy, w 1946 r. Julian Tuwim, w 1950 r. Władysław Broniewski, „poeta proletariacki, piewca klasy robotniczej i partii" w 25-lecie swojej twórczości, obchodzone niczym państwowe święto, pokazywane nawet w Kronice Filmowej. Zbiedniała po wojnie Warszawa była ciągle nieodbudowana, sytuacja mieszkaniowa warszawiaków rozpaczliwa i wille Tuwima oraz Broniewskiego były również wyspami luksusu.

Broniewski, oficer Legionów Piłsudskiego, uczestnik wojny w 1920 r. z bolszewikami, więzień sowieckich mamrów, żołnierz armii Andersa, otrzymał ją zwłaszcza za propagandowe agitki – bałwochwalcze „Słowo o Stalinie", „Pokłon rewolucji październikowej", panegiryki o Waryńskim, gen. Świerczewskim. Został członkiem najściślejszej komunistycznej elity i „otępiały od wódki i pochlebstw" – jak pisał o nim Jan Polkowski – bez żenady korzystał z jej przywilejów. Wcześniej mieszkał w alei Róż, w rządowym akwarium dla wybranych, obok Leona Kruczkowskiego i Jerzego Borejszy, głównego ówczesnego nadzorcy kultury, miał pobiedę z szoferem, która przyszła z Moskwy, wczasy w Karlovych Varach, w Bałcziku w Bułgarii w dawnym pałacu królowej rumuńskiej, jego córka Anka studiowała w Paryżu. Masowe nakłady, najwyższe honoraria, tłuste nagrody pozwalały mu nie tylko na dostatnie życie, lecz także na ukrywaną namiętność – hazard w prywatnym kasynie gry na Saskiej Kępie.

Miejsce na lokalizację „narodowego daru" mógł wybrać w całej Polsce i myślał o Zakopanem, w Warszawie trzymały go jednak sprawy wydawnicze. Piękną, białą, piętrową willę z ogrodem na Mokotowie, przy Dąbrowskiego 51, przysłoniętą od frontu płaczącymi wierzbami, zaprojektował – za darmo – architekt Jerzy Mokrzyński, twórca Domu Partii. Ukończono ją dopiero w 1953 r. Miała duży salon z wyjściem na ogród, gabinet poety, pokój jego żony Wandy, gościnny, wielki hol, kuchnię ze służbówką dla gosposi, łazienkę, w suterenie kotłownię, pralnię i garaż. Za własne pieniądze kupili Broniewscy jedynie drzewa i krzewy do ogrodu – bzy, jaśminy, róże, za wszystko płaciło państwo i jego pupil bezwstydnie domagał się finansowania rzeczy, które mógłby kupić sam. W liście do Cyrankiewicza drobiazgowo wyliczał niedociągnięcia, brak wjazdu do garażu, szafek w kuchni, kredensu, termy przy zlewie, spiżarki, zaplanowanych szaf w ścianach i jego garderoba wisi na klamkach, bielizna leży w walizkach, siatka ogrodzeniowa jest za niska itd.

Dar od narodu" nie przyniósł mu jednak szczęścia – po Październiku 1956 r. jego propagandowe wiersze na czele ze „Słowem o Stalinie" krytykowano, usuwano z jego tomików, tłumaczył więc, że… nie wiedział o zbrodniach Stalina. Wcześniej, we wrześniu 1954 r. dosięgnął go straszliwy cios, samobójstwo popełniła jego 24-letnia ukochana córka Anka, którą zabiła wiadomość, że jej kochanek, pisarz Bohdan Czeszko, żył z jej własną matką, Janiną Broniewską, pierwszą sekretarz organizacji partyjnej literatów. Oszalały z rozpaczy próbował zemścić się na winowajcach, ale w obawie przed skandalem, władza wysłała natychmiast Czeszkę do Moskwy jako korespondenta, choć nigdy nim nie był. Broniewskiego natomiast zamknęła w psychiatryku. Już rok po tym, gdy sprowadził się do ukończonej willi podjechała karetka i „psychołotrzy" w białych fartuchach siłą wepchnęli go w kaftan bezpieczeństwa i zawieźli do Kościana, rzekomo w trosce o to, aby nie zapił się z rozpaczy. Zamknięto go bezterminowo i wyszedł stamtąd dopiero po zagrażającej jego życiu głodówce, którą podjął. Pił zawsze, ale teraz już na umór. Rozczarowany ideą, której się poświęcił, pisał już mało i tylko przejmujące liryki o Ance, Mazowszu, Wiśle. Cierpiał na depresję, bezsenność, stąd jego słynne nocne telefony. Zmarł w 1962 r., mając zaledwie 65 lat, a w swojej willi żył tylko dziewięć. Dziś jest tam muzeum jego imienia. ©℗

Po Październiku 1956 r. jego propagandowe wiersze na czele ze „Słowem o Stalinie" krytykowano, usuwano z jego tomików, tłumaczył więc, że… nie wiedział o zbrodniach Stalina

eprasa.pl dce19a88a3

ANTYFA

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Donald Trump był w Wielkiej Brytanii przyjmowany z nadzwyczajną pompą. W wielu punktach tej oficjalnej wizyty przekroczono protokół, a rodzina królewska robiła rzeczy ponad miarę – wykraczające daleko poza standard przewidziany dla takich wizyt. Nigdy w historii Wielkiej Brytanii król nie wystawił na powitanie głowy innego państwa tyle wojska w galowych mundurach pełniącego wartę honorową na trasie przejazdu, a potem było jeszcze zaproszenie do wnętrza królewskiej karocy i wspólny objazd terenów wokół zamku Windsor. Trumpa z małżonką przyjmowano jak… króla.

Król Karol III i Donald Trump są po imieniu, kolegują się od lat i z daleka widać, że się lubią. Wieczorny bankiet na zamku zachwycał. Król w trakcie swego przemówienia był nie tylko oficjalnie miły, lecz także skierował wobec prezydenta USA kilka osobistych żartów. Z wzajemnością! Niewiele osób może sobie pozwolić na coś takiego – dowcipne osobiste uwagi wobec króla wygłaszane publicznie, które król przyjmuje z radością, jest rozluźniony, wesoły, zadowolony, a nie tylko oficjalny i po królewsku miły.

W telewizjach brytyjskich i amerykańskich masa zachwyconych komentarzy na ten temat. Oto jeden z nich: Trump jest doskonałym przykładem dla dzieci – ten człowiek jeszcze rok temu jeździł śmieciarką i podawał frytki w McDonaldzie (dwa mocne zdarzenia z kampanii wyborczej Trumpa), a dziś siedzi przy jednym stole z królem i zajada gruszkę za pomocą zabytkowej łyżeczki.

***

Po bankiecie Trump i Melania nocowali w zamku Windsor, czyli dostali gościnę w prywatnym domu króla. Rezydencja królów angielskich zamieszkana nieprzerwanie od roku 1100, czyli od ponad 900 lat. Co robi człowiek, który nocuje w takim miejscu? Zwiedza. Ogląda wszystkie obrazy na ścianach apartamentu, sypialni, salonu, zagląda do zabytkowych szuflad i szaf. Podziwia, spać nie może, bo zwiedza. Mieszkasz w zabytku, otoczony zabytkowymi przedmiotami, na które nie ma rynkowej ceny, bo to unikaty.

A co tamtej nocy po bankiecie zrobił Trump? Na co znalazł czas?

O czwartej nad ranem wysłał w świat zawiadomienie następującej treści: „Z przyjemnością informuję licznych amerykańskich Patriotów, że kwalifikuję ANTIFĘ – CHORY, NIEBEZPIECZNY, RADYKALNIE LEWICOWY KATAKLIZM – JAKO ORGANIZACJĘ TERRORYSTYCZNĄ. Będę również stanowczo zalecał dokładne zbadanie osób finansujących ANTIFĘ, zgodnie z najwyższymi standardami i praktykami prawnymi".

***

Po powrocie z Wielkiej Brytanii Trump podpisał oficjalny dekret w tej sprawie, który stwierdza urzędowo, że Antifa to „militarystyczna i anarchistyczna organizacja, wzywająca do obalenia rządu Stanów Zjednoczonych". Zgodnie z dekretem służby USA mają wykrywać i likwidować działania Antify oraz zbadać źródła finansowania, powiązania krajowe i międzynarodowe, a także ścigać osoby i podmioty finansujące działalność tej organizacji (pierwszym, który przychodzi na myśl, jest George Soros i jego przybudówki).

Ta niebezpieczna organizacja istnieje w wielu krajach, nie tylko w USA. Istnieje także w Polsce. Jest więc powód, by jej nazwę wreszcie pisać po polsku: „Antyfa" (zamiast angielskiego „Antifa"). Stanowi międzynarodówkę. Jej symbol to dwie zachodzące na siebie flagi – jedna socjalistyczna, druga anarchistyczna, jedna czerwona, druga czarna, a dookoła napis: ANTIFASCIST ACTION, czyli „Akcja antyfaszystowska". Anarchiści, komuniści i socjaliści. Ideologia antykapitalistyczna i antypaństwowa. Ich kolory to czarny, czerwony i biały – te same, co na flagach faszystowskich. Zestaw barw mrożący krew w żyłach. Piekielny i tyle. Symbolika oznaczająca niszczenie, a nie budowanie.

***

W USA rząd może formalnie oznaczyć grupę lub organizację, a nawet całe państwo jako strukturę terrorystyczną. Może to zrobić na podstawie kilku paragrafów, ustaw i przepisów, może to zrobić na kilku poziomach władzy, a potem może zwalczać terrorystów za pomocą wielu różnych narzędzi i instytucji. Może to zrobić na mocy ustawy o imigracji i obywatelstwie lub na podstawie regulacji Departamentu Skarbu (finansowanie), istnieją też wewnętrzne listy osób i organizacji terrorystycznych do zwalczania za pomocą FBI, MSW, CIA…

Tylko co nam z tego w Polsce? Co nam z tego tu, w Polsce (poza ogólną satysfakcją)?

Gdy rząd USA wskaże, że jakaś organizacja jest terrorystyczna, wówczas uruchamia się kilka różnych działań: zakazy finansowe i majątkowe. Blokada aktywów – wszystkie środki finansowe tej organizacji i osób z nią związanych zostają zamrożone na terenie USA oraz w kontrolowanych przez USA bankach za granicą. Zaczyna obowiązywać zakaz udzielania wsparcia, czyli każda osoba (obywatel USA lub podmiot gospodarczy) ma zakaz przekazywania pieniędzy, usług i sprzętu na rzecz tej organizacji terrorystycznej. Naruszenie tych zakazów grozi poważnymi konsekwencjami karnymi – wielomilionowymi grzywnami i wieloletnimi wyrokami więzienia. Pojawiają się też z automatu konsekwencje imigracyjne – członkowie lub osoby powiązane z taką organizacją nie mogą otrzymać wizy ani wjechać do USA, a jeśli ktoś już jest na terytorium USA i zostanie powiązany z organizacją terrorystyczną, to może być deportowany. I tu widzę pewien bezpośredni pożytek dla Polski – jeżeli ludzie Trumpa będą w tej sprawie twardzi, to żaden polski członek Antyfy nie wjedzie do USA.

Działania wywiadowcze i policyjne – FBI, CIA i inne agencje tego typu zyskują szersze uprawnienia do śledzenia, inwigilacji, podsłuchu i monitorowania osób powiązanych z organizacją terrorystyczną. USA przekazuje sojusznikom informację o oznaczeniu organizacji jako terrorystycznej, co prowadzi do podobnych kroków w innych państwach i zwiększa izolację organizacji na świecie (trudniej o finansowanie, podróże, wsparcie logistyczne).

Oznaczenie organizacji jako terrorystycznej może też powodować sankcje przeciwko państwom, które taką organizację wspierają na swoim terenie. ©℗

eprasa.pl dce19a88a3

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

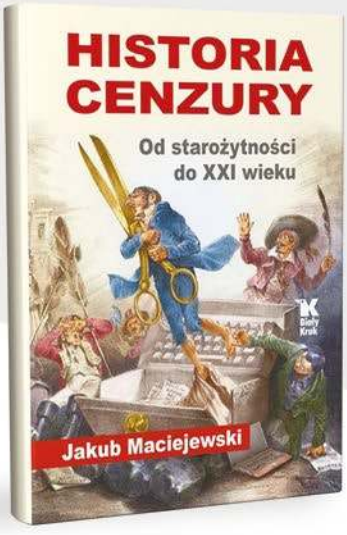

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

JAKUB MACIEJEWSKI: „HISTORIA CENZURY. OD STAROŻYTNOŚCI DO XXI WIEKU"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1564~~ ZŁ

497,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 1067 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl dce19a88a3

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

„BUNT ŻELIGOWSKIEGO" – JAK POLACY ODZYSKALI WILNO

Wielka gra o Wileńszczyznę – Józef Piłsudski chciał stworzyć federację na ziemiach byłej Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Wilno w polskich rękach miało być kartą przetargową

Miasto miłosierdzia – Cudowne wizerunki Jezusa i Matki Bożej przyciągają do Wilna tysiące wiernych. Dzieje powstania obu świętych dla Polaków obrazów pełne są zaskakujących wątków

Piastowski demon – Bolesław Rogatka okazał się jednym z największych łotrów i szubrawców tej wielkiej polskiej dynastii

Na ostatnim posterunku – Straceńcze boje to nie tylko polska specjalność. Często mimo braku militarnego sensu przynosiły one mniej lub bardziej dalekosiężne skutki i były również powodem do dumy dla przyszłych pokoleń

W kleszczach walk AK i UPA – Pod koniec wojny na Hrubieszowszczyźnie niemal każdy walczył z każdym. Polskie podziemie w bardzo brutalny sposób pacyfikowało ukraińskie wsie, starając się zastraszyć ukraińskich nacjonalistów

Pośpiech Anny Kamieńskiej – Po śmierci męża poetka stwierdziła: „Szukałam umarłego, a znalazłam Boga". Ksiądz Twardowski nie nawracał jej. Zrozpaczona po śmierci męża sama odnalazła Boga

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl dce19a88a3